



NOBELS



W numerze m.in.:

- ❖ Filipczyk
- ❖ Gaj
- ❖ Gleichgewicht
- ❖ Hamada
- ❖ Kaczorowski
- ❖ Kozera
- ❖ Małczyński
- ❖ Maziarz
- ❖ Nicieja
- ❖ Obrączka
- ❖ Piecuch
- ❖ Różycki
- ❖ Rychard
- ❖ Suwiński
- ❖ Wierciński
- ❖ Wolff-Powęska

27 kwietnia br. w opolskim Teatrze im. Jana Kochanowskiego wystawiono *Zemstę* – w role fredrowskich bohaterów wcielili się znani opolanie, a wśród nich rektor UO Stanisław S. Nicieja, który zagrał Józefa Papkina. Dochód ze spektaklu i towarzyszących mu aukcji przekazano na cele charytatywne (fot. Janusz Słodczyk)

Spis treści

Kronika uniwersytecka	3
Nominacje profesorskie: prof. Ewa Malinowska, prof. Eleonora Sapia-Drewniak, ks. prof. Józef Mikołajec	12
Doktorat obroniony i nagrodzony	15
<i>Szczęście garściami</i> (Nagroda „Polityki” dla prof. D. Simonides)	16
Sukcesy naszych studentów	16
Gość UO: prof. Andrzej Rychard	17
Gość UO: prof. Anna Wolff-Powęska	22
Gość UO: prof. Tomasz Szarota	25
Gość UO: dr Adolf Juzwenko	27
<i>Zaleszczyki – miasto słońca</i> (Stanisław S. Nicieja)	29
<i>Ulica Krakowska</i> (Andrzej Hamada)	35
<i>Mówili o nim „kolos”</i> (Joanna Filipczyk)	39
<i>Rachunek nieprawdopodobieństwa</i> (Barbara Stankiewicz)	43
<i>Kilka słów o profesorze Studenckim</i> (Piotr Obrączka)	52
Wiersze Bartosza Suwińskiego	57
<i>Polska nami mocno trzęsie</i> (z Tomaszem Różyckim rozmawia Kinga Markowska)	57
<i>Za szybkie pisanie – 27</i> (Adam Wierciński)	62
<i>Portret Boga</i> (Joachim Piecuch)	67
<i>Uroki starości</i> (Bartłomiej Kozera)	68
<i>Naukowa dysputa nad zupą dyniową</i> (Beata Gaj)	70
<i>Teatru gry i grymasy</i> (Martyna Kasprzak)	72
<i>Podróż do brzegów wanny</i> (Martyna Friedla)	76
<i>Takiej „Zemsty” jeszcze w Opolu nie było!</i> (Antoni Maziarz)	78
<i>Dlaczego Jadwiga nie pokochała Jagiełły?</i> (Włodzimierz Kaczorowski)	81
<i>Bolesław I opolski – wytrawny polityk czy niepoprawny marzyciel?</i> (Anna Pobóg-Lenartowicz)	85
<i>Kasały zakonów</i> (Antoni Maziarz)	87
Odeszli: prof. dr hab. Volodymyr Zinkovskiy	90
<i>Lekcja kaligrafii</i>	91
<i>Perwersyjny laureat Nobla</i> (Agnieszka Wojcieszek)	92
<i>Encyklopedia, album i gawęda w jednym</i> (recenzja najnowszej książki Stanisława S. Nicieji)	93
<i>Lekarstwo na amnezję</i> (Jerzy Duda o dr. Tadeuszu Kukizie)	94
<i>Niezwykły patron niezwykłej biblioteki</i>	97
<i>Muzyka bez tłumacza</i> (Marian Biliński)	98
<i>Filolog przedsiębiorczy</i> (Joanna Czaplińska)	99
<i>Cultura Animi</i> (Beata Gaj, Magdalena Ujma)	101
<i>Spotkania ze sztuką</i> (Kamila Byrtek, Bartosz Małczyński)	103
<i>Kładka nad śmiercią</i> (Bartosz Małczyński)	106
<i>Poezja u lekarza</i> (Beata Śliwińska)	108

<i>Tydzień z krajami niemieckojęzycznymi</i> (Gabriela Jelitto-Piechulik)	109
<i>Granice są w głowach</i> (Gabriela Jelitto-Piechulik, Małgorzata Jokiel)	110
<i>Opolscy hydrologi nad Łabą</i> (Anna Zając, Paulina Kabała, Tomasz Szotdrowski)	112
<i>Lek na niepogodę duszy</i> (Dagmara Kawoń-Noga)	114
<i>Patriotyczny wybuch</i> (Magdalena Zawadzka)	115
<i>Złapani w siatkę</i> (Paula Szabat)	117
Noty o autorach	118
Nowości wydawnicze	120

Jonasz Kofta jeszcze na glinianych nogach



Tak Jonasz Koftę widzi autor jego rzeźby, na zdjęciu w glinie, **prof. Marian Molenda** z Instytutu Sztuki UO. Posąg Jonasza Kofty dołączy lada chwila do pozostałych, zdobących wzgórze uniwersyteckie. Fot. Tadeusz Parcej

Indeks. Pismo UO

Wydawca: Uniwersytet Opolski. Adres redakcji: 45-040 Opole, pl. Kopernika 11, Collegium Maius UO, pok. 18a
tel. 77 541-60-17, e-mail: indeks@uni.opole.pl, www.indeks.uni.opole.pl

Redaktor naczelna: Barbara Stankiewicz-Buchowska

Zdjęcia: Jerzy Mokrzycki, Jarosław Mokrzycki, Tadeusz Parcej. Opieka merytoryczna: prof. Stanisław S. Nicieja

Skład komputerowy: Henryk Kobiela, Druk: ALNUS Sp. z o.o., 30-698 Kraków, ul. Wróblowicka 63, biuro@alnus.pl

Zastrzega się prawo do adiustacji, skrótów, dawania własnych tytułów, śródtytułów, nagłówków, przypisów itp., a w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania.

Kronika uniwersytecka

■ **5 kwietnia.** Dr hab. Andrzej K. Kunert, historyk, publicysta, pisarz, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, wygłosił w Auli Błękitnej Collegium Maius UO – w ramach Złotej Serii Wykładów Otwartych – wykład pt. *Kamienie na szaniec J. Słowackiego i Kamienie na szaniec A. Kamińskiego*. Spotkanie rozpoczął rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja.

■ **10–12 kwietnia.** Na Uniwersytecie Opolskim trwały Dni Kultur Słowiańskich, których organizatorami byli studenci i opiekunowie Koła Naukowego Kultury Rosyjskiej oraz Studenckiego Naukowego Koła Słowistów UO. Więcej na str. 99.

■ **12 kwietnia.** Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wziął udział w spotkaniu warsztatowym poświęconym prezentacji założeń funkcjonowania Akceleratora Innowacji w ramach projektu „Opolska Platforma Innowacji”, realizowanego przez Opolskie Centrum Rozwoju Gospodarki w ramach poddziałania 1.3.1 *Wsparcie sektora B+R oraz innowacji na rzecz przedsiębiorstw RPO WO 2007-2013*. Przedmiotem spotkania było włączenie decydentów i działaczy regionalnych w prace nad metodą oceny potencjału endogenicznego oraz cyklicznej analizy skuteczności podejmowania działań na rzecz wzmocnienia sfery B+R przy wykorzystaniu dorobku i doświadczeń związanych z wyznaczaniem obszarów specjalizacji tzw. *smart specialisation*, w ramach dokumentów strategicznych dotyczących przyszłego okresu programowania UE.

■ **15 kwietnia.** W Studenckim Centrum Kultury obradowała konferencja studenckich kół naukowych, którą otworzył rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja. W tym dniu rektor prowadził także posiedzenie Rady Muzeum Śląska Opol-

skiego, spotkał się również z czytelnikami swoich książek w Klubie *Leopolis* we Wrocławiu.

■ **15–17 kwietnia.** W Opolu i w Rogowie trwały XXII Opolskie Dni Kultury Antycznej i II Opolskie Dni Kultury Nowożytnej, zorganizowane przez Instytut Historii UO. Więcej na str. 101.

■ **17 kwietnia.** Uniwersytet Opolski oraz Fundacja Dłonie i Serca w Opolu to organizatorzy spotkania – w ramach Złotej Serii Wykładów Otwartych UO – z prof. dr hab. Andrzejem Obrębowski, lekarzem, specjalistą w zakresie otolaryngologii, audiologii i foniatrii, współtwórcą podstaw polskiej foniatrii, emerytowanym profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, który w Auli Błękitnej Collegium Maius UO wygłosił wykład pt. *Uwagi do wczesnego wykrywania uszkodzenia układu słuchowego u dzieci*. Gościa powitał rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, który w tym dniu spotkał się także w Muzeum

Ziemi Głubczyckiej z czytelnikami swoich książek.

■ **18 kwietnia.** W Sali Plafonowej Collegium Maius, pod przewodnictwem Ryszarda Wójcika, szefa opolskiej firmy „Sindbad”, obradowała Rada Gospodarcza UO, z udziałem czołowych, opolskich przedsiębiorców, a także rektora prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji, prorektora prof. dr hab. Marka Masnyka oraz kanclerz UO Ewy Rurynkiewicz.

■ **19 kwietnia.** W Dobrodzieńniu prorektor ds. rozwoju i promocji dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, wzięła udział w spotkaniu z ministrem rozwoju regionalnego Elżbietą Bieńkowską, podczas którego przekazała dokumenty prezentujące koncepcję utworzenia przez Uniwersytet Opolski centrum szkoleniowo-badawczego w Prószkowie dla potrzeb rolnictwa i przemysłu rolno-spożywczego. Prorektor zabiegała o wpisanie tego projektu na listę projektów priorytetowych w ramach Programu Operacyjnego In-



17 IV 2013. Prof. Andrzej Obrębowski (drugi z prawej) był gościem Złotej Serii Wykładów Otwartych UO (fot. Jerzy Mokrzycki)



18 IV 2013. Na kolejnym posiedzeniu zebrała się Rada Gospodarcza Uniwersytetu Opolskiego

teligentny Rozwój. Cel tematyczny 1: Wspieranie badań naukowych, rozwoju technologicznego i innowacji.

■ **19–20 kwietnia.** W Łodzi obradowała po raz drugi w tej kadencji Uniwersytecka Komisja Finansowa KRUP, z udziałem prorektora ds. nauki i finansów UO prof. dr. hab. Janusza Słodczyka. Program spotkania wypełniły tematy: system zarządzania finansami uczelni oraz założenia autorskiego projektu kompleksowego systemu informacyjnego wdrażanego w Uniwersytecie Łódzkim.

■ **23 kwietnia.** Rektor prof. dr. hab. Stanisław S. Nicieja wziął udział w obradach Regionalnej Konferencji Rektorów Uczelni Akademickich na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, był także współgospodarzem (z ks. bp. Andrzejem Czają i Wojciechem Pilarzkiem z Bractwa Wojciechowego) uroczystości odsłonięcia symbolicznego kamienia z odciskiem stopy św. Wojciecha na wzgórzu uniwersyteckim.

• Gośćmi Radio-Sygnarów, obchodzących 56. urodziny, byli przedstawiciele władz uczelni: rek-

tor prof. dr. hab. Stanisław S. Nicieja, prorektor ds. promocji i zarządzania dr. hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr. hab. Marek Masnyk.

• Stowarzyszenie Absolwentów Uniwersytetu Opolskiego zainaugurowało cykl spotkań z osobami,

które po ukończeniu naszej uczelni (z jej okresu WSP i uniwersyteckiego) realizują swoje pasje i kontynuują z sukcesami pracę zawodową. Bohaterami pierwszego spotkania byli: Zbigniew Górniak – pisarz, publicysta uprawiający różne formy i gatunki dziennikarskie, Radosław Święs – medioznawca i



23 IV 2013. Symboliczny kamień z odciskiem stopy św. Wojciecha odsłaniają (od lewej): rektor prof. Stanisław S. Nicieja, ks. bp Andrzej Czaja, prezydent Opola Ryszard Zembaczyński



24 IV 2013. Na Uniwersytecie Opolskim odbyło się V Opolskie Seminarium Socjologiczne pt. *Dostojny Uniwersytet: Wyższe szkoły dla regionu*. Na zdjęciu (od lewej): prof. Marek Szczepański, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, prof. Krzysztof Fryszak, dziekan Wydz. Historyczno-Pedagogicznego prof. Janusz Dorobisz

Arkadiusz Wiśniewski – wiceprezydent Opola. Spotkania mają służyć m.in. integracji, rozproszonego po kraju i świecie, środowiska absolwentów (w tym roku ich łączna liczba przekroczy 100 tys.), popularyzacji uczelni, spożytkowywaniu wiedzy i potencjału intelektualnego dawnych studentów w debatach na ważne tematy.

■ **24 kwietnia.** W Collegium Civitas UO odbyło się V Opolskie Seminarium Socjologiczne pt. *Dostojny Uniwersytet: Wyższe szkoły dla regionu*, którego moderatorem był prof. dr hab. Marek S. Szczepański, a które otworzył rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja. W trakcie seminarium prof. dr hab. Kazimierz Z. Sowa mówił o ponadczasowości i autonomii uniwersytetu, prof. dr hab. Krystyna Szfranec wygłosiła referat pt. *Rozwój uniwersytetu czy rozwój regionu? O pułapkach alternatyw z perspektywy strategii życiowych młodzieży*, ks. prof. dr hab. Stanisław Fel: referat pt. *Koniec misji uniwersytetu?*, prof. dr hab. Janusz Mucha: *Europejskie uniwersytety w kryzysie?*, a dr Jan Gałkowski: *Społeczny kontekst uniwersytetu*.

• W Sali Plafonowej Collegium Maius UO podpisane zostało po-

rozumienie o współpracy między Opolskim Centrum Rozwoju Gospodarczego (OCRG) a Uniwersytetem Opolskim, Politechniką Opolską i miastem Opole. W spotkaniu wzięli udział: dyrektor OCRG Arkadiusz Tkocz, prorektor ds. kształcenia i studentów UO prof. dr hab. Marek Masnyk, pro-

rektor ds. współpracy i rozwoju PO – prof. dr hab. Krzysztof Malik i wiceprezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski.

• Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się z Kariną Bedrunką, dyrektorem Departamentu Koordynacji Programów Operacyjnych Urzędu Marszałkowskiego Woj. Opolskiego, w sprawie przewidywanego podziału, na kolejne lata, funduszy unijnych; uczestniczył także w uroczystości wręczenia najlepszym uczniom opolskich szkół nagród *Opolskie Orły*.

■ **25 kwietnia.** Obradował Senat UO. Gośćmi senatorów byli pracownicy naukowcy, którzy w ostatnim czasie uzyskali stopień naukowy doktora habilitowanego: Grzegorz Francuz (Instytut Filozofii), Włodzimierz Godłowski (Instytut Fizyki) i Roman Marszałek (Instytut Matematyki i Informatyki).

■ Gościem rektora prof. dr hab. Stanisława S. Nicieji był rektor Wyższej Szkoły Ekonomii, Turystyki i Nauk Społecznych w Kielcach dr Jan Telus.

■ **27 kwietnia.** Staraniem opolskiego Lyons Clubu, w Teatrze im. Jana Kochanowskiego wystawiono spektakl *Zemsta* w reż. Andrzeja



24 IV 2013. Podpisanie porozumienia o współpracy między Opolskim Centrum Rozwoju Gospodarczego a Uniwersytetem Opolskim, Politechniką Opolską i miastem Opole. Na zdjęciu (od lewej): wiceprezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski, dyrektor OCRG Arkadiusz Tkocz, prorektor UO prof. Marek Masnyk i prorektor PO prof. Krzysztof Malik

Czernika, dochód z którego przeznaczono na cele charytatywne. W rolach fredrowskich bohaterów wystąpili znani opolanie, a wśród nich rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja jako Józef Papkin. Więcej na str. 78.

■ **29 kwietnia.** *Dokąd zmierza świat?* Wykład pod takim tytułem wygłosił w Auli Błękitnej Collegium Maius UO prof. dr hab. Grzegorz Kołodko, któremu towarzyszył prorektor UO ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk.

• Prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, wzięła udział w spotkaniu w Urzędzie Marszałkowskim Woj. Opolskiego, dotyczącym projektu budowy centrum szkoleniowo-badawczego w Prószkowie.

■ **30 kwietnia.** W opolskim Ratuszu odbyło się posiedzenie Miejskiego Komitetu Monitorującego, dotyczące strategii rozwoju Opola w latach 2012–2020, w którym wziął udział prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk.

• Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja uczestniczył w posiedzeniu Rady Programowej TVP Opole, spotkał się także z czytelnikami swoich książek w Nyskim Domu Kultury.



25 IV 2013. Gośćmi senatorów byli nowi doktorzy habilitowani Uniwersytetu Opolskiego (w pierwszym rzędzie, od lewej): Roman Marszałek, Włodzimierz Godłowski i Grzegorz Francuz

■ **2 maja.** Prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, spotkała się na Columbia University w Nowym Jorku z profesorem Jonem S. Micgielem – dyrektorem East Central European Center. Temat spotkania dotyczył współpracy w ramach Centrum Partnerstwa Wschodniego UO.

■ **8 maja.** Wykład *Od ustanowienia familijnego do ustawy sejmowej 1995 roku. Ossolineum w przededniu jubileuszu 200-lecia* wygłosił,

w ramach Złotej Serii Wykładów Otwartych UO dr Adolf Juzwenko – historyk, specjalista i badacz stosunków polsko-rosyjskich w XIX i XX wieku oraz dziejów polskiego ruchu niepodległościowego, dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Spotkanie odbyło się w Auli Błękitnej UO, a goście towarzyszył rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja. Więcej na str. 27.

• Uniwersytet Opolski odwiedziła kardynałowie: Walter Kasper i Kurt Koch w towarzystwie ks. abp. Alfonsa Nossola i ks. bp. Andrzej Czai. Gości przyjęli: rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja i prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk.

• Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk otworzył II Międzynarodową Konferencję Naukową pt. *Rodzicielstwo w obliczu sytuacji trudnych. Niepełnosprawność – zaniedbanie – dezorganizacja* zorganizowaną przez Katedrę Polityki Społecznej Instytutu Nauk Pedagogicznych przy współdziałaniu University of Northampton – Science of Education oraz Wydziału Polityki Społecznej Urzędu Miasta Opola. Konferencja obradowała pod patronatem prezydenta Opola Ryszarda Zembaczyńskiego w Cen-



29 IV 2013. Gościem Uniwersytetu Opolskiego był prof. Grzegorz Kołodko. Na zdjęciu (od lewej): prof. Grzegorz Kołodko, prorektor prof. Janusz Słodczyk, dziekan Wydz. Ekonomicznego prof. Stanisława Sokołowska i dr Bartosz Chorkowy



8 V 2013. Uniwersytet Opolski odwiedzili kardynałowie: Walter Kasper i Kurt Koch. Na zdjęciu (od lewej): ks. dr Zygfryd Glaeser, ks. bp prof. Andrzej Czaja, ks. abp. prof. Alfons Nossol, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, ks. kardynał Kurt Koch, ks. kardynał Kasper Walter i prorektor UO prof. dr hab. Janusz Słodczyk

trum Konferencyjnym w Kamieniu Śląskim.

- Prorektor ds. kształcenia i studentów UO prof. dr hab. Marek Masnyk był gościem uroczystości nadania tytułu doktora *honoris causa* Politechniki Opolskiej prof. dr. hab. inż. Kazimierzowi Zakrzewskiemu.

- **8–9 maja.** Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk uczestniczył w jubileuszowej konferencji poświęconej 85. rocznicy urodzin prof. Ryszarda Domańskiego, zorganizowanej przez Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu.

- **9 maja.** Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się ze swoimi czytelnikami w siedzibie bytomskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

- Prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, spotkała się, na zaproszenie Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, z Polonią amerykańską. W spotkaniu udział wzięła m.in. konsul general-

na RP w Nowym Jorku Ewa Junczyk-Ziomecka.

- **9–10 maja.** W Collegium Civitas UO obradowała konferencja na-

ukowa pt. *Toposy granicy w filozofii, literaturze i sztuce*, zorganizowana przez Studenckie Koło Filozoficzne i Instytut Filozofii UO.



9 V 2013. Spotkanie prorektor UO prof. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak z Polonią amerykańską w Instytucie J. Piłsudskiego w Nowym Jorku. Na zdjęciu od prawej: konsul generalna Ewa Junczyk-Ziomecka, prezes Instytutu Józefa Piłsudskiego dr Magda Kapuścińska, Isabel Madden, prorektor UO prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak

■ **13 maja.** W sali Urzędu Marszałkowskiego na Ostrówku odbyło się spotkanie dotyczące powołania rzecznika ds. studentów lub społecznej rady studenckiej, w którym uczestniczył prorektor ds. kształcenia i studentów UO prof. dr hab. Marek Masnyk.

■ **14 maja.** Gościem Złotej Serii Wykładów Otwartych UO był prof. dr hab. Tomasz Szarota, który opowiadał o urokach zawodu historyka. Gościowi towarzyszyli: rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego dr hab. Janusz Dorobisz, prof. UO, prof. dr hab. Michał Lis i dr hab. Edmund Nowak, prof. UO. Więcej na str. 25.

• Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się z przedstawicielami Samorządu Studenckiego UO i szefem Studenckiego Centrum Kultury – rozmowa dotyczyła organizacji koncertu towarzyszącego planowanej na 14 czerwca br. uroczystości odsłonięcia rzeźby Jona-sza Kofty.

■ **15 maja.** Nawiązanie współpracy między Uniwersytetem Opolskim a Liceum Ogólnokształcą-

cym w Grodkowie to temat spotkania, w którym wzięli udział: prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk, dziekan Wydz. Chemii prof. dr hab. Piotr P. Wieczorek, kierownik Katedry Biotechnologii prof. dr hab. Adam Latała oraz przedstawicielka grodkowskiego liceum – Katarzyna Turowska.

• Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się z czytelnikami swoich książek w Muzeum Niepodległości w Warszawie. Spotkanie prowadził prof. dr hab. Marek Drozdowski.

■ **15–16 maja.** Instytut Polonistyki i Kulturoznawstwa i Zakład Polonistyki Stosowanej UO to organizatorzy ogólnopolskiej konferencji *Język a Edukacja II* pt. *Świadomość językowa w perspektywie edukacyjnej*, która obradowała w Collegium Maius UO.

• *Prawno-historyczne oraz teologiczne aspekty tolerancji i nietolerancji religijnej* – to tytuł IX Opol-skiego Colloquium Prawno-Historycznego, które odbyło się w Zamku Piastów Śląskich w Brzegu. Podczas spotkania wręczono tego-

roczne Nagrody Peregryna z Opola (*Za umiłowanie sprawiedliwości*). Ich laureatami zostali: red. Danuta Starzec, ks. dr Jerzy Dzierżanowski i ks. dr Leonard Makiola.

■ **16 maja.** Umowa o współpracy, dotyczącej możliwości odbywania staży i praktyk absolwenckich, została podpisana między Uniwersytetem Opolskim a firmą Text-Partner z Katowic. W spotkaniu uczestniczyli prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk, prodziekan Wydziału Filologicznego dr Jarosław Bogacki oraz dyrektor Marek Gawrysiak – partner zarządzający ze strony Text-Partner.

• Gościem Uniwersytetu Opolskiego była prof. dr hab. Anna Wolff-Powęska, politolog, historyk idei z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, która w sali im. prof. Józefa Kokota Collegium Civitas spotkała się ze studentami i pracownikami naszej uczelni, wygłaszając wykład pt. *Kto włada naszą pamięcią zbiorową?* Spotkanie zorganizował Instytut Politologii UO. Więcej na str. 22.



22 V 2013. Tradycyjnie Piastonia rozpoczęła Żakinada na opolskim Rynku



16 V 2013. Gość UO: prof. Anna Wolff-Powęska

• Prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, wzięła udział w sesji Rady Powiatu Opolskiego, podczas której dyskutowano m.in. nad projektem budowy centrum szkoleniowo-badawczego dla potrzeb rolnictwa i przemysłu rolno-spożywczego w Prószkowie.

■ **16–18 maja.** Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja wziął udział w konferencji ośrodków radiowych Polski i Ukrainy, która obradowała w Rzeszowie i we Lwowie – na Uniwersytecie im. Iwana Franko, gdzie rektor wygłosił wykład nt. obrazu relacji polsko-ukraińskich w historiografii i mediach.

■ **17 maja.** Finansowanie budowy ogrodu botanicznego w Prószkowie to temat spotkania z. minister prof. Barbarą Kudrycką, w którym uczestniczyli prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk i kanclerz UO Ewa Rurynkiewicz.

■ **17–18 maja.** W Katowicach i Promnicach obradowała Konferencja Rektorów Uniwersytetów Śląskich, połączona z seminarium pt. *Współpraca polskich i czeskich bibliotek uniwersyteckich oraz samorządowych regionu śląskiego*. Uniwersytet Opolski reprezentował prorektor ds. kształcenia i studentów UO prof. dr hab. Marek Masnyk.

■ **21 maja.** Podczas uroczystych obchodów Dnia Kadeta, pod

pomnikiem Bojownikom o Polskość Śląska Opolskiego, rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja przedstawił krótką historię kadetów, został też odznaczony Krzyżem Sybiraków – za utrwalanie pamięci o kresowiakach wywiezionych na Syberię.

■ **21–25 maja.** Na Uniwersytecie w Gandawie (Belgia) odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa *Rhetoric as Equipment for Living: Kenneth Burke, Culture and Education* Była to historyczna, bo pierwsza w Europie, konferencja poświęcona temu filozofowi, krytykowi i pisarzowi, twórcy oryginalnego systemu retorycznego, do dziś inspirującego badaczy języka, literatury i kultury w USA, a prawie nieznanemu Europejczykom. Uniwersytet Opolski reprezentowała dr Katarzyna Molek-Kozakowska z Instytutu Filologii Angielskiej. Celem konferencji było przywrócenie retoryce kluczowego miejsca w humanistyce i ukazanie jej nowych zastosowań. Szczególnym zainteresowaniem cieszyły się panele poświęcone najnowszym perspektywom badawczym, takim jak retoryka gier video, retoryka kultury popularnej, retoryka dyskursu publicznego oraz retoryka w pedagogice humanistycznej.

■ **22 maja.** Żakinadą na opolskim Rynku, w której uczestniczył także prorektor ds. kształcenia i stu-

dentów prof. dr hab. Marek Masnyk, rozpoczęły się opolskie Piastonia.

• Prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, spotkała się w opolskim Ratuszu z sekretarzem Rady Miasta Donatą Gajewską. Tematem rozmowy była planowana na 3 lipca br. wizyta w Opolu (także na Uniwersytecie Opolskim) ponad 50-osobowej grupy młodzieży z Winnicy, oraz plany wspólnych obchodów 100. rocznicy urodzin Edmunda Osmańczyka.

■ **22–24 maja.** W Białymstoku i Wilnie obradowała Konferencja Rektorów Uniwersytetów Polskich – w obradach wziął udział rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, który spotkał się m.in. z rektorem Uniwersytetu Wileńskiego prof. dr hab. Jurasem Banysem oraz ambasadorem RP w Wilnie Januszem Skolimowskim.

■ **23 maja.** Rozpoczęła się wizytacja Państwowej Komisji Akredytacyjnej na Wydziale Przyrodniczo-Technicznym UO. Członków komisji przyjął prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk.

■ **24 maja.** W siedzibie Regionalnego Centrum Rozwoju Edukacji w Opolu odbyło się spotkanie dotyczące projektu *Fascynujący świat nauki i technologii*, w którym uczestniczyli: prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk, dr Maria Śmigielska i mgr Elwira Szopińska.

■ **24–27 maja.** Noc Nauki (24–25 maja) rozpoczęła XI Opolski Festiwal Nauki – jedną z wieczornych atrakcji była debata w sali SCK pt. *Od pomysłu do przemysłu, czyli od marzenia do wdrożenia*, którą poprowadziła dr hab. Sabina Kauf, prof. UO (Wydział Ekonomiczny). W debacie wzięli udział także: prof. dr hab. inż. Krystyna Czaja, dr Piotr Urbaniec, przedstawiciele instytucji współpracujących z uniwersytetem: dr inż. Wojciech Spisak – prezes Centrum Badawczo-Produkcyjnego „ALCOR” sp. z o.o. i Ewelina Roguła z Wydziału Organizacji i Analiz ZUS



26 V 2013. Piknik Naukowy na opolskim placu Kopernika

o. Opole. A później, aż do północy, trwały nocne spotkania z naukami ścisłymi i humanistycznymi: m.in. podglądanie gwiazd w Obserwatorium Astronomicznym i w Mobilnym Planetarium, ciekawe doświadczenia i zabawy z chemią, fizyką, nanotechnologią i biologią, a także spektakle i warsztaty teatralne, projekcje filmów i wy-

stawy w muzeach. Na koniec – pokaz laserowych świateł. 26 maja, na placu Kopernika, odbył się tradycyjny Piknik Naukowy, w którym uczestniczyły władze Uniwersytetu Opolskiego, a prezentowały się wszystkie wydziały. 27 maja – Dzień Otwartych Drzwi, podczas którego opolanie mogli odwiedzić obiekty Uniwersytetu Opolskiego.

■ **27 maja.** W Urzędzie Miasta Opola podpisana została umowa o współpracy z Opolskim Parkiem Naukowo-Technologicznym – naszą uczelnię reprezentowali: rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja i prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk. OPNT reprezentował jej prezes, Jarosław Mamala. Podczas spotkania przedstawiono także prezentację programu funkcjonalno-użytkowego infrastruktury parku technologicznego.

- Budynek Instytutu Sztuki – Collegium Artium – został oficjalnie oddany do użytku. W uroczystości uczestniczyli: rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja i prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk. W programie uroczystości znalazły się m.in. wystawy i wykłady.

- Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wziął udział w II posiedzeniu Rady Programowej Opolskiej Platformy Innowacji, zorganizowanym przez Opolskie Centrum Rozwoju Gospodarczego.



22–24 V 2013. Na dziedzińcu Uniwersytetu Wileńskiego. Od lewej: rektor Uniwersytetu Wileńskiego prof. Juras Banys, rektor UW prof. Marcin Pałys, prorektor KUL ks. prof. Andrzej Derdziuk, przewodniczący PKA prof. Zbigniew Marciniak, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, rektor UAM w Poznaniu prof. Bronisław Marciniak



28 V 2013. Red. Maciej Wierzyński, gość Złotej Serii Wykładów Otwartych UO, wygłosił wykład pt. *Kryzys w mediach a przyszłość demokracji*. Na zdjęciu (od lewej): rektor prof. Stanisław S. Nicieja, red. Maciej Wierzyński, prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, dyrektor Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa prof. Janina Hajduk-Nijkowska

- Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się z Kariną Bedrunką, dyrektor Departamentu Koordynacji Programów Operacyjnych Urzędu Marszałkowskiego Woj. Opolskiego w sprawie prószkowskiej pomologii.

- **28 maja.** Gościem Złotej Serii Wykładów Otwartych UO był red. Maciej Wierzyński, któremu towarzyszyła prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, a który w Collegium Civitas UO wygłosił wykład pt. *Kryzys w mediach a przyszłość demokracji*.

- Prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, spotkała się z prorektorem Uniwersytetu Politechnicznego w Odessie prof. Viaceslavem Shubikiem. Rozmowa dotyczyła m.in. planów powołania przy Politechnice Odeskiej Centrum Polsko-Ukraińskiego, przygotowującego studentów regionu odeskiego do studiowania w Opolu.

- W II Liceum Ogólnokształcącym im. Z. Herberta w Brzegu podpisana została umowa o współpracy między liceum a Uniwersytetem Opolskim, reprezentowanym przez rektora prof. dr. hab. Stanisława

S. Nicieję (który na Zamku Piastów Śląskich wygłosił wykład dla brzeskich licealistów), a także prorektora ds. kształcenia i studentów prof. dr. hab. Marka Masnyka, dr. hab. Krzysztofa Szczegota, prof. UO (Wydział Chemii) i dr. Dariusza Mana (Instytut Fizyki).

- **29 maja.** Obradował Senat UO. Gośćmi senatorów byli nowi doktorzy habilitowani, obaj z Wydziału Chemii UO: dr hab. Krzysztof

Ejsmont i dr hab. Maciej Bujak.

- Rektor prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się w Urzędzie Marszałkowskim Woj. Opolskiego z marszałkiem Józefem Sebestą – rozmowy dotyczyły pomologii w Prószkowie, a także propozycji przejścia Kolegium Języków Obcych.

- Prorektor ds. promocji i zarządzania dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. UO, była gościem 10. Brygady Logistycznej w Opolu i Stowarzyszenia Kombatantów Misji Pokojowych ONZ – z okazji Międzynarodowego Dnia Uczestników Misji Pokojowych ONZ. Prezes Stowarzyszenia Kombatantów Misji Pokojowych ONZ gen. bryg. w st. spocz. dr Stanisław Wodniak wręczył prorektor Wiesławie Piątkowskiej-Stepaniak medal Stowarzyszenia za zasługi w krzewieniu wiedzy o działaniach polskich misji pokojowych w świecie.

Minister sprawiedliwości powołał **prof. dr. hab. Stanisława L. Stadniczeńkę** w skład Komisji Egzaminacyjnej ds. Aplikacji Radcowskiej przy Ministrze Sprawiedliwości z siedzibą w Opolu.

Zebrała: **Barbara Stankiewicz**



28 V 2013. Gościem prorektor prof. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak był prorektor Uniwersytetu Politechnicznego w Odessie prof. Viaceslav Shubik (na zdjęciu drugi z prawej; obok – prof. Viktor Vlasenko)

Prof. dr hab. Ewa Malinowska

Prace badawcze prof. dr hab. Ewy Malinowskiej dotyczą aktualnych zagadnień pragmalingwistyki, lingwistyki aksjologicznej, teorii tekstu, teorii dyskursu, genologii, stylistyki oraz kwestii normatywnych i poprawnościowych. Opublikowała około 90 prac, w tym 3 monografie i 2 prace redagowane. Szczególnie cenne są opracowania dotyczące języka urzędowego i stylu dokumentów urzędowo-prawnych, którym poświęciła między innymi monografię *Wypowiedzi administracyjne – struktura i pragmatyka* (Opole 2001). Rozprawa ta przyniosła opis wielu administracyjnych gatunków mowy, pokazała te gatunki w dynamice ich rozwoju, w uwikłaniu w kontekst polityczny, kulturowy i społeczno-historyczny. Weszła do szerokiego obiegu naukowego, zyskała wysoki wskaźnik cytowań w krajowej i zagranicznej literaturze naukowej. W kręgu zainteresowań prof. dr hab. Ewy Malinowskiej były takie zagadnienia szczegółowe, jak: charakterystyka polskiego stylu urzędowego, dynamika jego przemian, analiza wzorców gatunkowych, wewnętrzne zróżnicowanie urzędowej przestrzeni komunikacyjnej, kompetencje twórcy wypowiedzi urzędowej, a także kwestie poprawności wypowiedzi urzędowych.

Swoje spostrzeżenia na temat kompetencji językowej i stylistycznej urzędników (a także petentów) przedstawiała w ramach działalności edukacyjnej (wielokrotnie prowadziła warsztaty w redagowaniu pism administracyjnych dla pracowników wielu urzędów województwa opolskiego) oraz popularyzatorskiej (wykłady w ramach Opolskiego Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego), a także na forach z cyklu *Kultura Słowa* organizowanych przez Radę Języka Polskiego przy Prezydium PAN. Brała także udział w kampanii społecznej *Język urzędowy przyjazny obywatelom* oraz w Kongresie Języka Urzędowego (zorganizowany przez rzecznika praw obywatelskich i Senat RP oraz Narodowe Centrum Kultury i Radę Języka Polskiego), a także w debacie zorganizowanej przez Kancelarię Prezydenta RP na temat językowych przeszkód w komunikowaniu się obywatela z urzędami i sądami.

Większość podejmowanych tematów realizowała w ramach prac zespołowych, między innymi uczestniczyła w międzynarodowym projekcie badawczym *Współczesne przemiany języków słowiańskich (1945–1995)*, w projekcie *Współczesna polska i słoweńska sytuacja językowa* oraz w międzyuczelnianym prestiżowym projekcie badawczym *Polskie dziedzictwo kulturowe w nowej Europie*, a także w ministerialnym grancie zespołowym *Style współczesnej polszczyzny*. Efektem prac zespołowych jest kilka więk-

szych opracowań: *Dyskurs prawnoustrojowy w Polsce na tle europejskiej kultury prawnej*, *Konstytucja jako akt stanowiący tożsamość państwa i narodu polskiego*, *Język w urzędach*, *Polszczyzna administracyjna dziś*, *Styl – dyskurs – komunikacja urzędowa*. Z kolei wymiernym rezultatem grantu własnego (MNiSW) jest książka *Konstytucja jako gatunek tekstu prawnego* (2012), przynosząca opis gatunku tekstu konstytucji na tle dyskursu prawnoustrojowego w Polsce i w Europie w perspektywie dynamicznej (w ujęciu historycznym od schyłku XVIII wieku). Analiza gatunku konstytucji jako fenomenu tekstowego, komunikacyjnego i kulturowego zarazem pokazała, że konkretne realizacje tekstów ustaw zasadniczych są ważnym składnikiem kultury wspólnoty językowej, jaką stanowi naród, a także źródłem informacji o najważniejszych wartościach dla tej wspólnoty.

Prof. dr hab. Ewa Malinowska wypromowała 63 magistrantów i dwóch doktorantów. Jako recenzentka opiniowała 7 doktoratów i 6 habilitacji, a także 5 książek do druku. Na Uniwersytecie Opolskim pełniła wiele funkcji – prodziekana na Wydziale Filologicznym (w latach 2008–2012), przewodniczącej Wydziałowej



Prof. Ewa Malinowska

Komisji ds. Przewodów Doktorskich w zakresie Językoznawstwa, kierownika Zakładu Stylistyki (w latach 2005–2012), aktualnie kieruje Katedrą Języka Polskiego w Instytucie Polonistyki i Kulturoznawstwa. Jest członkiem Senatu UO, drugą kadencję pracuje w senackiej Komisji ds. Statutu. W latach 2002 – 2008 była sekretarzem Opolskiego Oddziału Towarzystwa Miło-

śników Języka Polskiego, a w latach 2004–2008 sekretarzem generalnym Opolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Jest członkiem Polskiego Towarzystwa Językoznawczego oraz Zespołu Języka Prawnego Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN.

(m)

Nominacje profesorskie

Prof. dr hab. Eleonora Sapia-Drewniak

Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, gdzie studiowała na kierunku pedagogika. Tam też, pod kierunkiem prof. dr hab. Kamilli Mrozowskiej, przygotowała rozprawę doktorską pt. *Udział profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w popularyzowaniu wiedzy w epoce nowożytnej 1795–1918*, którą obroniła w 1979 r. W latach 1972–1974 pracowała w Międzywydziałowym Studium Kulturalno-Oświatowym Uniwersytetu Jagiellońskiego, w 1974 r. podjęła pracę w Instytucie Pedagogiki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu.

W 1991 r., na podstawie monografii *Polska oświata pozaszkolna w rejencji opolskiej w latach 1922–1939*, uzyskała na Wydziale Filologiczno-Historycznym WSP w Opolu stopień doktora habilitowanego nauk humanistycznych w zakresie historii – historii oświaty. W 2013 r. decyzją Prezydenta RP B. Komorowskiego z 26 lutego nadano jej tytuł naukowy profesora nauk społecznych (pedagogika).

Zainteresowania naukowe prof. dr hab. Eleonory Sapii-Drewniak są związane z andragogiką oraz dziejami oświaty dorosłych. Można w nich wyodrębnić kilka obszarów tematycznych. Pierwszy – najobszerniejszy, dotyczy szeroko rozumianej historii polskiej oświaty dorosłych i oświaty pozaszkolnej w rejencji opolskiej w okresie od połowy XIX stulecia do drugiej połowy XX w. Z tego zakresu przygotowała pracę habilitacyjną *Polska oświata pozaszkolna w rejencji opolskiej w latach 1922–1939* oraz *Z tradycji upowszechniania kultury na Opolszczyźnie*. W ogólnopolskich oraz zagranicznych czasopismach opublikowała kilkadziesiąt artykułów związanych z tym kręgiem tematycznym.

Problematyka wkładu kobiet w rozwój oświaty, nauki i kultury stała się dla niej drugim obszarem zainteresowań naukowych. Tym zagadnieniem poświęciła pracę *Aktywność kulturalna i oświatowa kobiet na Śląsku Opolskim w okresie międzywojennym*. Wyniki poszukiwań archiwalnych zostały opublikowane w kilku artykułach oraz pracy zwartej *Stefania Mazurek. Biografia pedagogiczna*, która stała się podstawą ubiegania się o tytuł profesora.



Prof. Eleonora Sapia-Drewniak

Trzeci nurt zainteresowań badawczych prof. dr hab. Eleonory Sapii-Drewniak dotyczy problematyki andragogicznej tj. dotyczącej człowieka dorosłego i gerontologicznej – dotyczącej osób starszych. Od początku lat 80. interesowała się penitencjarystyką, a głównie edukacją penitencjarną. Tych zagadnień dotyczyły referaty, prezentowane na polskich i zagranicznych konferencjach andragogicznych, a także opublikowane artykuły, prezentujące wyniki badań empirycznych prowadzonych na terenie zakładów karnych.

Prof. dr hab. Eleonora Sapia-Drewniak prowadziła również badania diagnostyczne dotyczące edukacji szkolnej dorosłych, jej uwarunkowań oraz efektów. Uczestniczyła w kilkudziesięciu konferencjach

ogólnokrajowych, międzynarodowych i zagranicznych. Jest promotorem 12 prac doktorskich, a 3 przewody doktorskie są w toku. Była recenzentem kilkunastu prac doktorskich w krajowych uniwersytetach. Od 1994 r. jest kierownikiem studiów doktoranckich z pedagogiki na Wydziale Historyczno-Pedagogicznym Uniwersytetu Opolskiego. Od 1999 r. była kierownikiem Katedry Badań na Kulturą i Pracą, a od 2005 jest (do chwili obecnej) kierownikiem Zakładu Edukacji

Ustawicznej. Zainicjowała powstanie specjalności gerontopedagogika na kierunku pedagogika. Od początku lat 80. jest opiekunem naukowym Uniwersytetu III Wieku.

Za pracę dydaktyczno-naukową otrzymała czterokrotnie Nagrodę Rektora, została też odznaczona Medalem Komisji Edukacji Narodowej (1998) i Srebrnym Krzyżem Zasługi (2005).

(s)

Nominacje profesorskie

Ks. prof. dr hab. Józef Mikołajec

W 1975 r. po otrzymaniu święceń kapłańskich podejmuje pracę duszpasterską w charakterze wikariusza w Opolu-Gosławicach (1975–1977), a następnie w parafii św. Krzyża w Opolu (1977–1979). Kończy studia na Wydziale Teologicznym KUL. W latach 1979–1986 pełni funkcję dyrektora ds. gospodarczych Kurii Diecezjalnej i dyrektora Domu Księża Emerytów. W 1986 r. podejmuje studia specjalistyczne z zakresu teologii pastoralnej na Wydziale Teologicznym KUL, które kończy w roku 1990 obroną pracy doktorskiej pt. *Działalność pastoralna biskupa Franciszka Jopa w diecezji opolskiej (1956–1976)*. W tym samym roku zostaje mianowany dyrektorem Wydziału Duszpasterskiego Kurii Diecezjalnej w Opolu (1991–2010), a także wykładowcą teologii pastoralnej w WSD w Nysie oraz w Instytucie Teologiczno-Pastoralnym Filii KUL w Opolu.

Po uzyskaniu stopnia naukowego doktora przez rok przebywał na stażu naukowym w Niemczech, prowadził pracę badawczą na wydziałach teologicznych uniwersytetów w Mainz i Augsburgu.

W latach 1991–1994 prowadzi zleczone zajęcia dydaktyczne na Wydziale Teologii KUL. W roku 1994 zostaje adiunktem w Katedrze Teologii Pastoralnej i Duszpasterstwa Rodzin na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Opolskiego. W roku 2000 na Wydziale Teologicznym KUL przedstawia rozprawę habilitacyjną pt. *Posługa teologów świeckich w Kościele w Polsce. Studium pastoralne*. W roku 2012 na Wydziale Teologicznym UO przeprowadza procedurę profesorską na podstawie dotychczasowego dorobku oraz opublikowanej rozprawy pt. *Formacja duchowa teologów świeckich. Studium teologiczno-pastoralne*.

Od roku 1993 pełni także obowiązki proboszcza parafii Trójcy Św. w Boguszycach k. Opola.

Uczestniczył w pracach Komisji Episkopatu Polski ds. Duszpasterstwa Ogólnego w charakterze konsultanta (1996–2000).

Był redaktorem kwartalnika pastoralnego diecezji opolskiej pt. „Forum Duszpasterskie”, wydawanego w

latach 1991–2009, autorem ok. 80 artykułów i recenzji, publikowanych w różnych opracowaniach naukowych oraz na łamach „Forum Duszpasterskiego” i „Gościa Niedzielnego”. Promotor 8 prac magisterskich. Recenzent jednej rozprawy habilitacyjnej, 3 prac doktorskich oraz 25 prac magisterskich.

Od roku 2010 pełni funkcję kierownika Katedry Katechetyki i Teologii Pastoralnej na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Opolskiego.

Zainteresowania naukowe: szeroko rozumiane problemy duszpasterstwa diecezjalnego i parafialnego (or-



Ks. prof. Józef Mikołajec

ganizacja duszpasterstwa w mieście; zasady współzycia i współpracy małych katolickich grup religijnych we wspólnocie diecezjalnej i parafialnej; zasady i sposoby kierowania parafią; wieloaspektowość problemu ofiary mszalnej), a także posługa w Kościele ze szczególnym uwzględnieniem posługi świeckich teologów. W swoich rozważaniach podjął takie zagadnienia jak: potrzeba zaangażowania polskich teologów świeckich w życiu społecznym; zawodowe problemy tych spośród nich, którzy pracują w charakterze nauczycieli religii; posługa katechetów świeckich w świetle ba-

dań; uwarunkowania ich pracy katechetycznej; stosunek świeckich teologów do stałego diakonatu; rodzaje formacji teologów świeckich, a także opinie świeckich studentów na temat studium teologii oraz ich oczekiwania wobec tych studiów.

Drugim istotnym polem zainteresowań ks. prof. dr. hab. Józefa Mikołajca są zagadnienia związane z rozwojem teologii pastoralnej: rodzaje metod teologii pastoralnej oraz główna metoda teologiczno-pastoralna, jaką jest pastoralny paradygmat.

(m)

Doktorat obroniony i nagrodzony

W konkursie na najlepsze dysertacje doktorskie obronione w 2012 r. w kategorii *Surowce, energetyka, zdrowie i środowisko*, ogłoszonym przez konsorcjum PROGRES 3 skupiające 11 uczelni Polski i Czech, została nagrodzona praca **dr Anny Pietruszki**, wykonana na Wydziale Chemii Uniwer-

sytetu Opolskiego pod kierunkiem **prof. dr hab. Krystyny Czai** i pod bezpośrednią opieką **dr hab. Marzeny Białek**.

Praca dr Anny Pietruszki (jedynej opolskiej laureatki konkursu), nosząca tytuł: *Salenowe kompleksy wanadu, tytanu i cyrkonu immobilizowane na nośniku magnezowym*

jako katalizatory polimeryzacji etylenu i jego kopolimeryzacji z wyższymi 1-olefinami, została uhonorowana III miejscem.

Uroczystość podsumowania konkursu oraz wręczenia laureatom nagród i dyplomów odbyła się 25 kwietnia br. w Ostrawie.

(k)

DIPLOM

udělený v rámci Soutěže o nejlepší disertační práci obhájenou v roce 2012

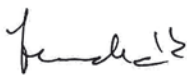
PROGRES 3



3. místo za oblast Suroviny, energetika, zdraví a životní prostředí

Anna Pietruszka

V Ostravě 28. 3. 2013


prof. Ing. Ivo Vondrák, CSc.
rektor

Nagroda Historyczna „Polityki” dla prof. Doroty Simonides

Szczęście – garściami

7 maja br. w redakcji tygodnika „Polityka” zostały wręczone Nagrody Historyczne 2012 za książki o najnowszej historii Polski, wydane w 2012 roku (Nagrody Historyczne „Polityki” są przyznawane od 1959 roku).

W skład jury przyznającego Nagrody Historyczne wchodzi wybitni polscy historycy oraz przedstawiciele tygodnika „Polityka”. W jury tegorocznych nagród byli: **prof. Włodzimierz Borodziej**, **prof. Jerzy Holzer**, **prof. Jerzy Tomaszewski**, **red. Marian Turski**, **prof. Feliks Tych**, **prof. Wiesław Władyka**, **prof. Wojciech Wrzesiński** i **dr Marcin Zaremba**.

W dziale prac naukowych i popularnonaukowych nagrodę otrzymał **Wojciech Szatkowski** za książkę *Goralenvolk. Historia zdrady* (Firma Księgarsko-Wydawnicza Kanon, Zakopane 2012). Nagrodę za debiut przyznano **Przemysławowi Gasztoldowi-Seniowi** za *Koncesjonowany nacjonalizm. Zjednoczenie Patriotyczne GRUNWALD 1980–1990* (Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2012). Decyzją jurorów Nagrodę

Specjalną otrzymało **Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów** – za rocznik *Zagłada Żydów. Studia i materiały*.

W dziale pamiętników i wspomnień nagrodę przyznano **prof. dr hab. Dorocie Simonides** za książkę *Szczęście w garści. Z familoka w szeroki świat*. Tę bogato ilustrowaną i starannie przygotowaną do druku autobiografię znanej folklorystki, byłej senator RP, wydało opolskie wydawnictwo **Michała Nowika** – Wydawnictwo Nowik.

W uzasadnieniu wyboru nagrodzonej książki **Marian Turski**, przewodniczący jury, napisał: *jej wspomnienia osadzone są – z racji pełnienia przez autorkę funkcji politycznych – w ciekawych realiach historycznych. Ważne jest pokazanie nie zawsze rozumianych w Polsce odrębnych kart historii Śląska Opolskiego.*

(bas)

Sukcesy naszych studentów

Na XVIII Międzynarodowej Konferencji Studenckich Kół Naukowych (XXX Sejmik), która obradowała w dniach 16–17 maja br. na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu, członkowie Studenckiego Koła Naukowego Hydrologów UO: **Anna Zajac** i **Tomasz Szoldrowski**, studenci kierunku ochrona środowiska przy Samodzielnej Katedrze Ochrony Powierzchni Ziemi na Wydziale Przyrodniczo-Technicznym, zdobyli I miejsce w kategorii referatów za referat pt. *Ocena skuteczności rozwiązań dla ochrony przeciwpowodziowej w odniesieniu do opolskiego węzła wodnego* (opieka naukowa: **dr hab. inż. Mirosław Wiatkowski**).

8 maja br. w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów odbyło się uroczyste ogłoszenie wyników konkursu *Generacja Przyszłości*. Wśród lau-

reatów konkursu znaleźli się studenci Uniwersytetu Opolskiego: **Magdalena Koszałkowska** i **Łukasz Kręcidło**, którzy w ramach pracy w Kole Biotechnologów UO i pod opieką **dr hab. inż. Terezy Krzyśko-Lupickiej** z Wydziału Przyrodniczo-Technicznego UO opracowali projekt *Wykorzystanie preparatów ekologicznych w procesie sanacji zanieczyszczonych mikologicznie pomieszczeń zakładów przemysłu spożywczego na terenie Opolszczyzny*.

Studenci Zakładu Prawa Finansowego Wydziału Prawa i Administracji UO zajęli ostatnio wysokie miejsca w konkursach prawniczych: **Kamila Dyla** i **Klaudia Ślęzak** – III miejsce za artykuł *Rationalism in the action as the basis in the fight against the crisis* na Międzynarodowej Konferencji Naukowej pt. *Mitigating the im-*

pact of the economic crisis in Europe by legal regulations (organizator: Elsa Polska, WPiA Uniwersytet Jagielloński, Kraków 26–27 kwietnia br.); **Andrzej Tatar** – nagrodę I stopnia za głosę do wyroku NSA z dnia 24 stycznia 2012 r., sygn. akt I GSK 746/10 na II Ogólnopolskim Konkursie na głosę do wyroku w sprawie podatkowej (organizator: SKNPP Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, Toruń 26 kwietnia br.); **Danuta Zarzeczna** – nagrodę III stopnia za głosę do wyroku NSA z dnia 1 sierpnia 2012 r., sygn. akt II FSK 107/11 na II Ogólnopolskim Konkursie na głosę do wyroku w sprawie podatkowej, organizator: SKNPP Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, Toruń 26 kwietnia br.).

(s)

Gość UO: prof. Andrzej Rychard

Jak nas widzą Marsjanie

Kwiat polskiej socjologii – tak przedstawił kolejnego gościa Złotej Serii Wykładów Otwartych UO rektor prof. Stanisław S. Niciejca, dodając, że podczas wykładu towarzyszy mu niezwykle mocna ekipa profesorów: Anna Śliz, wicedyrektor Instytutu Socjologii UO, Krzysztof Frysztański, dyrektor Instytutu Socjologii UO i Marek Szczepański (UO, UŚ), który z kolei z życzliwą zazdrością wobec dobrobytu gościa, powiedział o nim, że jest *homo duplex*, w znakomity sposób łączącym pracę badawczą z dydaktyką, a przy tym *człowiekiem niezwykle koleżeńskim, empatycznym, doskonałym towarzyszem do niespiesznej rozmowy*.

Nieco zakłopotany tymi określeniami **prof. Andrzej Rychard**, bo o nim mowa, dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, przewodniczący Wydziału I Nauk Humanistycznych i Społecznych PAN i przewodniczący Komitetu Narodowego ds. Współpracy z Międzynarodową Radą Nauk Społecznych (ICSS) w ramach

PAN, socjolog niezwykle popularny, bo często goszczący w telewizji, wygłosił w Auli Błękitnej UO wykład pt. *Scena polityczna a scena społeczna w Polsce*, rozpoczynając go tezą, że *Polacy lepiej się do rynku dostosowali niż do demokracji, ze wszystkimi konsekwencjami tego stanu rzeczy. Polak jest dość wątlwym uczestnikiem życia politycznego, jest za to bardzo aktywnym uczestnikiem życia gospodarczego*.

Świat realny – niemedialny

– Jaki obraz płynie do nas z mediów? (Samokrytycznie muszę powiedzieć, że często uczestniczę w budowie tego obrazu, choć staram się go korygować). Gdyby ktoś, kto zupełnie nic nie wie o naszym kraju, przyjechał do nas, np. z Marsa, i oglądał wyłącznie telewizję, czytał wyłącznie gazety, to miałby następujący obraz Polski: to kraj, w którym o wszystkim decyduje polityka, w którym ludzie właściwie niczego innego nie robią, tylko nieustannie są zainteresowani tym, co się dzieje na scenie politycznej. Bo w mediach informacje dotyczącego życia politycznego są absolutnie pierwszoplanowe, życie jest zredukowane do polityki, a socjologia w mediach jest zredukowana do komentarzy na temat badań opinii publicznej dotyczących zachowań polityków. Ten nasz Marsjanin odniósłby także wrażenie, że Polska to jest pięć-sześć dużych miast, poza którymi niewiele się dzieje, no, chyba że się wydarzy jakaś zbrodnia – wtedy ta Polska B, C i D zaczyna się w mediach pojawiać. I kolejne wrażenie, jakie miałby nasz gość: Polska to jest kraj nad przepaścią, jeszcze jeden krok i spadniemy... A więc medialny obraz Polski to z jednej strony nadmierna polityzacja, z drugiej – nadmierna urbanizacja społeczeństwa, którego większość w rzeczywistości mieszka w małych miasteczkach i wioskach. I po trzecie – dramatyzacja i teatralizacja konfliktu, który w Polsce występuje. I kiedy socjolog jest proszony o komentarz, to zwykle porusza się w ramach takiego obrazu. Niezmiernie rzadko socjologowie są proszeni o komentarze wykraczające poza te ramy, np. w odpowiedzi na pytanie, jak Polacy zachowują się jako konsumenci czy producenci. Najczęściej o to np., czy Ruchowi Palikota przybywa, czy ubywa, a Aleksander Kwaśniewski podbija po raz kolejny serca Polaków, czy nie.

Jeśli spojrzymy na to, co się dzieje w Polsce z naprawdę socjologicznej perspektywy, to trzeba ten ob-



Prof. Andrzej Rychard

DUŻE NAZWISKA Z BLISKA

raz medialny mocno zdemistyfikować, odejść od niego i przestać kreślić obraz Polski jako kraju zdominowanego przez jeden czynnik, jakim jest polityka. Istnieje bowiem wyraźna rozdzielność sfer: społecznej, politycznej i ekonomicznej. I ta rozdzielność, w pewnym sensie, jest wynikiem transformacji, i to pozytywnym wynikiem – bo to przecież w minionym ustroju wszystko było polityce podporządkowane. A my się zachowujemy tak, jakby ta zasada dalej obowiązywała.

Zacznijmy od sfery społecznej.

Stan ducha czy stan rzeczy?

– Teza, której będę chciał bronić, mówi, że istnieje pewna segmentacja, fragmentacja modeli społecznych funkcjonujących w naszym kraju – one są kompletnie do siebie nieprzystające. Od pewnego czasu bardzo silnie obecna w debacie jest teza, że w zasadzie nie ma jednej Polski – są dwie. Różnie się te dwie Polski definiuje. Niektórzy mówią, że linia podziału pokrywa się z linią podziału politycznego, a więc mamy Polskę Platformy Obywatelskiej i Polskę Prawa i Sprawiedliwości. Inni, że to jest podział na Polskę małych miasteczek i wielkich miast. Albo: Polskę ludzi lepiej i gorzej wykształconych. Tych, co lepiej sobie radzą z transformacją ustrojową i tych, którym wychodzi to gorzej... Niektórzy powiadają, że te dwie Polski to jest wręcz podział cywilizacyjny i że między nimi nie ma żadnej komunikacji. To, co się wydarzyło po katastrofie smoleńskiej i polaryzacja tej bardzo ostrej debaty publicznej skłaniały do przyjęcia, że jest to prawdziwy obraz naszego społeczeństwa.

Przytoczę pogląd wybitnego polskiego socjologa Jerzego Szackiego, który już parę lat temu powiedział, że spory o to, czy jest jedna, czy dwie Polski, to są spory odwieczne, obecne zresztą także w innych krajach, które zwykle nabierają na sile, kiedy zaognia się jakiś konflikt – są odbiciem tego konfliktu, a czasem same mogą go wzmacniać. Ale powiedział też profesor Szacki coś, co moim zdaniem jest bardzo istotne: że w jego mniemaniu tezy o tym, że istnieją dwie Polski, oddają w większym stopniu stan ducha niż stan rzeczy, a więc są bardziej kwestią języka i wizji niż kwestią rzeczywistości. Tak ostre przeciwstawienie stanu ducha i stanu rzeczy może w socjologu budzić uczucie dyskomfortu, bo przecież socjologia jest nauką m.in. o tym, że stan ducha jest w istocie stanem rzeczy. Że rzecz jest taka, jaką duch widzi. To, co robił Florian Znaniecki i inni badacze, jest wkładem w tę właśnie perspektywę myślenia. Myślę, że w stanowisku wyrażonym przez profesora Szackiego jest coś głęboko słusznego: że ten podział, tak silny, dychotomiczny, polaryzujący na dwie Polski, definiowane w kategoriach cywilizacyjnych, jest obecny z różną siłą, na różnych poziomach rze-

czywistości: najsilniejszy na poziomie medialno-politycznego opisu tej rzeczywistości i generalnie w sferze polityki. Rozmywa się trochę na poziomie świadomości społecznej, a prawie zanika na poziomie struktury społecznej. Można oczywiście powiedzieć, że zwolennicy PiS-u są relatywnie częściej poniżej jakiegoś poziomu zamożności i wykształcenia niż zwolennicy PO, aczkolwiek nie są to różnice dramatyczne.

Przez długi czas byłem skłonny tak właśnie ostrożnie sądzić, dopóki nie zapoznałem się z wynikami badań profesora Radosława Markowskiego oraz dr. Mikołaja Cześnika, którzy pokazują, że np. ten podział polityczny między Platformą Obywatelską a PiS-em coraz silniej się w polskim społeczeństwie strukturalizuje: coraz wyraźniej widać, że elektoraty tych dwóch partii są w różnych miejscach struktury społecznej pod względem zamożności i wykształcenia. Więc w tym sensie być może ten podział zaczyna schodzić z poziomu stanu ducha na poziom stanu rzeczy. To jest, moim zdaniem, bardzo ważna obserwacja. Myślę, że jesteśmy w trakcie tego procesu i to, czy on się będzie pogłębiał, jest fundamentalnie ważne. Bo gdyby ten proces się pogłębiał, oznaczałoby to, że stan ducha zaczyna w pewnym momencie sterować, wpływać na stan rzeczy.

Ale to nie jest jedyny obraz Polski.

Trzy obrazy polskiej sceny społecznej

– Jest drugi obraz Polski, obecny w pracach wybitnych polskich socjologów, takich jak prof. Henryk Domański, który od wielu lat dokumentuje tezę, że polska struktura społeczna nie dzieli się na żadne dwie struktury, że po prostu zachodzi u nas proces konwergencji, czyli zbliżania się struktury społecznej Polski do jakiegoś idealnego modelu struktury społecznej rozwiniętych społeczeństw Zachodu. Ten proces zachodzi głównie dlatego, że wykształcają się mechanizmy meritokracji – Domański ma na myśli to, że kiedy coraz silniejszy się staje związek pomiędzy wykształceniem, prestiżem i dochodami z pracy, tymi trzema czynnikami statusu, to następuje proces rekompozycji czynników statusu (w odróżnieniu od stanu dekompozycji, który był charakterystyczny dla realnego socjalizmu, a który polegał na małym związku pomiędzy prestiżem a dochodami, co opinia publiczna rejestrowała znanym powiedzeniem: *Czy się stoi, czy się leży...* Albo powiedzeniem: *My udajemy, że pracujemy, a państwo udaje, że nam płaci*).

Twarde dane empiryczne pokazują, że w Polsce wzrasta, a przynajmniej wzrastała do mniej więcej 2008 roku, opłacalność wyższego wykształcenia mierzona przyrostami dochodów z pracy, które można związać z przyrostami wykształcenia. Okazywało

DUŻE NAZWISKA Z BLISKA



się nawet, że ów dochód jest jakąś dającą się policzyć funkcją poziomu wykształcenia. A więc, mówiąc krótko, model dekompozycji odchodzi w przeszłość, następuje rekompozycja czynników statusu, a merytokracja zaczyna działać. W socjalizmie, jak wiadomo, wyglądało to tak, że władza w pewnym sensie tej dekompozycji używała, myślę tu o komunikatach typu: *My wiemy, że lekarze, nauczyciele są niedopłacani w sensie finansowym, ale są nadpłacani w sensie prestiżu, a więc bilans wychodzi na zero.*

Dziś zaczyna być coraz bardziej widoczne, że pewien typ wykształcenia jednak się opłaca. Zdaję sobie sprawę, że kiedy mówię te słowa do młodzieży, która za chwilę opuści mury tej uczelni i zacznie szukać pracy, nie brzmi to zbyt wiarygodnie. Bo przecież w ciągu ostatnich kilku lat podaż ludzi z wyższym wykształceniem gwałtownie przyrosła, podczas gdy popyt na nich, mierzony liczbą stanowisk, wcale nie przyrósł – liczba stanowisk wymagających wyższego wykształcenia pozostaje na poziomie z połowy lat osiemdziesiątych... W związku z tym nieuchronną staje się sytuacja, kiedy ludzie z wyższym wykształceniem muszą zajmować w pracy niższe stanowiska. To może oczywiście rodzić poczucie frustracji, niezadowolenia. Niektórzy wręcz twierdzą, że młodzi ludzie, absolwenci wyższych uczelni stają się dziś współczesnym proletariatem, klasą, która może zastąpić np. wielkoprzemysłową klasę robotniczą z okresu jej buntu przeciwko realnemu socjalizmowi, zaś zatrzymanie proce-

sów zmierzających do merytokracji może być jednym z czynników powodujących wzrastającą popularność wizji struktury społecznej, podzielonej na dwie części głębokim, nie do przeskoczenia rowem.

Obok tych dwóch najbardziej kontrastujących ze sobą wizji struktury społecznej (podział ostry, dychotomiczny i podział gradacyjny) są też inne tezy dotyczące sceny społecznej. Na przykład tezy dość radykalne, mówiące o tym, że właściwie nie ma już społeczeństwa, że ono zanika w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Że społeczeństwo zostaje oderwane od swojej lokalizacji przestrzennej, w wyniku oddziaływania rozmaitych sieci, w tym głównie sieci komunikacyjnych, jak Internet. Lokalność nabiera zupełnie innego charakteru – tworzy się coraz więcej lokalnych mikrospołeczności poza sferą państwa. One mają bardzo wirtualny charakter, ci ludzie ani państwa, ani polityki do niczego nie potrzebują. Bardzo ważną pracę na ten temat napisał prof. Piotr Gliński, który jest socjologiem (przypominam o tym, bo zwłaszcza ostatnio nie wszyscy o tym pamiętają) – to jest praca o istnieniu enklaw w społeczeństwie polskim.

W moim przekonaniu te trzy obrazy polskiej sceny społecznej (pierwszy – społeczeństwa nie ma, drugi – jest, ale podzielone na dwie części, trzeci – zbliżamy się pod tym względem do modelu rozwiniętych krajów zachodnich) w jakimś stopniu istnieją naraz, równolegle. I w różnych momentach mamy do czynienia z aktywizowaniem się działań na każdej z tych scen.

DUŻE NAZWISKA Z BLISKA

Tu potrzeba Gombrowicza

– Jak na tym tle wygląda polska scena polityczna?

Ta scena w słabym stopniu odzwierciedla tradycyjnemu podziały o charakterze ekonomicznym. Na początku transformacji, przez parę lat wszyscy żyliśmy wizją, że normalny, zdrowy kierunek rozwoju jest taki, że po okresie, kiedy ta scena będzie zdominowana przez podziały kulturowo-cywilizacyjne, głównie o charakterze historycznym („Solidarność” – postkomuna), nastąpi okres, kiedy scena polityczna będzie o wiele wyraźniej odzwierciedlała podziały wedle interesów ekonomiczno-społecznych, tak jak to jest w nowoczesnych społeczeństwach. A więc, że będzie bardziej socjalna lewica i bardziej liberalna prawica. Ta prognoza się nie spełniła. Bo ten model już zanika. Paradoksalnie, z powodu pewnych procesów ponowoczesnego rozwoju, okazało się, że podział kulturowy, podział wedle tego, jakie ludzie mają poglądy np. na temat aborcji, eutanazji, stosunku do mniejszości seksualnych jest podziałem, który coraz wyraźniej wkracza w politykę, nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie. I nim zdołała się u nas utworzyć polityka w oparciu o interesy ekonomiczne, nim zdążyły się wykształcić podziały polityczne budowane w oparciu o interesy ekonomiczne, jeszcze bardziej wzmocniły się te podziały o charakterze kulturowym – dziś bardzo mocno obecne na polskiej scenie politycznej, czasem w przedziwny sposób nie korelując z podziałami wedle interesów ekonomicznych. Wielokrotnie wykazywano, że ludzie, którzy są prawicowi ideologicznie, niekoniecznie są prawicowi ekonomicznie, co dotyczy także lewicy.

Na tle tych niespójnych podziałów na polskiej scenie politycznej trzeba widzieć uczestnictwo polityczne, które jest relatywnie słabe, z dość dużą wichrowatością, chwiejnością polityczną, która polega na tym, że te same osoby w kolejnych wyborach potrafią zmieniać swoje preferencje i to pomiędzy blokami partyjnymi, a nie tylko poszczególnymi partiami (choć ostatnio ten proces nie jest tak wyraźny). Stąd i społeczeństwo dość chwiejnie uczestniczy w polityce.

Jest swego rodzaju paradoksem polskiej polityki sposób, w jaki nasi politycy próbują grać na antypolitycznych nastrojach społeczeństwa i wykorzystywać je do budowy politycznego poparcia. Grają na rozmaite sposoby. Począwszy od Lecha Wałęsy, który jeszcze jako prezydent, widząc idący na Belweder marsz, powiedział w swoim stylu: *Kochani, ja bym bardzo chętnie stanął na czele tego waszego marszu przeciwko mnie samemu... Bo jestem za i jestem przeciw...* Poprzez wiele innych zachowań polityków, którzy np. próbowali udowodniać, że nie są politykami, tylko fachowcami i profesjonalistami. Od czasu, kiedy tworzono partię, która dzisiaj jest u władzy, Platformę Obywatelską, minęło już sporo lat, nikt już pra-

wie nie pamięta, że kiedy ta partia się tworzyła, nie chciała nazywać się partią, tylko platformą, nie chciała się nazywać polityczną, tylko obywatelską – po to, by używając tej antypartyjnej retoryki, stać się niezwykle skuteczną partią polityczną. Ten proces trwa nadal. W ostatnich wyborach lokalnych w Warszawie hasła PO głosiły: *Budujemy szpitale, budujemy baseny, szkoły – nie róbmy polityki!* Przekaz jest jasny: *my nie jesteśmy politykami*. Nawet socjolog nie jest zdolny do odczytania tego opisu, tu potrzeba Gombrowicza, żeby zrozumieć, jakie antypolityczne maski potrafi zakładać polityka, udając, że nie jest polityką – po to, żeby zyskać większe polityczne poparcie. Rząd techniczny też jest w istocie realizowaniem tej samej strategii, udawania, że robi się coś, co nie jest polityczne, po to, żeby wzmocnić swoją polityczną pozycję. To jest fatalne, ponieważ budzi w elektoracie dewastującą niechęć wobec polityki. Bo skoro ludzie widzą, że sami politycy uważają, że polityka jest czymś, od czego trzeba się zdystansować, to nie czują się zachęceni do uczestniczenia w tej polityce i jeszcze bardziej się z niej wycofują.

W rezultacie, jeśli się analizuje polską scenę polityczną, to trzeba patrzeć, co się dzieje poza nią. A więc – co się dzieje na tej scenie nieoficjalnej (rolę tej nieoficjalnej odkryliśmy po raz pierwszy wtedy, gdy zaczęliśmy studiować różnego rodzaju afery, choćby aferę Rywina). Bo na tej scenie oficjalnej coraz mniej ważne dla władzy procesy zachodzą. Wielu socjologów, a broni tej tezy prof. Jadwiga Staniszkis, uważa, że władza konsekwentnie oddziela się od polityki. Że to, co dotyczy władzy, realizuje się w ukrytych strukturach (np. globalnych korporacjach), jest coraz trudniej kontrolowane przez demokratyczny proces polityczny, który pełni w istocie rolę już tylko pewnego rytuału i sposobu komunikacji ze społeczeństwem. I taki np. spór między PO i PiS-em jest czytelnym teatrem dla opinii publicznej, a prawdziwa rozgrywka o władzę toczy się gdzieś indziej. I z tego punktu widzenia ten podział między PO i PiS-em jest potrzebny obu tym partiom po to, żeby mogły istnieć.

Exit groźniejszy od palenia opon

– Więc tak naprawdę ważne jest to, co się dzieje poza oficjalną polityką. A poza nią są także ci, którzy w polityce nie uczestniczą. Na nich właśnie trzeba zwracać większą uwagę, ponieważ nieuczestnictwo polityczne jest w Polsce bardzo ważnym zjawiskiem. Ludzie w Polsce nie uczestniczą w polityce, bo albo nie są świadomi kompetencyjnie (to ludzie zwykle bardzo nisko wykształceni), albo przeciwnie – robią to zupełnie świadomie, w wyniku świadomego wyboru, w proteście przeciwko polityce, bądź też nie mo-

DUŻE NAZWISKA Z BLISKA

gą w niej uczestniczyć, choć chcieliby... Polska socjolog Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz pokazała, że ludzie, którzy protestują, mogą być traktowani jako ci, którzy uczestniczą w pewnej alternatywnej formie politycznej partycypacji. Są to ludzie niekoniecznie mocno sfrustrowani, niekoniecznie z niższych piętér struktury społecznej. Natomiast ci, którzy nie protestują, są ci-si – to są najczęściej grupy najbardziej sfrustrowane, które nie protestują, bo nie mogą. Konkluzja tych wyników badań jest następująca: czasem ludzie protestują nie dlatego, że muszą, tylko dlatego, że mogą, a ci, którzy nie protestują, to nie dlatego, że nie chcą, tylko – nie mogą. Idąc dalej – protest nie zawsze jest wynikiem głębokiej frustracji i chęci wyjścia poza system, a brak protestu nie zawsze jest przejawem satysfakcji i zadowolenia. I to jest konkluzja, której nasze władze nie są w stanie, w moim przekonaniu, pojąć, ponieważ one cały czas poruszają się w starej perspektywie: jak przyjadą do Warszawy robotnicy i będą palić opony, to znaczy, że jest źle. A jak jest cisza, to znaczy, że jest dobrze. A tymczasem po roku takiej ciszy okazuje się, że milion Polaków wyjechało do Wielkiej Brytanii, a więc mamy do czynienia ze zjawiskiem, któ-

re wybitny badacz Albert Hirschman nazwał strategią *exit*, w odróżnieniu od strategii *voice*. Bo człowiek niezadowolony może to niezadowolenie wyrazić głośną krytyką, albo wyjść. Według mnie *exit* jest dla systemu o wiele większym niebezpieczeństwem, ponieważ jest dewastujący, nie widać go na pierwszy rzut oka, a politycy nie są na to zjawisko wyczuleni, bo dostrzegają tylko hałaśliwe protesty.

Do niedawna byłem skłonny sądzić, że przeszkodą w budowie polskiego społeczeństwa obywatelskiego jest brak obywatelskiego uczestnictwa. Dziś nie wiem, czy przypadkiem nie zaczynamy być świadkami zjawiska, w którym coraz silniejszym zagrożeniem staje się antyobywatelskie uczestnictwo, czyli uczestnictwo bardzo radykalne. Ta obserwacja każe inaczej spojrzeć na tezę, którą wcześniej przedstawiłem: że głośny protest został w jakimś stopniu przez system kupiony i że stracił swoje antysystemowe ostrze, a najbardziej antysystemowy stał się właśnie *exit*.

relacja: **Barbara Stankiewicz**
Fot. **Jarosław Mokrzycki**



Rys. Leszek Ołdak

DUŻE NAZWISKA Z BLISKA

Gość UO: prof. Anna Wolff-Powęska

16 maja br. gościem Uniwersytetu Opolskiego była prof. Anna Wolff-Powęska, politolog, historyk idei z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, która w sali im. prof. Józefa Kokota Collegium Civitas spotkała się ze studentami i pracownikami naszej uczelni, wygłaszając wykład pt. *Kto włada naszą pamięcią zbiorową?* Spotkanie zorganizował Instytut Politologii UO.

Kto rządzi naszą pamięcią?

– Na tytułowe pytanie: kto rządzi naszą pamięcią, mogłabym odpowiedzieć przewrotnie słowami Orwella: *Kto dominuje nad teraźniejszością, ten włada przeszłością*, ale oczywiście byłoby to spore uproszczenie. W tym pytaniu zawarte jest pytanie o kondycję zbiorowości narodów w Europie: jacy jesteśmy, dokąd zmierzamy – na bazie tego, skąd przychodzimy, a także refleksja: w jakim stopniu nasza kultura historyczna kształtuje naszą kulturę polityczną.



Prof. Anna Wolff-Powęska (fot. Jerzy Mokrzycki)

W ostatnich dwóch dekadach mamy do czynienia z renesansem pamięci zbiorowej, renesansem debaty na temat przeszłości. Złożyło się na to z pewnością wiele czynników. Po pierwsze: wszystkie przełomy generują zainteresowanie przeszłością. Tak było w roku 1918, 1945, tak jest po 1989. Ludzie czują się dziś w jakimś sensie bezradni wobec wyzwań rzeczywistości, stracili zaufanie do właściwie wszystkich instytucji, szukają więc potwierdzenia własnej tożsamości w wybranych segmentach przeszłości. Następuje gwałtowne przywłaszczanie i dopisywanie historii. Narody, które nigdy nie miały własnej państwowości, jak Ukraina, Białoruś, Słowacja, piszą swoją historię od nowa. Społeczeństwa, których pamięć do 1989 roku była zablokowana, chcą ujawnić, upowszechnić swoją pełną dramatyzmu historię. Dokonuje się więc ciągła konfrontacja pamięci wschodu i zachodu Europy. Zachód, który długo nie chciał słuchać historii wschodniej Europy, dziś zaczyna to robić. Nawiązuje się powoli dialog o przeszłości w poczuciu odpowiedzialności za wspólną przyszłość.

Mówimy ciągle o pamięci zbiorowej, a przecież naród nie ma pamięci. Tak samo jak nie ma sumienia. Sumienie, pamięć może mieć tylko jednostka. Czy w takim razie uprawomocnione jest to pojęcie? Otóż w naukach społecznych, humanistycznych występuje pojęcie pamięci komunikatywnej. Ta pamięć jest krótka, jednogeneracyjna – ważne jest, co z niej pozostanie w pamięci kulturowej. Naród nie ma pamięci, ale kształtuje pamięć członków swojej wspólnoty poprzez podręczniki szkolne, kanon lektur, obrzędowość, rytuały, święta, wspólne wartości, kulturę, tradycje... To wszystko tworzy fundament wspólnej pamięci, którą – trochę upraszczając – nazywamy pamięcią zbiorową.

O ile w debacie publicznej mamy do czynienia z nakazem pamięci, o tyle nikt nie mówi o nakazie zapomnienia. A przecież te dwie kategorie znajdują się w ciągłej dialektyce, jedno warunkuje drugie. Friedrich Nietzsche, filozof niemiecki, powiedział: *Bez pamięci moglibyśmy żyć, ale bez zapomnienia – nie*. On potępiał tę obsesję pamięci, zresztą neurologicy mówią to samo – pewne rzeczy trzeba wyrugować z pamięci, żeby móc normalnie funkcjonować. Już w 44 roku przed

DUŻE NAZWISKA Z BLISKA

naszą erą, kilka dni po tym jak zamordowano Cezara, Cycero domagał się, aby pamięć zbrodniczych czynów została zatarta przez niepamięć. Po wielu konfliktach i wojnach ogłaszano amnestię po to, by pamięć konfliktu nie zmieniała się w nowy konflikt – aby uniknąć kolejnych zbrojnych konfrontacji trzeba było po prostu przebaczyć, darować.

Między nauką a polityką

– Systemy totalitarne uprawiały pamięciobójstwo. Pamięć tych czynów, które przeszkadzały w sprawowaniu władzy skazywano na banicję. Palono książki, później palono ich autorów... Ale jak się okazuje, w demokracji też próbuje się manipulować pamięcią, traktując historię jako moralną maczugę skierowaną przeciwko wrogom politycznym.

O przeszłości mówimy albo pozytywnie, albo negatywnie, nigdy obojętnie. Ta emocjonalność, zaangażowanie w mówieniu o przeszłości jest wykorzystywana, bo wprawdzie historii nie da się zmienić, ale można zmienić pamięć. Każdy naród chciałby być dumny ze swojej przeszłości, zatem dba o to, żeby nie ujawniać pewnych niewygodnych faktów, niedoskonałości. A w tym pomagają przede wszystkim politycy i partie polityczne.

Przez kulturę historyczną rozumiem wszelkie formy, w jakich zbiorowości prezentują swoją wiedzę historyczną, w jakich ją interpretują, jakie tworzą mity, wyobrażenia i obrazy przeszłości. Przez pojęcie polityki historycznej natomiast (to pojęcie zapożyczone z niemieckiego jest bardzo niezręczne, bardziej poprawne byłoby: polityka wobec przeszłości, pamięci) rozumiem wszelkie intencjonalne działania, które traktują historię jako formę sprawowania władzy. Mówiąc bardzo lapidarnie, jest to uprawianie polityki przy użyciu historii. Tak działa się, odkąd istnieje instytucja państwa. Politykę historyczną uprawiali nadworni kronikarze, dworzcy historycy, głoszący chwałę swoich panów. Historia była i jest utrwalana przy pomocy pomników, obrazów, filmów, inscenizacji bitew.

Dziś historyk, badacz znajduje się w polu ciągłego napięcia – między nauką a polityką. Niestety, historyk, strażnik pamięci, przegrywa tę batalię. Bo historiografia nie posługuje się obrazami, a więc nie ma szans przedrzeć się ze swoją prawdą do świadomości młodych ludzi. Pojawia się oczywiście pytanie: a co to jest prawda? I kto ma prawo ją głosić?

Jeszcze po pierwszej wojnie światowej mówiono o zwycięzcach i pokonanych, po drugiej wojnie światowej – o sprawcach, świadkach i ofiarach. Jeszcze po pierwszej wojnie światowej żołnierz wracał do domu jako bohater, bez względu na to, po czyjej stronie walczył. Ponieść śmierć dla ojczyzny to był honor. Lu-

dobójstwo w czasie II wojny światowej sprawiło, że tak już nie można było powiedzieć. Po jej zakończeniu narodom okupowanym wydawało się, że proces rozliczenia z przeszłością będzie przebiegał tak, jak w życiu religijnym: nastąpi wyznanie winy, potem pokuta, posypanie głowy popiołem, worek pokutny, zadostuczynienie, a na końcu przebaczenie i pojednanie. Ale w życiu publicznym, politycznym, społecznym ten proces jest bardzo rozciągnięty w czasie, nawet na kilka generacji. Bo wyznanie winy stygmatyzuje. Milczenie jest obroną twarzy przed stygmatyzacją, zniesławieniem, potępieniem społecznym. A przecież honor i duma są podstawą każdej tożsamości – można być dumnym z cierpienia, ale trudno być dumnym z powodu winy. Stąd po II wojnie światowej pojawiła się cała masa strategii obronnych. Ten proces trwa już 70 lat i będzie trwał dalej, bo każda generacja zadaje nowe pytania.

Wojna świąt

– W Polsce mamy dziś do czynienia z głębokim podziałem, jeśli chodzi o interpretację i ocenę przeszłości. Najbardziej spektakularnym medium, po które najchętniej sięgają politycy, są święta pamięci. I tutaj mamy do czynienia z rewanżem pamięci. Każdy nowy sytem, każdy nowy władca rozpoczyna rządzenie od zmiany kalendarza świąt. Po 1945 r. przy pomocy kalendarza władze PRL rozliczyły się z okresem międzywojennym: wyrugowano święto 3 Maja i święto 11 Listopada, co sprawiło, że byliśmy świadkami i uczestnikami wojny świąt: 1 Maja z 3 Maja, 7 Listopada z 11 Listopada. Cała historia 1918 – 1939, łącznie ze świętami, została wtedy odrzucona jako reakcyjna. Historia odwróciła się po 1989 r. – przywrócono święta z okresu międzywojennego, ze świąt obchodzonych w PRL pozostał 1 Maja, no bo trudno było wyrzucić z kalendarza święto obchodzone na całym świecie od 1889 roku na pamiątkę krwawego stłumienia buntu robotników w Chicago... Wróciły święta 3 Maja i 11 Listopada, Święto Wojska Polskiego – dotąd obchodzone 12 października, w rocznicę bitwy pod Lenino, zaczęto obchodzić 15 sierpnia, w rocznicę cudu nad Wisłą. Te zmiany miały charakter ideologiczny, wyrażały także nasz stosunek do sąsiada.

Specyfiką PRL była wojna świąt kościelnych z państwowymi, bardzo wyraźna w 1966 r., kiedy obchodzono 1000-lecie istnienia Polski.

Wskazuję na te rytuały świąteczne, ponieważ one odgrywają w społeczeństwie ogromną rolę, dają poczucie ciągłości historii, niepowtarzalności. Ważne jest także, co kto w czasie tych obchodów powie. Przykład: 8 maja 1985 r., 40 lat od zakończenia II wojny światowej kanclerz Helmut Kohl spotkał się z pre-

DUŻE NAZWISKA Z BLISKA

zydentem USA Ronaldem Reaganem na cmentarzu w Bitburgu, gdzie obok grobów pochowanych tam żołnierzy amerykańskich znajdują się groby żołnierzy SS. To spotkanie, właśnie tam, miało pokazać, że Niemcy są już innym, nowoczesnym narodem. Ale dla ofiar liczyła się ta rocznicowa symbolika. Wybuchł skandal.

Są tylko dwa państwa, którym udało się zachować niezmiennione święta: w Stanach Zjednoczonych od zawsze 4 lipca obchodzą święto niepodległości, we Francji – 14 lipca świętują zdobycie Bastylji. Wszystkie inne państwa, których ciągłość kulturowa, tak jak u nas była przerywana, nieustannie zmieniają nazwy ulic, posągi na cokółach pomników...

Ile pamięci?

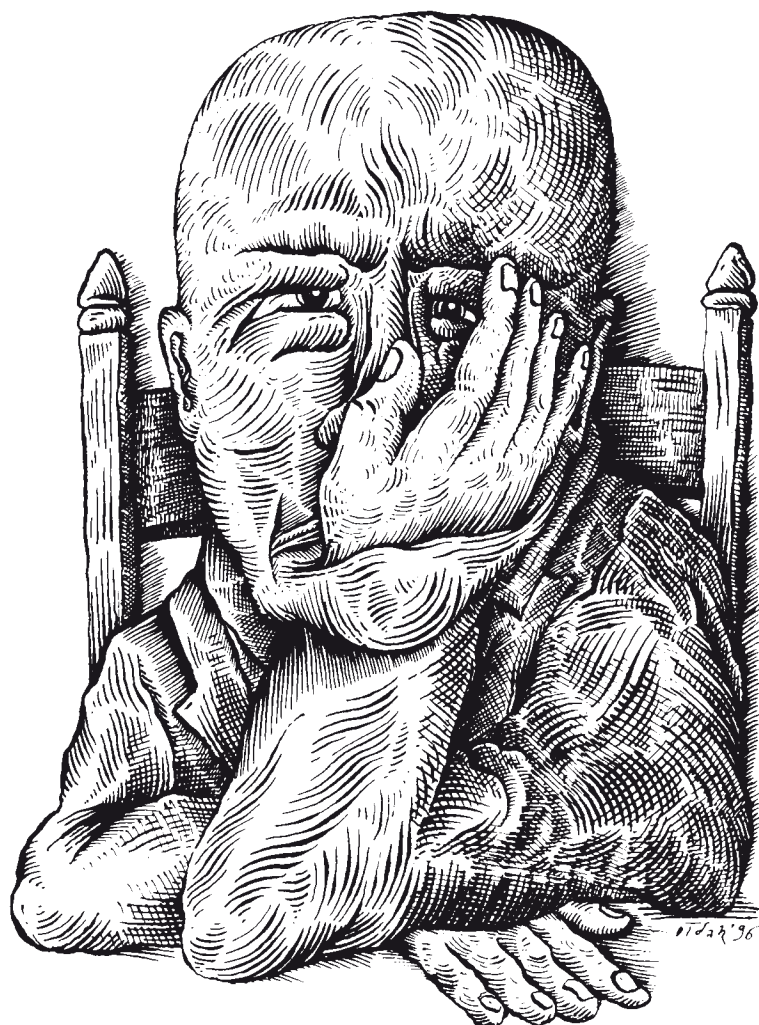
– Wróćmy na polskie podwórko, a więc i do głębokiego podziału między naszymi politykami – to pęknięcie ma głębokie uzasadnienie w interpretacji historii. Pierwsza grupa to politycy i ich zwolennicy, którzy uważają, że polityka historyczna powinna być centralnym zadaniem państwa. Z przesadą można powiedzieć, że są zwolennikami utworzenia ministerstwa prawdy historycznej, jak w *Roku 1984* Orwella, dodajmy – jedynej prawdy historycznej. W tym pragnieniu zawiera się cała istota patriotyzmu afirmacyjnego. Przed kilku laty Jan Józef Lipski, autor pracy *Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy* z 1981 r., został odsądzony od czci i wiary, ponieważ przypominał, że Polska miała na swym koncie również niechlubne czyny, że nie ma niewinnych narodów, że każdy był kiedyś w różnych momentach historycznych i sprawcą, i ofiarą, i tzw. świadkiem uczestniczącym. Okazało się, że ten, kto krytykuje własną przeszłość, wydobywa na światło dzienne niechlubne czyny, ten jest zdrajcą. Politycy, którzy są zwolennikami tej jedności pamięci historycznej, uważają, że trzeba ją społeczeństwu zaordynować – temu zadaniu trzeba podporządkować program szkolny – wszyscy pamiętamy zmianę kanonu lektur, wprowadzoną przez ministra Giertycha.

Druga grupa polskiego społeczeństwa uważa, że pamięć jest formą wolności. W związku z tym rzeczą naturalną jest, że żołnierze AK mają inną pamięć okresu II wojny światowej niż żołnierze AL, że inna jest świadomość i pamięć chłopca

z Lubelskiego, a inna więźnia obozu koncentracyjnego. Inaczej pamiętają Ślązacy, inaczej Kaszubi. Ci politycy i ich zwolennicy uważają, że Polska nie jest wybrany, wyjątkowym narodem, nasza historia też nie była wyjątkowa, a więc i pamięć o niej nie musi być wyjątkowa. Ta grupa uznaje, że pamięci może być wiele, jest zdania, że musimy wszyscy swoich wspomnień i przeżyć z szacunkiem wysłuchać.

Żyjemy w jednoczącej się Europie. Jej wartością jest wielość kulturowa, a więc niemożliwa jest Europa homogenicznej pamięci. Ale warunkiem poczucia wspólnoty od zawsze był dialog. Najważniejsze, żebyśmy posiadli minimum wiedzy na temat naszej przeszłości, abyśmy mogli z szacunkiem wysłuchać tego, co mają do powiedzenia na ten temat inni.

relacja: **Barbara Stankiewicz**



Zaduma, rys. Leszek Ołdak

DUŻE NAZWISKA Z BLISKA

Gość UO: prof. Tomasz Szarota

O urokach zawodu historyka opowiadał 14 maja br. studentom i pracownikom Uniwersytetu Opolskiego gość Złotej Serii Wykładów Otwartych – prof. dr hab. Tomasz Szarota, uczeń Stefana Kieniewicza, kierownik Pracowni Dziejów Polski po 1945 roku w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk, badacz dziejów II wojny światowej i okupacji hitlerowskiej, członek Rady Naukowej Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie. Historyk, który uprawia ten zawód od pięćdziesięciu lat.

Szaleństwa profesora Szaroty

Okazja do poznania niezwykłych ludzi – to pierwszy z uroków zawodu, który wymienił profesor, prezentując fotografie tych osób, m.in. mecenasa Stanisława Roweckiego, brata legendarnego Grota, wykonawcy testamentu Stefana Grota Roweckiego.

Postanowił go odszukać. Sięgnął po najprostsze źródło informacji: warszawską książkę telefoniczną (od tamtej pory, poszukując świadków wydarzeń historycznych, albo ich krewnych, zawsze zaczynał od książki telefonicznej właśnie), znalazł numer, nawiązał kontakt. Stanisław Rowecki, jak wspomina, na początku był bardzo ostrożny wobec młodego wówczas, w dodatku nie posiadającego żadnych rekomendacji

historyka. Nieufność przełamała informacja, że dziadek Tomasza Szaroty był legionistą.

– Wstał, podał mi rękę, mówiąc, że od tego momentu ma do mnie całkowite zaufanie. Powiedziałem mu: *znam syna legionisty, ale nie mam do niego zaufania. A Stanisław Rowecki: to się zdarza, ale niezmiernie rzadko.*

Kolejne fotografie: Józef Rybicki, dowódca warszawskiego Kedywu, a potem Komitetu Obrony Robotników, Irena Sendlerowa, o uhonorowanie której Orderem Orła Białego profesor Szarota zabiegał i u Karola Modzelewskiego, i Bronisława Geremka, i Władysława Bartoszewskiego. Bezskutecznie. Po-



Prof. Tomasz Szarota (fot. Jarosław Mokrzycki)

DUŻE NAZWISKA Z BLISKA

mógł mu przypadek – podczas wspólnej podróży pociągiem z państwem Bartoszewskimi, jeszcze raz wspomniał o swoim pomysle.

– Na co żona Władysława Bartoszewskiego wykrzyknęła: – Ależ Władeczku, Irena Sendlerowa zasługuje na to, żeby dostać ten order! I dostała.

Do uroków wykonywania zawodu historyka profesor zalicza też satysfakcję z dokonanych odkryć, które udało mu się wprowadzić do obiegu naukowego. Na przykład: ustalenie autorstwa broszury *Czy wrzesień 1939 roku okrył niesławą naród polski?* Okazało się, że jej autorem był Stefan Rowecki. Albo dokument odnaleziony w aktach Delegatury Rządu na Kraj – lista proskrypcyjna, na której widnieją m.in. nazwiska Ireny Sendlerowej i Aleksandra Kamińskiego, autora *Kamieni na szaniec*: – Wspaniałego patrioty, o którym tam napisano: *żydofil, niepewne pochodzenie matki (Żydówka lub Francuzka), dąży do ustroju komunistycznego*. Stek bzdur!

Profesor Szarota nagłośnił też niezwykłą historię wyprawy delegacji Żydów (w listopadzie 1939 r.), która udała się – z inspiracji Służby Bezpieczeństwa III Rzeszy – do Adolfa Eichmanna, żeby zorganizował im wyjazd z Rzeszy do Palestyny.

– Bo Niemcy początkowo nie chcieli Żydów zgładzić, tylko pozbyć się ich z terenu Niemiec. Ten wyjazd nie doszedł do skutku z winy Anglików, którzy nie zgodzili się na to, żeby statki z ewakuującymi się ludźmi przepuścić przez swoje terytorium wodne, a tym samym przypięczętowali los Żydów. Przyczyniłem się też do reedycji książki *Cywil w Berlinie*, z 1934 roku, autorstwa Antoniego Grafa Sobańskiego, który był w Berlinie w 1933 r., kiedy Hitler dochodził do władzy. To był zbiór reportaży, odnalazłem je przypadkiem w bibliotece i podałem do druku, z przypisami.

W 1982 r. ukazała się, staraniem profesora, kolejna książka – odnaleziona przez niego zapiski z Warszawy, dzieło szofera szwajcarskiej misji lekarskiej, która przebywała w Polsce w 1942 roku. Ustalenie autora zapisków (książkę napisał pod pseudonimem) zajęło mu kilka lat. I znów pomogła książka telefoniczna, tym razem Berna, w której trafił na numer telefoniczny 90-letniej matki autora zapisków, o którym długo wiedział tylko tyle, że miał na imię Franz.

Szybciej – też dzięki książce telefonicznej, tym razem Warszawy – trafił na ślad autora wydane go w 1940 r. w Paryżu *Dziennika obrońcy Warszawy* (wcześniej, w 1939 r., opublikował go w odcinkach

wychodzący w Paryżu „Głos Polski”), który podpisał się pseudonimem: Commandant Sowiński. Okazał się nim major Zdzisław Żórawski, jak się okazało, stryjek szkolnego kolegi profesora Szaroty.

Detektywistycznej pracy wymagało także ustalenie, ile prawdy jest w wierszu Czesława Miłosza – o karuzeli wesoło wirującej przed murem getta, za którym Niemcy krwawo tłumili powstanie Żydów.

– Napisałem list do Miłosza. Bardzo obszernie odpisał mi, że osobiście widział, jak w niedzielę, 25 kwietnia 1945 r., na placu Krasińskich warszawiaci kręcili się na tej karuzeli. Widział to z okien tramwaju, którym jechał na Żoliborz, do Andrzejewskich. Nie mogłem w to uwierzyć: czy rzeczywiście ludzie bawili się tuż obok muru, za którym była śmierć? I oto w „Gazecie Wyborczej” z 17 kwietnia 2013 r. ukazuje się jedyny jak dotąd zdjęcie tej karuzeli, z 25 maja 1945 r. – widać wyraźnie, że ona jest nieczynna, podparto ją jakimś drewnianym kłosem. Kilka dni później napisał do redakcji list świadek tamtych dni i potwierdził: karuzela była nieczynna w czasie powstania w getcie. W tym samym dniu, albo nazajutrz po prostu się zawałiła.

Ciekawość, bywało, doprowadzała profesora – jak przyznaje – niemal do szaleństwa. Tak było w przypadku podjęcia próby ustalenia kim był franciszkanin Lodovico Rocca, tajemniczy autor przepowiedni z 1849 r., zamieszczonych w konspiracyjnej broszurze z 1942, wśród których była m.in. zapowiedź wojny wywołanej przez szaleńca rodu germańskiego, a także przepowiednia, że Polska da światu wielkiego papieża. (Co ciekawe, ową broszurę odnalazł w archiwum KC PZPR).

– Ja to czytałem w roku 1970, a więc osiem lat przed rozpoczęciem pontyfikatu przez Jana Pawła II! Nie ma więc mowy o fałszerstwie. Szukam w archiwach, bibliotekach... Autorzy tej broszury powołują się na „Ilustrowany Kurier Codzienny” z 1923 roku, który odsyła do kolejnego źródła – broszury niejakiego dra Johanna z Wiednia... Ta broszura z kolei, z 1853 r., odsyła do broszury wydanej w Watykanie... Moje szaleństwo sięga zenitu. Jadę do Watykanu, grzebię w katalogach Biblioteki Watykańskiej, szukam według autorów, według tytułów, żona czeka na placu... I nic. Do dziś nie wiem, kim był ten Lodovico, czy w ogóle istniał. Bardzo tajemnicza sprawa.

Barbara Stankiewicz

Gość UO: dr Adolf Juzwenko

Jubileusz lwowsko-wrocławski

– Ossolineum? Skąd ta nazwa?

– Chyba od soli.

Taką rozmowę dwóch gimnazjalistów zwiedzających wrocławskie Ossolineum podслуchał jego dyrektor dr Adolf Juzwenko (od 1990 r. dyrektor Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, od 1995 r. dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu), a przytoczył ją podczas spotkania, w ramach Złotej Serii Wykładów Otwartych, w Auli Błękitnej Collegium Maius UO, 8 maja br.

Wykład, zatytułowany *Od ustanowienia familijnego do ustawy sejmowej 1995 roku. Ossolineum w przededniu jubileuszu 200-lecia*, dotyczył niezwyklej historii Zakładu Naukowego im. Ossolińskich, od jego powstania 4 czerwca 1817 r. we Lwowie (do drugiej połowy XIX wieku była to Biblioteka im. Ossolińskich) po czasy dzisiejsze. Historii niezwyklej, bo przecież Ossolineum powstało w czasach zaborów, na terenie

nadzorowanym przez zaborcę, w dodatku za jego zgodą, a miało na celu pomóc zachować tożsamość narodową żyjącym tam Polakom.

Fundację pod nazwą Zakład Narodowy im. Ossolińskich utworzył w 1817 roku Józef Maksymilian hr. Ossoliński. Fundacja, zgodnie z wolą założyciela, miała składać się ze zbiorów: kolekcji książek, rękopisów, numizmatów i muzealiów, ofiarowanych przez Ossolińskiego oraz majątków ziemskich przeznaczonych na jej utrzymanie, a także drukarni. Zakład miał wydawać własne pismo naukowe i opiekować się młodymi uczonymi. 25 grudnia 1823 roku Ossoliński podpisuje układ z księciem Henrykiem Lubomirskim, reprezentantem wielkiego i bogatego rodu oraz znakomitym znawcą i kolekcjonerem dzieł sztuki. W zawartym porozumieniu ustalono, że część przyszłej siedziby Ossolineum zostanie przystosowana na przyjęcie kolekcji Lubomirskiego, a samym Lubomirskim powierzono dziedziczne stanowiska kuratora literackie-



Dr Adolf Juzwenko (fot. Jarosław Mokrzycki)

go, pod warunkiem utworzenia przez nich Majoratu – Ordynacji Przeworskiej, która dotować miała działalność powstającego muzeum. Dzięki tym zabiegom już w połowie XIX wieku Zakład Narodowy im. Ossolińskich stał się bardzo prężnie działającą instytucją, w zbiorach której były m.in. cenne eksponaty muzealne – obrazy Rembrandta, Rubensa, Dürera...

– Na mocy testamentu hrabiego Józefa Maksymiliana Ossolińskiego opiekę nad zakładem przejmują kolejne, spośród 28, polskie rody: w momencie, gdy jeden ród wygasał, pieczę nad majątkiem przejmował następny, wskazany w kodycyli. W latach 30. XX wieku był to ród Ledóchowskich. Mieczysław hrabia Ledóchowski był wówczas niepełnoletni, pełnoletność miał osiągnąć w 1940 r., a wtedy trwała już wojna, która wszystko zmieniła. Odnalazłem go w latach dziećdziesiątych, zaprosiłem do uczestnictwa w pracach Rady Naukowej, a potem Rady Kuratorów.

To nie był pomysł na jedno czy dwa pokolenia – dodaje dyrektor Juzwenko. Lubomirscy na przykład wpisali na listę opiekunów zakładu 32 rody.

Po powstaniu listopadowym działalność „Ossolineum” zostaje zawieszona, ale po 1848 następuje prawdziwy rozkwit tego ośrodka polskości. Zewsząd napływają kolejne zbiory, „Ossolineum”, które posiada własną drukarnię, dostaje przywilej wydawania podręczników. Kiedy Polska wreszcie odzyskuje niepodległość, nikt nie ma wątpliwości, że przyczyniła się do tego także działalność „Ossolineum”.

Zbiory ciągle się rozrastają. Henryk Sienkiewicz przekazuje „Ossolineum” prawa wydawnicze wszystkich swoich dzieł (a więc i zyski ze sprzedaży tych wyjątkowo wówczas poczytnych książek).

Dzięki zaangażowaniu kolejnych dyrektorów: ks. Franciszka Siarczyńskiego, Konstantego Słotwińskiego, Antoniego Kłodzińskiego, Augusta Bielowskiego, Wojciecha Kętrzyńskiego, Ludwika Bernackiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Lwowie pomnażał swoje zbiory i służył kulturze i nauce polskiej.

– Twórca „Ossolineum” bardzo rozważnie zrehabilitował jego statut. Ale jednej rzeczy nie przewidział: wojny, podczas której i po której wszystkie wcześniejsze ustalenia stały się nieważne. Zbiory „Ossolineum” trafiły i do Niemców, i do Rosjan. Niemcy upaństwowili je i włączyli do zbiorów Stadt Muzeum – zajmował się nimi nadal, ale konspiracyjnie, ich kurator Mieczysław Gębarowicz. Obrazy Dürera pojechały w głąb III Rzeszy (Hitler kochał malarstwo Dürera), do magazynów kopalni soli w Salzburgu. Po wojnie odnaleźli je Amerykanie. Książę Jerzy Lubomirski, który był oficerem armii amerykańskiej, przekonał ich, żeby oddali je Polakom. Ale rysunki niestety dał na aukcje, zostały sprzedane, dziś można je oglądać w muzeach Wielkiej Brytanii, Holandii i Niemiec. Występowałem z wnioskami repatriacyjnymi, ale niestety, nie uzyskały tego statusu.

W połowie lat 90. status zmieniło za to wrocławskie „Ossolineum” – z jednej z wielu instytucji, podlegających Polskiej Akademii Nauk, przekształciło się, a właściwie wróciło do formy fundacji, już nie prywatnej, ale publicznej. I rozwinęło skrzydła. Swoje zbiory przekazali „Ossolineum” m.in. Jan Nowak-Jeziorański, który wspomógł zakład także finansowo oraz Władysław Bartoszewski, obaj warszawiacy, zupełnie niezwiązani z Kresami – podkreśla Adolf Juzwenko, który urodził się pod Zaleszczykami i przyznaje, że po wojnie zdarzało mu się jeździć pociągiem pod graniczny szlaban, „pooddychać tamtym powietrzem”.

Historii zmienić się nie da. Lwowskie „Ossolineum” pod dyrekcją Adolfa Juzwenki działa dziś we Wrocławiu i próbuje nawiązać coraz ściślejszą współpracę z lwowską Biblioteką im. Bondaryka, która powoli, bo powoli, ale otwiera przed pracownikami „Ossolineum” kolejne działy swoich poloników.

Barbara Stankiewicz



Plaża Słoneczna w Zaleszczykach

Stanisław S. Nicieja

Zaleszczyki – miasto słońca

Topografia Zaleszczyk zadziwiała od wieków każdego, kto trafił w te okolice. Gdy udoskonalono aparaty fotograficzne, każdy, kto dotarł tam z szerokokątnym obiektywem, szukał miejsca, aby ten dziw natury zamknąć w kadrze. Zaleszczyki leżą bowiem w zakolu leniwie płynącego w tym miejscu potężnego Dniestru. Mają kształt ogromnego koła (kresowiacy mówili: rondla) z trzech stron oblanego wodą. Drogą lądową można było wjechać do miasta tylko od strony północnej, od Tarnopola i Czortkowa, a wyjechać na południe jedynie przez wielki most na wysokich przęsłach prowadzący do Rumunii, na Bukowinę.

Przed wojną koryto Dniestru stanowiło w tym miejscu granicę polsko-rumuńską. Rumuński brzeg rzeki, zwany bukowińskim, wysoki, wznoszący się do 300 metrów, skalisty, zalesiony, doskonale osłaniał miasto od wschodnich, zimnych wiatrów.

Następstwem tego niespotykanego układu geologicznego był klimat Zaleszczyk, który obrósł legendą. Mówiono, że jest tam „błogosławiona kraina ciepła i słońca”. *Lato – jak pisała poetka Maria Jasnorzewska-Pawlikowska – odchodziło stamtąd leniwie, przeciągając się jak kot, a wracało szybko pikującym lotem jaskółki.*

Podolska Riwiera

W miesiącach letnich temperatura w tym najbardziej wysuniętym na południe zakątku II Rzeczypospolitej była wyjątkowo stabilna i zamykała się w skali od 25 do 30° C, ale zdarzały się dni, kiedy w słońcu

dochodziła do 50°. Wczasowicze nie odczuwali tam jednak męczących upałów, bo od szerokiego Dniestru szła nieustannie subtelna bryza. I jak zauważali publicyści „słońce tam nie parzyło, ale opalało”. Początek wiosny był o 2–3 tygodnie wcześniejszy niż w dalszej części Podola. Stąd też Zaleszczyki posiadały najwięcej dni pogodnych w Polsce, a dzięki nachyleniu terenu ku południowi – spotęgowany napływ słońca. Nazywano Zaleszczyki „Podolską Riwierą”, a ze względu na położenie „Polskim Meranem”, gdyż doszukiwano się podobieństwa do tego słynnego włoskiego uzdrowiska w Alpach.

Zaleszczyki objawiły się jako mekka dla turystów z centralnej Polski w latach 20. XX wieku. Stały się wówczas „orientalną sensacją”. Jechało się tam nie tylko leczyć reumatyzm, wygrzewać się w słońcu na kamienistym brzegu i masować ciało w bystrej wodzie Dniestru. Przyjeżdżało się tam również, aby zająć wyjątkowo smakowite owoce – Zaleszczyki bowiem już z nastaniem wiosny zamieniały się w wielki sad. Wille i budowane w latach trzydziestych pensjonaty z oszklonymi fantazyjnymi werandami tonęły w ogrodach, a każdy dom we wrześniu obwieszony był kiściami winogron. Łagodny, ciepły klimat powodował obfitość owoców: moreli, brzoskwiń, miodowych gruszek, złotych renklod, melonów, baniastych soczystych arbuzów i papryki. Było to miasto ogrodników i sławnej szkoły sadowniczej. Plantatorzy morwy wykorzystywali do hodowli jedwabników południowy brzeg na zakolu Dniestru. Sąsiadującą z Zaleszczykami wieś Dobrowlany, której właścicielem był baron Julian Bru-

nicki, nazywano nawet „stolicą polskiego jedwabiu”.

W sezonie można było dojechać do Zaleszczyk pociągami sypialnymi z Warszawy, a nawet z Gdyni. Turystów, którzy przybywali tu ze stolicy, Poznania, Wilna czy Lwowa pociągiem ekspresowym, zwanym „Lux-Torpeda”, zapach owoców przyprawiał o zawrót głowy. *Na placu targowym w Zaleszczykach* – pisał Mieczysław Limanowski, który przyjechał tam na winobranie we wrześniu 1937 roku – *nie ma jeszcze palm. Któż mógłby wątpić, że będą kiedyś, jak na wielu skwerach miast południowych? Tymczasem w ogrodach są morwowe drzewa i orzechy włoskie dające cień i chłód. Spacer wystarczy, abyś odkrył winnice, które kapią się w słońcu i sady morelowe, których najmłodsze liście buchają czerwono jak ognie. Idziesz na plażę. Masz Dniestr, w górze tropiki i słońce (...). Miasteczko masz ruchliwe, hotele, jazzbandy. Goście są na ulicach, megafony na plażach.*

W tym samym czasie na łamach „Kurieria Bydgoskiego” Kazimierz Małycha pisał z jeszcze większym entuzjazmem:

Zaleszczyki to polski Meran!

Zaleszczyki są Kalifornią i Florydą, Miami i Palm Beach naszego kraju!

Zaleszczyki to słońce, słońce i jeszcze raz słońce!

Zaleszczyki są perłą Ceylonu, perłą słońca, brzoskwiń i moreli, róż i winnic!

W Zaleszczykach szaleje słońce!

Do Zaleszczyk po zdrowie i słońce!

W połowie września zaczynał się zbiór winogron i wtedy Zaleszczyki wypełniały się wyjątkowym gwarem. Winobranie towarzyszyły z reguły targi i wystawy owoców oraz kwiatów. Chlubą zaleszczyckich hodowców były nie tylko winogrona, ale i morele, których produkcja na skalę przemysłową – jak to ustalił kronikarz Zaleszczyk Józef Schwartz – zaczęła się od 1870 roku, kiedy to założono pierwszy duży sad more-

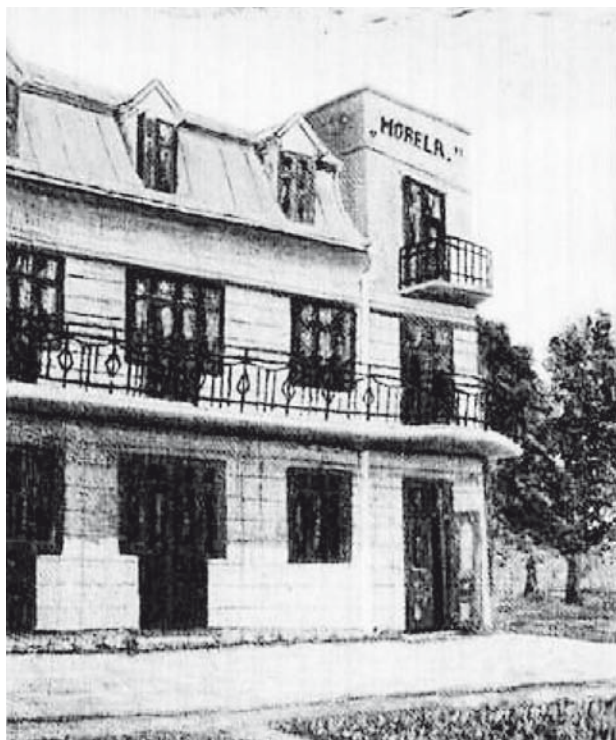
lowy. Podczas święta winobrania bawiono się szumnie na potańcówkach i dancinach na ogrodowych letnich parkietach przy słynnych zaleszczyckich restauracjach Mentzlowej i Szponarskiego. Przy dźwiękach jazzujących big-bandów podnoszono sobie apetyt, fantazję i temperament młodym, owocowym winem. Dobrze można było zjeść w pensjonacie położonym nad samym brzegiem Dniestru, przy ulicy Głównej, prowadzonym przez profesorową Marię Starzyńską. Aby ściągnąć turystów, władze Zaleszczyk zbudowały korty tenisowe, otworzyły kregielnie, organizowały zawody kajakowe na Dniestrze, obozy dla młodzieży i wyścigi konne na małym hipodromie pod miastem pod patronatem Korpusu Ochrony Pogranicza i wojewody tarnopolskiego.

Modny kurort

W II Rzeczypospolitej modnemu i nowoczesnemu pod względem architektonicznym kurortowi w Morszynie wyrósł niespodziewanie poważny konkurent – Zaleszczyki. Pobyt tam zalecano wszystkim potrzebującym słońca, kąpiele rzecznych, wypoczynku i kuracji winogronowej. Wyjazd do Zaleszczyk proponowano szczególnie rodzicom dzieci chorujących na gruźlicę kostno-stawową oraz na krzywicę. Polecano go również osobom starszym cierpiącym na przewlekłe choroby nerek, nieżyty krtani i oskrzeli. Specjalnością Zaleszczyk, swoistym hitem, stała się dieta owocowo-jarzynowa, którą zalecał popularny tamtejszy lekarz, dr Serafin Blutreich. Uznaniem cieszyli się też inni zaleszczyccy lekarze: Marian Doliński, Franciszek Parymończyk, Michał Rosenbaum i Adolf Rosen. Działał tu szpital na 100 łóżek, poradnie specjalistyczne i ambulatorium. Sezon kuracyjny trwał od 1 kwietnia do końca października i przebywało tam w tym czasie 4 tysiące kuracjuszy.



Panorama Zaleszczyk (fotografia Jurija Wijtjika z Zaleszczyk)



Morelowe w Zaleszczykach były nie tylko sady. Imię „Morela” nadano jednemu z pensjonatów, była ulica Morelowa, w przybudówce ratusza – Rynek 2 – mieścił się sklep „Morela” Juliana Grzesiowskiego, na ulicy Rzeźnickiej 17 działała wytwórnia win „Morela”, a na Sobieskiego działała firma „Morela” Emilii Zielińskiej oferująca pamiątki z Zaleszczyk oraz prowadząca wypożyczalnię książek i sprzedaż czasopism

Renomą cieszyły się w Zaleszczykach dwa hotele – „Warszawa” i „Adria”. W 1936 roku było tam też 17 pensjonatów, m.in. „Ariadna”, „Bajka”, „Ballada”, „Helenówka”, „Neapol”, „Meran”, „Naddniestrzan-ka”, „Vita”, „Kresowianka” i „Podolanka”, której właścicielem był Franciszek Byczyński, osiadły po wojnie w Zielonej Górze, gdzie prowadził do roku 1950 restaurację o tej samej nazwie. Istniał tam również pensjonat „Iwonka” prowadzony przez znaną z elegancji i dobrych manier Marię Datko (1896–1964), z domu Reif (urodzoną w Stryju), żonę Juliana Datki, radcy prawnego w starostwie zaleszczyckim. Pensjonat słynął z dobrej kuchni, a szczególną popularnością i uznaniem cieszyły się sprzedawane tam lody morelowe i wyśmienite torty wypiekane według receptury Datkowej. O komfortowym wyposażeniu pensjonatu „Iwonka” i zamożności rodziny Datków wiele mówi fakt, iż gdy do Zaleszczyk przyjechał na wypoczynek marszałek Józef Piłsudski, to dla jego potrzeb wypożyczono obite skórą meble z gabinetu Juliana Datki. W Zaleszczykach były też oficcerskie domy wypoczynkowe na 300 osób. Tanio wynająć można było domki letniskowe w pobliskich Dobrowlanach i Bedrykowcach.

W sezonie letnim zjeżdżały do Zaleszczyk teatry przeważnie z farsami i wodewilami. Zachowane fotografie świadczą, że jako konferansjer przyjeżdżał tam arcypopularny wówczas aktor Kazimierz Wajda – ko-

mik, znany pod pseudonimem Szczepko z „Lwowskiej Wesołej Fali” i bohater przedwojennej komedii muzycznej „Będzie lepiej”. Urządzano wycieczki do Czerwonogrodu nad potężny wodospad, do Okopów św. Trójcy, Jazłowca i na stronę rumuńską – do Czerniowiec i Chocimia. Na przystani rzecznej wynajmowano kajaki i motorówki.

Złoty okres dla Zaleszczyk jako letniska i kurortu nastąpił w latach 30. XX wieku. Na brzegach Dniestru wybudowano wówczas dwie eleganckie plaże i nazwano je Słoneczną i Cienistą. Reporter „Asa” pisał o nich: *Plaża Słoneczna, rzucona wysoko na rozpalonych skałach, nie bardzo nadaje się do kąpeli. Dno tu kamieniste, brzeg wysoki, nie ma piasku i uciążliwe zejście do wody. Natomiast urządzona jest pięknie, posiada liczne kosze, leżaki, parawany, kabiny, elegancką restaurację i żywą orkiestrę plażową (koncerty codziennie daje orkiestra wojskowa). Tu przychodzą głównie ci, co chcą się opalać, ewentualnie schodzą do rzeki drewnianym pomostem, biorą kajak i płyną w złocistą dal, wypożyczają motorówkę, albo stateczkiem „Osa” robią rejs po Dniestrze. Po drugiej stronie Zaleszczyk leży plaża Cienista. Ta posiada wspaniałe, gęsto zadrzewione aleje i zalaną słońcem plażę z białym piaskiem nad samym brzegiem Dniestru. Ta plaża to raj pływaków i dzieci. Gwarno tutaj od samego rana. Woda Dniestru ciepła, o ósmej rano ma 21–22°C, a w południe ponad 35°.*

Mówi się również o tym, że Zaleszczyki zasłynęły z działającej tu pierwszej w Polsce plaży dla nudystów. Jednak chlubą miasta była plaża Słoneczna z promenadą obsadzoną dwoma szeregami równo strzyżonych klonów, oświetloną nocą lampionami, biegnącą pod imponująco wysokim mostem kolejowym nad Dniestrem. Kompletnie zniszczenie jej w czasach sowieckich to wyraz wyjątkowej bezmyślności i krótkowzroczności.

Miasto królewskie

Mieszkańcy Zaleszczyk z dumą mówili, że Zaleszczyki są „miastem królewskim”. I mieli rację. Bo choć początki tej miejscowości sięgały XV wieku i pierwszymi gospodarzami tamtejszych dóbr byli Buczaccy, a później Lubomirscy, złoty okres Zaleszczyk zaczął się, gdy stały się własnością Stanisława Poniatowskiego (1675–1762), ojca króla Stanisława Augusta. Poniatowski założył tam fabrykę sukna, sprowadzając rzemieślników ze Śląska (z okolic Nysy i Grodkowa), wybudował osiedle, wznosił kościół, cerkiew i luteran-ki zbór. Gdy po śmierci ojca Zaleszczyki odziedziczył król Polski Stanisław August, wykorzystał swoje polityczne wpływy, aby wzmocnić miasto gospodarczo.

Po Stanisławie Augusty Zaleszczyki odziedziczył na krótko książę Józef Poniatowski, marszałek Francji, który osłaniając odwrót Napoleona, zginął w 1812 roku w nurtach Elstery w Niemczech. Ale nim to się stało, zdążył jeszcze polecić, aby w Zaleszczykach wybu-

dować Teatr Letni. Jako pięknoduch i wielbiciel sztuk przypuszczalnie chciał w Zaleszczykach wygrzewać na starość kości, a Teatr Letni miał mu umilać czas. Tragiczna śmierć księcia Józefa spowodowała, że Zaleszczyki na wiele dziesięcioleci straciły szansę, aby stać się ogrodem sztuk. Ubolewał nad tym bardzo autor pierwszej, noszącej znamiona naukowości monografii tego miasta – Józef Schwartz (1887–1947), spolszczonej Austriak, twórca Muzeum Powiatowego w Zaleszczykach, krajoznawca i nauczyciel w tamtejszym Seminarium Nauczycielskim.

Fortuna i upadek Brunickich

Około roku 1820 Zaleszczyki kupił Ignacy Brunicki (1752–1824), posiadający zadziwiające zdolności organizacyjne. Pochodził z żydowskiej rodziny Brunsteinów, która przeszła na katolicyzm i przyjęła polską pisownię nazwiska, a jej członkowie stali się polskimi patriotami.

Brunicy prowadzili interesy z rozmachem i na dostawach dla wojska oraz eksporcie koni do Bawarii dorobili się fortuny. W 1829 roku uzyskali od króla Bawarii, a później również cesarza Austrii tytuł barona. Wybitną postacią w tym rodzie był baron Leon Antoni Brunicki (1811–1866), który wybudował w Zaleszczykach pałac. O pozycji społecznej barona świadczy fakt, że w 1852 roku gościł w tym pałacu cesarza Austrii Franciszka Józefa. W 1849 roku Brunicy kupili uzdrowisko Lubień Wielki pod Lwowem i wzniesli tam równie okazały jak w Zaleszczykach pałac.

Brunicy byli właścicielami rozległych dóbr w trzech kluczach ziemskich (Zaleszczyki, Uhryń-



Starosta tarnopolski (od 1937 roku wojewoda tarnopolski) Tomasz Malicki w łożu honorowej, przed którą delegacje biorące udział w święcie winobrania składają dary – korony i wieńce zrobione z plonów zebranych w danym roku, Zaleszczyki 1935 r. Fot. ze zbiorów Barbary Datko i Beaty Datko-Ćwierz z Krakowa

Str. 8 **ECHO ZALESZCZYK** 26 9

Juljan Grzesiowski

Zaleszczyki, Rynek 2 - Telef. Nr. 31

Kawa - Herbata
Czekolada WEDLA
w wieloletniej wyborne.
Bombonierki • Cukry
Sprzedaj win owocowych.

Specjalność:
Miód Nurecny Fikajowy
Wszystkie nowalje sezonowe
Przyjmujcie się zamówienia
na owoce i miód przesyłką poczt.

Handel Towarów Kolonialnych
I DELIKATESÓW
Ceny niskie Produkty wyborowe

Masło deserowe Wędliny,
Sery krójowe i Bryndza,
Konszery, owoce i pieczywo
Sprzedaj spiryt. denatur.

Å kiedy odjeżdżasz bywaj zdrow ..

ale nie zapominać wiaćki oryginalnego wina
z miejscowej wytwórni
„MORELA“

Wino sporządzone z szlachetnego owocu zaleszczyckiego. Smak i bukiet wina wyrawnego. Zawiera ekstrakty soków owocowych, witaminy i energię ciepłą.

Do nabycia: w handlu J. Grzesiowski Rynek 2
Józefa Saponarskiego Ratusz i w wytwórni „Morela”
ul. Rzeźnicza 17 w Zaleszczykach.

W ORBISIE

Myli się ten, kto sądzi, że kupiony bilet jest droższy niż na stacji.

Ceny biletów są urzędowe, bez żadnych dopłat.

W „Orbisie” znajdziesz „Przewodnik po Zaleszczykach i okolicy” prof. Schwarta, przewodnik po Warszawie, spisy hoteli, pensjonatów oraz prospekty miast i uzdrowisk z całej Polski i z zagranicy, mapy turystyczne, znaczki ubezpieczeniowe i t.d.

CUKIERNIA „MOCCA“

naprzeciw elektrowni miejskiej poleca

wyborowe ciasta, - - wymięszone lody
Chłodniki - Wyrób własny
Józef Fedusiewicz.

BAZAR SPOŻYWCZY GOSPOŚIA

Zaleszczyki, Rynek 4

Kawa - Herbata - Czekolada - Bombonierki - Cukry
Miód nurecny fikajowy
Masło deserowe - Sery - Bryndza - Szyka - Wędliny
Konszery - Owoce - Pieczywo - Sól - Sól czarna
TOWAR WYBOROWY CENY NISKIE
Przyjmuj zamówienia na owoce i miód przesyłką poczt.

Nie kupować przed pamiątek z Zaleszczyk oglądaniem towaru i cen w firmie „MORELA”
EMILJI SIELIŃSKIEJ
- Wypożyczalnia najnowszych książek
Biuro dzienników i czasopism
Zaleszczyki, ul. Sobieskiego obok Drogi

Letnicy i Turyści w Zaleszczykach i okolicy

w naszym interesie korzystają z usług

KOMUNALNEJ KASY OSZCZĘDNOŚCI

pow. Zaleszczyckiego
Zastępstwo Banku Polskiego

PRZEKAZY I CZEKI - PRZYJMOWANIE DEPOZYTÓW - ZŁECZENIA GIEŁDOWE.
WPLATY I WYPŁATY ZAGRANICZNE.
Za zobowiązania Kasy odpowiadają powiat cały, wójt, miłośnicy oraz dochodzący.
Konto cadowe w P. K. O. B. 147433.
Cedujący: Starosta od 1 do 14.

Redakcja: Józef Schwartz. Wytworowa i Redaktor odpowiedzialny: A. Wierlicki.
Oficyna w Drukarni Podolskiej w Zaleszczykach Rynek 15.

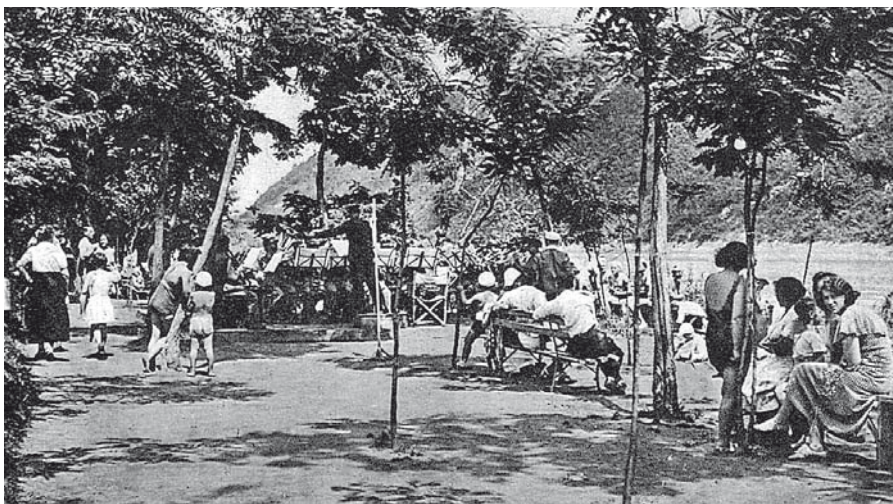
Reklamy firm zaleszczyckich

kowce i Podhorce). Posiadali kilka wsi i setki hektarów lasów. Julian Brunicki w 1892 roku Dobrowlanach uruchomił dobrze prosperującą szkółkę drzew i winorośli, co znacznie przyczyniło się do rozwoju winnic na Podolu. Brunicy byli również właścicielami okazałej willi w Abbazi – słynnym kurorcie w Austro-Węgrzech (dzisiejsza Opatija w Chorwacji). Ta willa trafiła nawet na kartki pocztowe wysyłane z Abbazi przez kuracjuszy.

Pałac Brunickich w Zaleszczykach, w którym mieści się obecnie szpital, otoczony był przed wojną wypielegnowanym parkiem w stylu angielskim, schodzącym w kierunku plaży nad Dniestrem. Jeszcze dziś, mimo wielkiego zaniedbania, można tam spotkać wiele rzadkich gatunków drzew, m.in. miłorząb japoński, tulipanowiec amerykański czy kłęk kanadyjski.

Tę ogromną fortunę Brunicy stracili we wrześniu 1939 roku. Jedną z ostatnich Brunickich, Maria (1884–1972), jak ustalił Roman Aftanazy, zmarła na emigracji w Londynie. 8 sierpnia 2011 roku dotarłem do oddalonej o 5 km od Zaleszczyk wsi Bedrykowce, tuż za przedmieściem Dobrowla-

skutecznie zareklamować swój towar, niech da anons w tygodniku „Echo Zaleszczyk”. Złożenia w Drukarni Podolskiej Rynek 15.



Plaża Cienista

ny, gdzie na cmentarzu, w trudnych do przebycia zaroślach (kłujące tarniny) odszukałem walącą się kaplicę Brunickich. Z trudem odczytałem wykuty w czarnym marmurze napis: „Kaplica grobowa Ignacego Brunstein-Brunickiego (1752–1824), dziedzica dóbr klucza zaleszczyckiego, fundatora, który, przeżywszy 72 lata, 17 czerwca 1824 roku doczesne życie szczęśliwie zakończył i w tym miejscu spoczywa. Kaplicę postawiono na wieczną pamiątkę 24 września 1827 roku”. Płyta była zwieńczona płaskorzeźbą anioła z pochodnią w prawej ręce, a lewą ręką opartego na herbie.

W II Rzeczypospolitej w kaplicy tej odbywały się nabożeństwa w obrzędku łacińskim. Dziś nie ma tam już marmurowych epitafiów Brunickich z rzeźbami aniołów. Przeniesiono je do Muzeum Miejskiego w Zaleszczykach. Kaplica straszy wybitymi oknami i pozbawionymi kapiteli kolumnami przed wejściem, rozsypującym się dachem i przekrzywionym krzyżem na frontonie. I tylko na tymparonie niewykruszony jeszcze herb rodu Brunickich mówi, czyje to jest miejsce ostatniego spoczynku. Tak oto odchodzi tam i umiera pamięć o wielkim zaleszczyckim rodzie.

„Żelazna dama”

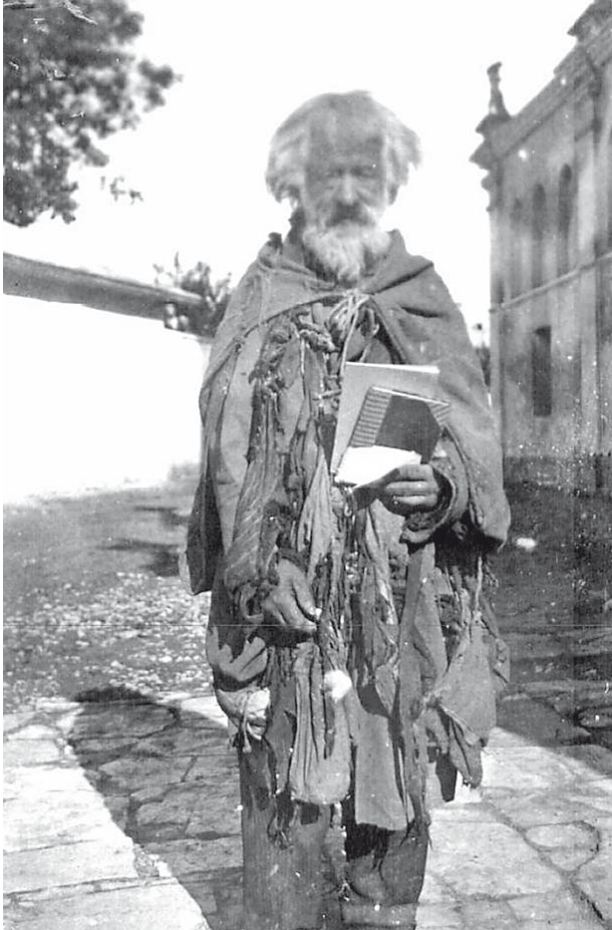
Warto przypomnieć wnuczkę Jakuba Brunickiego, jedną z ostatnich właścicielek pałacu w Zaleszczykach, baronową Stellę Turnau (1867–1938). Była żoną Augusta Turnau (1865–1924), syna austriackiego feldmarszałka i córki premiera Węgier – Klotyldy Fejervary de Keresztes. Była to znakomita partia małżeńska, bo August Turnau, mając tak znaczące koligacje polityczne, był na dodatek

głównym spadkobiercą wspaniałego pałacu w Urzejowicach na Rzeszowszczyźnie. Małżeństwo Stelli i Augusta Turnauów połączyło więc dwie wielkie fortuny majątkowe. Stella wyróżniała się – jak piszą pamiętnikarze – „zjawiskową urodą”. Wyjątkowo zgrabna, nosiła wysmakowane stroje i kapelusze najlepszych firm i stylistów. W pałacu zaleszczyckim zgromadziła luksusowe zabytkowe meble, rzadkie zegary, kolekcję porcelany, fajansów, sztychów. Cechował ją władczy charakter i duża odwaga osobista.

Do dziś krąży po Zaleszczykach legenda, która świadczy o jej charakterze. Otóż gdy w 1914 roku pałac w Zaleszczykach zajęły wojska carskiej Rosji, podobno jeden ze stacjonujących tam generałów miał ograbić pałac, wywożąc meble oraz zbiory do swego domu w Mohylewie (potraktował zbiory baronowej jako zdobycz wojenną i kazał na nich wybić swoje monogramy). Stało się to podczas nieobecności baronowej w Zaleszczykach. Gdy wojska carskie zostały przez Austriaków wyparte za Dniestr i baronowa wróciła z Wiednia, przeżyła szok, widząc splądrowany i ograbiony pałac. Ustaliła, który z generałów był sprawcą tej kradzieży, i nie zważając na ryzyko – toczyła się wszak wojna – zorganizowała grupę młodych ochotników ze swej służby i udała się do Mohylewa, aby tam, na miejscu, u żony generała upomnieć



Rodzina Datków podczas spaceru po Zaleszczykach. Od prawej: Julian Datko (1888–1945) – radca prawny w starostwie zaleszczyckim, zamordowany w kaciecie w Mittelbaum; jego żona, Maria z Reifów, prowadząca w Zaleszczykach pensjonat „Iwonka”, córka Irena (1923–1947) – zmarła jako studentka UJ; syn Przemysław (1926–1996) – inżynier mechanik, po wojnie związany z Krakowem. Fot. ze zbiorów ekonomistki Barbary Datko z Krakowa, żony Przemysława oraz jej córki, inż. Beaty Datko-Ćwier



Legendarna postać Zaleszczyk, Janko Pokutnik – dziwak, który swoim zachowaniem i oryginalnością ubioru wzbudzał zainteresowanie publiczności. Nie bano się go, gdyż był łagodny i życzliwie usposobiony. Gdy wrażliwi ludzie, poruszeni jego nędznym odzieniem, darowywali mu porządne ubranie, Janko dziurawił je, darł na strzępy i dopiero wtedy zakładał, wiążąc wszystko sznurkami. Nocował w stodołach przy bydło, żył z jałmużny. Próbowano ustalić przyczynę takiego postępowania. Panowało wśród niektórych przekonanie, że w młodości Janko zamordował kogoś i pokutą za ten czyn miało być życie w nędzy. Letnicy i turyści odwiedzający Zaleszczyki często się z nim fotografowali, a miejscowi rysownicy i malarze uwieczniali go na swoich obrazach, m.in. Stanisław Jarocki (1871–1944), uzyskując za ten portret I nagrodę na Wystawie Krajowej w Poznaniu w 1929 roku. Janko Pokutnik wpisany jest w poczet kresowych dziwaków, których lwowiaci nazywali świrami

się o skradzione przedmioty. Podobno powiedziała generałowej: „Pani mąż, pochodzący z dobrej rodziny arystokratycznej, okradł mój pałac”. I, o dziwo, udało się jej wówczas odzyskać kilkanaście wartościowych obrazów i stylowych mebli. Nie na długo jednak. Zostały one ponownie rozgrabione dwadzieścia kilka lat później przez bolszewików. Dziś zaledwie kilka z tych mebli spotkać jeszcze można w muzeum w Zaleszczykach – widziałem je dzięki dyrektorowi tego muzeum, Wasylowi Olijnikowi.

Gdy baronowa Turnau zmarła, wiedeńskie gazety w pożegnalnych nekrologach nazwały ją „Zaleszczyką Joanną d’Arc”. Prawdopodobnie spoczęła w kaplicy Brunickich w Bedrykowcach pod Zaleszczykami, ale nie mam na to dostatecznie mocnego dowodu.

Wysokie progi dla socjalisty

Do dziś po Zaleszczykach krąży jeszcze jedna legenda o baronowej Stelli Turnau, nazywanej przez miejscową ludność również „Majorową” – od stopnia wojskowego jej męża. Otóż w czasie pobytu na wypoczynku w Zaleszczykach w 1933 roku zamierzał ją podobno odwiedzić marszałek Józef Piłsudski, który mieszkał w willi nad Dniestrem, położonej w bezpośrednim sąsiedztwie rozległego parku pałacowego Turnauów. Aby uzgodnić termin tej wizyty u baronowej, udał się do pałacu adiutant Piłsudskiego, kpt. Mieczysław Lepecki, i na zapytanie, kiedy Marszałek mógłby to uczynić, miał usłyszeć stanowczą odpowiedź: „Nigdy, panie kapitanie, bo to za wysokie progi dla tego socjalisty”.

Adiutant Piłsudskiego w swoich pamiętnikach nie wspomina o tym ani słowem. Ale czy można mu wierzyć, skoro pisząc w tych samych pamiętnikach o pobycie Piłsudskiego na wypoczynku na portugalskiej wyspie Maderze, ani słowem nie wspomniał, że razem z Marszałkiem przebywała tam kilka miesięcy młoda lekarka Eugenia Lewicka, którą podejrzewano o romans z Piłsudskim? Ponieważ informacja ta była niewygodna dla najbliższego kręgu Marszałka, ukrywano ten fakt przed opinią publiczną. To samo mogło się zdarzyć odnośnie afrontu, jaki miał spotkać Piłsudskiego ze strony baronowej Turnau. Dziś trudno już prawdy dociec, a z legendą – jak wiadomo – jeszcze trudniej walczyć. Baronowa zdolna była do takiego zachowania, tym bardziej że w tym czasie sympatyzowała z Narodową Demokracją i nie mogła pogodzić się z faktem zamachu stanu, którego dokonał Józef Piłsudski w maju 1926 roku.

Według relacji otrzymanej od Zofii Korczyńskiej-Szrubki ze Słupska, której mama pracowała przed wojną w pałacu w Zaleszczykach, schorowana (artretyzm) u schyłku życia baronowa potrafiła podnieść się z fotela i przyłożyć laską komuś ze służby, kto niedokładnie wykonywał swą pracę w parku bądź w pokojach pałacu.

Stella i August Turnauowie mieli dwoje dzieci – Klotyldę i Gotfryda. Córka wyszła za mąż za znanego krakowskiego laryngologa, Eugeniusza Klasse, natomiast Gotfryd, który został głównym spadkobiercą Zaleszczyk, nie cieszył się swym majątkiem długo. W czasie wojny schronił się w Anglii, gdzie był oficerem w wojskach lotniczych. Po ślubie z Angielką zamieszkał w Afryce, w Rodezji. Tuż przed swą śmiercią, w 1978 roku, wrócił na Wyspy Brytyjskie.

Stanisław S. Nicieja

Andrzej Hamada

Ulica Krakowska

Przybywający do Opolą w 1945 roku, po wielkiej wojnie, pierwsi mieszkańcy i pierwsze władze polskiej administracji zastali ulicę Krakowską, podobnie jak całe stare miasto, w ruinie. Praktycznie ulica nie istniała: zawałona gruzem, domy w większości wypalone i zrujnowane do parteru.

A wcześniej była to tętniąca życiem główna arteria miasta: tutaj skupiało się życie handlowo-kawiarziane, tu też były znaczące gmachy publiczne, wielkie XIX-wieczne, stylowe budowle: klasycystyczny budynek poczty (z 1854 roku, neorenesans florencki, architekt: Albrecht, tenże sam, który w dziesięć lat później zbuduje wieżę opolskiego ratusza), też klasycystyczny budynek sądu powiatowego z 1856 roku (w miejscu dzisiejszych Delikatesów), dzieło opolskiego architekta G. Gottgetreua; gmach rejencji wzniesiony w 1833 roku pod egidą wielkiego architekta niemieckiego klasycyzmu Karla Friedricha Schinkla, no i wreszcie reprezentacyjny hotel Form z końca XIX wieku.

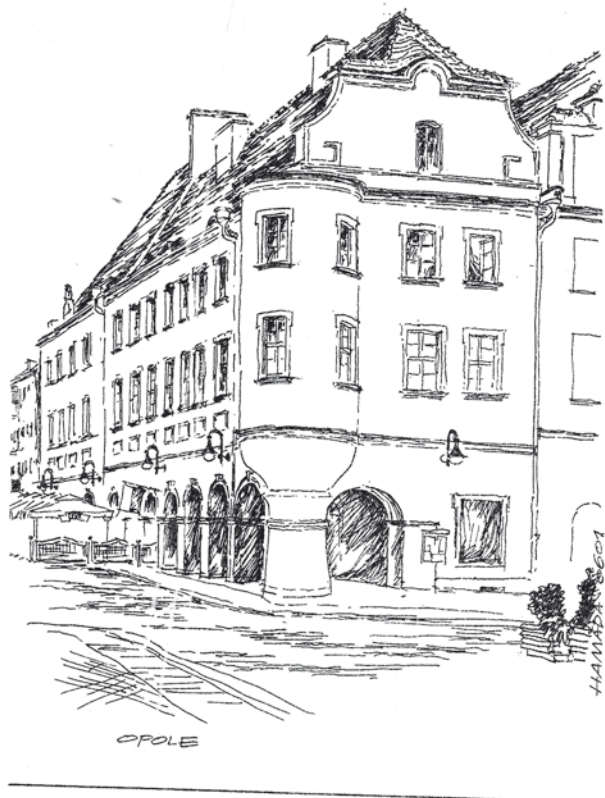
Były przy ulicy Krakowskiej też budowle nowsze, XX-wieczne: ogromny kompleks dyrekcji kolei z frontem do ulicy Korfantego (dzisiaj gmach policji) i duży

dom handlowy Franza Justa ze sklepem obuwniczym firmy Ota, późniejsza restauracja „Europa”.

Z wymienionych przedwojennych gmachów tylko budowle poczty i dyrekcji kolei przetrwały wojnę, inne leżały w gruzach, w kompletnej ruinie, tylko „Europa” (oczywiście nazwa późniejsza) nadawała się do ewentualnej odbudowy.

Wobec faktu, że stare śródmieście wraz z ulicą Krakowską (wcześniej Hindenburga, ale jeszcze wcześniej: Krakowska, Krakauer-strasse) było jedną wielką ruiną, najpierwsze życie w powojennym Opolu, życie trudne, siermiężne, skupia się zrazu przy ulicy Ozimskiej, od placu Wolności do Reymonta, a komunikacja z dworcem kolejowym odbywa się ulicami Kołtąją i Reymonta, omijając martwą Krakowską.

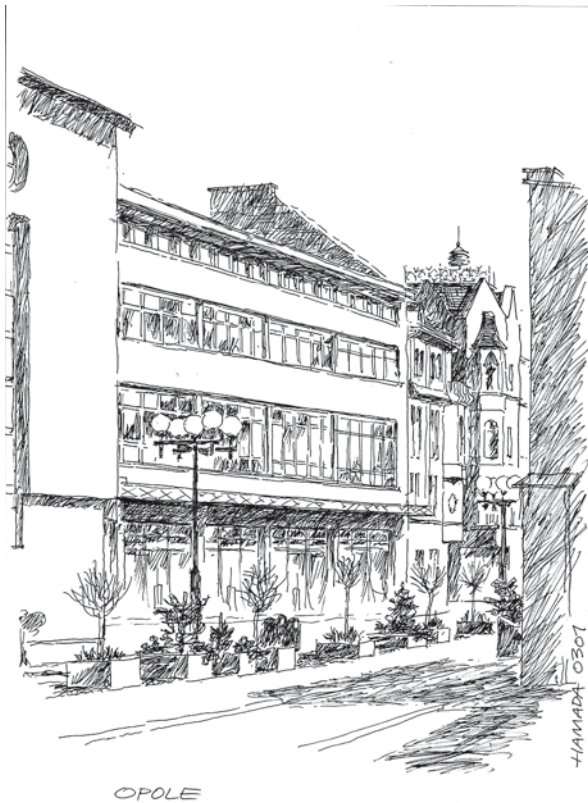
Ale i na tej martwej ulicy już tliły się zaczątki życia. Najpierw, już w 1946 r., Seweryn Dycweld i Kazimierz Bejm odbudowują ruinę domu nr 32, uruchamiając tam piekarnię i rzeźnictwo, w niezniszczonych budynkach otwierają się kawiarenki Hel (pod nr 28, Zdzisław Hochecker) i „Haneczka” pod nr 51, a także secesyjna „Lwowianka” Lewickiego pod numerem 33.



Budynek z arkadami, od strony Rynku



Na pierwszym planie dawna „Europa”, dziś „Conieco”



Dom Towarowy „Ziemowit”

W niezniszczonym domu Wotzki otwiera się rzeźniczo i wędliniarnia przybyłej z Warszawy niezwykle eleganckiej pani, którą nazywano „Królową Szmalcu”, a w sąsiednim domu (dziś Pizza Hut) jej „probiernia wódek”. Przybyły do Opola fotograf Stanisław Nagietowicz odbudowuje z kompletnej ruiny dom nr 31 (dzisiejszy Orbis) i otwiera zakład fotograficzny, podobnie jak Feliks Śmietański swoje atelier „Foto Wrzos” w oficynie przy Krakowskiej 30. Uruchomia się też budynek „Ruchu”, nr 38, z pierwszym w Opolu dużym czerwonym neonem „RUCH”.

Dopiero w latach pięćdziesiątych (w 1952 rozpoczęła się planowa odbudowa starego zabytkowego śródmieścia, od Rynku począwszy), przyjdzie kolej na ulicę Krakowską, ulicę najważniejszą, bo łączącą bezpośrednio Rynek i śródmieście z dworcem kolei. Pierwszym nowym budynkiem będzie odbudowany, jako pierwszy w Rynku, narożnik ulicy Krakowskiej, dom z arkadami. Tych arkad wcześniej nie było, ale ówczesny plan urbanistyczny odbudowy Opola (arch. Jassem) już przewidywał poszerzenie ulicy Krakowskiej, zbyt wąskiej dla przyjęcia przewidywanego znacznego wzrostu komunikacji w mieście, bądź co bądź, wojewódzkim.

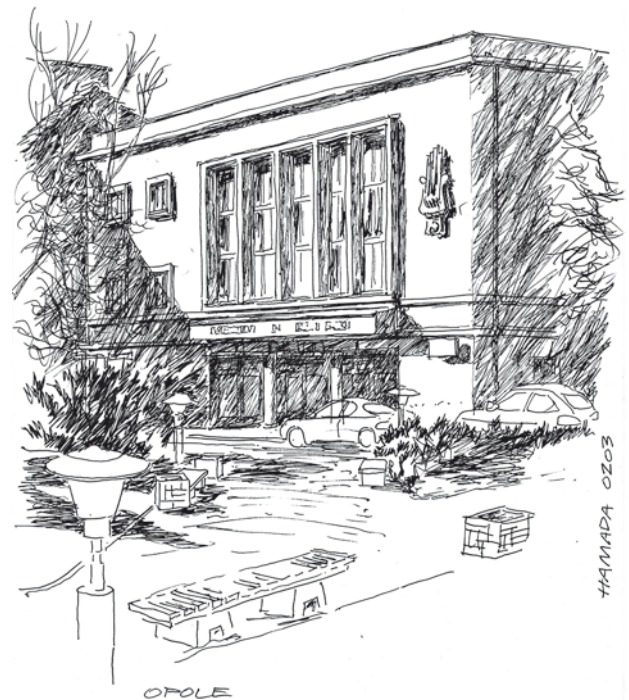
Po odbudowaniu wszystkich pierzei zabytkowego Rynku stanie się on chlubą i wizytówką Opola, a dalsza szybka odbudowa miasta ze zniszczeń wojennych najważniejszym zadaniem i pasją burmistrza Karola Musioła, wówczas przewodniczącego prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Będzie on teraz poświęcał wiele trudu i czasu dla jak najszybszego przywrócenia



Dom z „Delikatesami” na parterze

miastu placu Wolności i ulicy Krakowskiej.

Plac Wolności był oczkiem w głowie Papy Musioła (tak go czule nazywano): duży plac w samym centrum miał być terenem zielonej rekreacji dla mieszkańców miasta. Wymagało to usunięcia pozostałości ruin po gmachu starej rejencji i budynku hotelu „Form”, co zrealizowano bez większych problemów. Pewne trud-



Budynek Filharmonii Opolskiej



Kawiarnia „Dolce Vita” (dawniej „Teatralna”)

ności napotkała rozbiórka niewielkiego, dość ładnego i nadającego się ewentualnie do odbudowy domu po byłej „Cafe Resi”, na rogu ulicy Mozarta, w miejscu dzisiejszego pomnika Bojownikom o Polskość Śląska Opolskiego. W obronie tego budynku użyto nawet argumentu nie do zbitcia, że w tym oto domu zatrzymał się na nocleg król Jan Kazimierz podczas jego pobytu w Opolu w czasie najazdu szwedzkiego. Ale i to nie pomogło, bo argument był naciągany: dom typowo dziewiętnastowieczny nie mógł jeszcze w ogóle istnieć za króla Jana.

Przy placu Wolności odbudowano w latach 1955–1957 duży biurowiec (architekt: Bogdan Wedemski) dla Wojewódzkiego Biura Projektów i biur komunalnych. Na jego parterze rozgościła się reprezentacyjna restauracja „Europa” i Klub Międzynarodowej Prasy i Książki. Nowy obiekt w centrum miasta prezentował się okazale, stało się o nim głośno w całej Polsce. Karolowi Musiołowi tak bardzo zależało na tej odbudowie, że przeforsował sfinansowanie z puli przeznaczonej na kapitalne remonty (na inwestycje pula była już wyczerpana), a to było ewidentnym naruszeniem przepisów: odbudowy, których koszt przekraczał 70 proc. wartości obiektu, kwalifikowały się do puli inwestycji. I miał z tym Musioł jakieś formalistyczne kłopoty, trochę sobie nadwerżył reputację.

Po kolejnych nowych budowach: Domu Nauczyciela przy ul. Krakowskiej 41/43 (rok 1955, architekt Jerzy Zaic) i filharmonii (wówczas Państwowej Orkiestry Symfonicznej) przy teatrze (rok 1956, archi-

tekt Andrzej Hamada), a także po odbudowaniu starej części „Hotelu Dworcowego” przy ul. Krakowskiej 57, ruszyła odbudowa zachodniej strony ulicy. Decyzją architekta wojewódzkiego Teofila Kwiatkowskiego nastąpi teraz poszerzenie ulicy poprzez cofnięcie linii zabudowy o około sześć metrów. W tej nowej linii staną, wznoszone od fundamentów, nowe budowle: budynki mieszkalno-usługowe „Delikatesy” pod numerem 30 (architekt Jakub Schroeder, rok 1960), dom nr 30/36 (w roku 1961, architekt Zdzisław Tarwid) i przy ulicy Powolnego narożny dom nr 40, ze sklepem „Renifer” (architekt Jakub Schroeder, rok 1963).

Ta zachodnia strona ulicy Krakowskiej z nowymi budynkami, już bez ruin, była teraz symbolem odradzania się miasta ze zniszczeń. Nowi mieszkańcy i nowe, piękne sklepy sprawiły, że ulica nagle ożyła.

Architektura tych nowych budynków budziła zainteresowanie, mogła się nawet podobać: nowoczesna, z wygodnymi, funkcjonalnymi, jak na tamte trudne czasy, mieszkaniami. *Wiele zachwytów wśród mieszkańców miasta wywołał nowy, pomysłowo zbudowany blok przy ulicy Krakowskiej, zwany popularnie „Pingwin” ... Rzeczywiście, dom wygląda imponująco* – napisano w „Trybunie Opolskiej” o budynku, w którym mieściły się „Delikatesy”. A o budynku narożnym nr 40: *Budowla jest bardzo nowoczesna, jasna i wielkomijska, jak w Caracas.*

Bo architekci zadbali o możliwie maksymalne upiększenie elewacji. Dom z „Delikatesami” na parterze ozdobiono iście mondrianowską szachownicą: kompozycją w czerni, bieli i szarości (stąd „Pingwin”), która na białym tle prezentowała się imponująco.



Budynek hotelu „Mercure”



Narożny dom nr 40, ze sklepem „Renifer”

A w budynku narożnym nr 40 (ze sklepem „Renifer”) zwracała uwagę, poza loggiami w ulicy Powolnego, niekonwencjonalna kompozycja balkonów na elewacji, potraktowanych w ostrych kolorach (to miało być to Caracas!). Dzisiaj nic z tych dobrych poczynań nie pozostało, przy kolejnych remontach elewacji zamalowano wszystko na gładko. A szkoda.

W latach sześćdziesiątych powstają też nowe, duże obiekty w pierzei wschodniej ulicy. Budynek mieszkalno-usługowy z kawiarnią „Teatralna” pod numerem 33 (według projektu architekta Stanisława Chałupnika, w 1961 r.), nowoczesny dom towarowy „Ziemowit”¹ architekta Stanisława Chronowskiego z Wrocławia (w 1964 roku) i w narożu ulicy Kościuszki duży kompleks z ogromnym budynkiem mieszkalno-usługowym „Akwarium”² architekta Stanisława Torca (w 1967 roku).

Nowoczesny, czterokondygnacyjny budynek „Teatralnej” zbudowano bez centralnego ogrzewania. W XX wieku, w samym centrum miasta wojewódzkiego wstawiono najprawdziwsze staroświeckie piece kaflowe! Bo, pomimo ostrych sprzeciwów władzy budowlanej, inwestor, czyli DBOR (województwa Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych) usilnie oszczędzał na kosztach budowy; co wtedy było w modzie. I do dziś tak zostało: mieszkańcy własnym sumptem wbu-

¹ Tak nazwali go czytelnicy „Trybuny Opolskiej”, która ogłosiła konkurs na nazwę budynku.

² Zaraz przyjęła się ta nazwa, bo w budynku dostali przydziały na mieszkania opolscy oficjale, czyli „grube ryby”.

dowywali do tych pieców kaflowych różne źródła ciepła, także wkładki elektryczne i gazowe.

Ale za to nowy dom towarowy z miejsca zyskał rozgłos: *Największa i najnowocześniejsza placówka handlowa Opola; Ostatni krzyk techniki; Będzie jednym z najnowocześniejszych i najpiękniejszych w kraju* – pisały o nim nie tylko lokalne gazety.

W roku 1965 zbudowano od fundamentów jeszcze dom mieszkalno-usługowy ze sklepem rybnym „Ry-bex” (nr 8/10, architekt Maria Matejuk), a w 1969 – wyjątkowo eksponowany budynek hotelu „Opole”, według projektu architekt Weroniki Sznyrowskiej.

W latach sześćdziesiątych nadbudowano też o jedną kondygnację budynek polikliniki (pod nr 44, architekt Czesław Jurczyszyn). W roku 1970 wzniesiono na placu Wolności ogromny pomnik poświęcony Bohownikom o Polskość Śląska Opolskiego, autorstwa Jana Borowczaka i Floriana Jesionowskiego, który stał się niejako symbolem zakończenia dwudziestoletniej odbudowy ulicy Krakowskiej. W 2000 r., po zakończonej sukcesem walce o utrzymanie naszego województwa, w sąsiedztwie wielkiego pomnika Borowczaka stanął mały pomnik „Brońmy swego, Opolskiego”, według zabawnego pomysłu satyryka Andrzeja Czyczyły.

W końcu z ulicy Krakowskiej, na odcinku od Rynku do ulicy Damrota, wyprowadzono ruch kołowy, powstał ciąg pieszy. Takie nasze, opolskie Corso.

Andrzej Hamada
Rys. autora



Pomnik Bohownikom o Polskość Śląska Opolskiego

Joanna Filipczyk

Mówili o nim „kolos”

Z dziejów pomnika Bojownikom o Polskość Śląska Opolskiego w Opolu

W centralnym punkcie Opolą, na placu Wolności, u zbiegu ulic Krakowskiej i Mozarta, od ponad czterdziestu lat wnosi się monumentalny pomnik, poufale zwany przez mieszkańców „babą na byku”. Charakterystyczna bryła uskrzydłonej kobiety dosiadającej żubra jest dziełem opolskiego rzeźbiarza Jana Borowczaka (1931–1984), a jej oficjalna nazwa brzmi: *Bojownikom o Polskość Śląska Opolskiego*. Taką, zdecydowaną określoną narodowo, nazwę nosi monument od października 1992 roku. Pierwotnie był to pomnik *Bojownikom o Wolność Śląska Opolskiego*.

Plac, na którym stoi rzeźba, powstał dopiero po II wojnie światowej w wyniku wyburzenia ciągu budynków usytuowanych przy ul. Krakowskiej. Zgodnie z koncepcjami urbanistycznymi z lat 60. XX wieku, bryła pomnika zamykać miała optycznie oś ulicy Ozimskiej, której przemiana w szeroką arterię była jedną z głównych wytycznych nowego planu tej części miasta. Miejsce usytuowania pomnika, który powstał z inicjatywy Związku Bojowników o Wolność i Demokrację oraz Frontu Jedności Narodu, wybrali – jeśli wierzyć relacji „Trybuny Opolskiej” – sami mieszkańcy Opolą, wypowiadając się na łamach gazety.

10 maja 1968 ogłoszono zamknięty konkurs dla członków opolskiego ZPAP i SARP na projekt pomnika *Bojownikom o Wolność Śląska Opolskiego*. Termin składania prac upływał 22 października tegoż roku¹. W założeniach ideowych, będących częścią broszury informującej o konkursie, zapisano, że będzie to monument poświęcony pamięci wszystkich bohaterów walczących o wolność krainy, która *po latach rozłąki z państwem polskim wróciła do macierzy*².

W konkursie wyróżniono sześć prac. Jury pod prze-



Jan Borowczak z córką Aliną przed miniaturą pomnika (fot. Andrzej Haczekiewicz)

wodnictwem Bolesława Chromego wybrało projekt Jana Borowczaka i Jerzego Beskiego³. Była to zupełnie inna rzeźba niż ta, którą znamy z dzisiejszego placu Wolności – zakładano wzniesienie potężnej postaci orła, mocowanego na ukrytym fundamencie w taki sposób, że prześwity pomiędzy skrzydłami i nogami ptaka tworzyły rodzaj naturalnej arkady – przejścia dla ruchu pieszego. Skrzydła dekorowane miały być płaskorzeźbami z motywami odnoszącymi się do powstań śląskich i walk z okresu II wojny światowej. Ta sama koncepcja zwyciężyła w plebiscyście czytelników „Trybuny Opolskiej”, kiedy to zimą 1969 roku w hallu kina „Kraków” ustawiono gliniane modele sześciu projektów i poproszono publiczność o głosowanie⁴.

Autorami pozostałych pięciu wyróżnionych propo-

¹ Regulamin konkursu na projekt pomnika „Bojownikom o Wolność Śląska Opolskiego”, Opole 1968.

² *Ibid.*

³ Jan Borowczak i Jan Beski zwycięzcami konkursu na projekt Pomnika Bojowników o Wolność Śląska Opolskiego, „Trybuna Opolska” 1968, nr 335, s. 4.

⁴ [Romana Konieczna], Wyniki plebiscytu w sprawie budowy pomnika w Opolu, „Trybuna Opolska” 1969, nr 56, s.3.



Tak wyglądał skwer przy placu Wolności przed postawieniem pomnika (fot. Adam Śmietański)

zycji konkursowych byli: Emil Wawro z Zygmuntem Wawrzynowiczem, Marian Nowak z Barbarą i Jerzym Ponikowskimi (dwie równorzędne drugie nagrody), Adam Chyrek, Krzysztof Bucki z Jerzym Gurawskim oraz Jan Borowczak, który przedstawił alternatywny projekt.

Po rozstrzygnięciu konkursu nie podjęto jednak realizacji zwycięskiego projektu. Zwrócono się do Jana Borowczaka, aby przygotował do realizacji koncepcję, którą przedstawił jako trzecią w konkursie. Sam rzeźbiarz w audycji radiowej odsłonił nieco kulisy tej

nieoczekiwanej decyzji: *koncepcja [skierowana ostatecznie do realizacji] na konkursie jakoś została niezauważona specjalnie, bo, mimo że dostałem z Jerzym Beskim nagrodę i oprócz tego jeszcze wyróżnienie, to dyskusje były już w gronie po konkursie, zresztą to jest jakąś prawidłowością, gdzie zastanawiano się, przez dłuższy czas, analizowano i [...] władze nasze wojewódzkie wybrały tę koncepcję do realizacji. Myślę, że w tej chwili, jak już widzimy wszyscy, jak stoi, że ta decyzja władz była słuszna⁵. Projekt, o którym mowa, zakładał przedstawienie żubra uskrzydłonego postacią zwycięstwa. Kompozycja – zgodnie z autorskim opisem Borowczaka była *znakiem-metaforą dziejów Śląska Opolskiego i jego walki o wyzwolenie*.*

Teraz prace nad pomnikiem potoczyły się już szybko. Olbrzymią skalę pomnika uzmysławia zapotrzebowanie na materiały, sporządzone przez rzeźbiarza. Do budowy niezbędne były m.in.: *cement – pół tony, kruszywo bazaltowe – 6 ton, żwir – 3 tony, pręty zbrojenio- we 1200 kg, gwoździe – 200 kg, gips – 15 ton⁶*. Prace architektoniczne przy projekcie wykonywał Florian Je-

⁵ Rozmowa z Janem Borowczakiem, 7.05.1970, archiwum Radia Opole.

⁶ Notatki w archiwum domowym rodziny J. Borowczaka.



Uroczystość wkopania kamienia węgielnego pod pomnik Jana Borowczaka zgromadziła wielu opolan. Na zdjęciu widoczni m.in.: Karol Musioł (w okularach, w centrum fotografii), pisarz Zbigniew Zielonka (pierwszy z lewej). Fot. Stanisław Bober



Montaż pomnika na placu Wolności. Z prawej – Jan Borowczak, w środku (z siekierą w ręce) – Eugeniusz Kubów (fot. Andrzej Haczkiwicz)



Odlewanie bryły pomnika zajęło 28 dni (fot. Andrzej Haczkiwicz)

sionowski, a nad konstrukcją czuwał Tadeusz Gruchala. Ważną osobą w zespole Jana Borowczaka był także Eugeniusz Kubów, wieloletni asystent rzeźbiarza.

Pracownię, ze względu na gabaryty powstającego monumentu, urządzono w hali Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Opolu. W trakcie prac Borowczak wykonywał kolejne pomniejszone projekty, z których największy wykonano w ZNTK w skali 1:5. Jak donosiła w lutym 1970 roku prasa: *Jan Borowczak czuje się już w »Wagonówce« jak w domu. Zdażył poznać niemal połowę załogi. Jego stałymi pomocnikami są stolarze, spawacze i ślusarze*⁷. Pracownicy zakładów, przechodząc obok kilkumetrowego gipsowego modelu, wznoszącego się pomiędzy wagonami, mówili o nim po prostu: *kolos*. W „Wagonówce” do wiosny 1970 roku wykonana została forma gipsowa, która posłużyła do zrobienia betonowego odlewu.

Na placu Wolności tymczasem położono kamień węgielny, a następnie przystąpiono do realizacji. W częściach przewieziono tam gipsową formę, następnie w ciągu 28 dni powstał odlew ze zbrojonego betonu. Czas był bardzo krótki, pomnik na placu należało wzniesić w niespełna miesiąc, aby zdążyć na uroczyste odsłonięcie, które zaplanowano jako główny akcent opolskich obchodów dwudziestej piątej rocznicy zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami.

Większość funduszy, koniecznych do pokrycia kosztów tego ogromnego przedsięwzięcia, pochodziła z zasobów Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa oraz Wojewódzkiej Rady Narodowej, ale na konto, którego numer podawano do publicznej wiadomości, wpływały także dobrowolne wpłaty gotówko-

we od instytucji i osób prywatnych. Część prac wykonano w ramach obowiązującego w ówczesnym ustroju czynu społecznego, co oznaczało, że wykonawcy odstąpili od pobrania honorarium. W ten sposób wykonał część prac sam artysta, konstruktor, a także geodeta⁸.

9 maja 1970 roku, w strugach deszczu, w obecności najwyższych władz partyjnych i państwowych województwa, przy wtórze wielu przemówień, dokonano uroczystego odsłonięcia. Pomnik, który ukazał się opolanom, przedstawiał jasną w kolorze Nike – boginię zwycięstwa, dumnie siedzącą na żubrze symbolizującym, według zamierzeń autora, moc, odwagę i szlachetność słowiańskiego narodu. Silne zwierzę, z pochyloną lekko głową, w pozie sugerującej ruch, bez trudu unosi na swym grzbiecie uskrzydloną kobietę, pracę bezwzględnie naprzód potężnym ciałem. Kompozycja rzeźbiarska umieszczona została na zbliżonym w rzucie do kwadratu niskim cokole z inskrypcją zawierającą nazwę monumentu oraz „daty zmagania narodu polskiego z germańskim najeźdźcą”⁹, poczynawszy od bitwy pod Cedynią w 972 aż po zwycięstwo w Berlinie w 1945 roku. Na bocznej ścianie cokołu umieszczono dodatkowe rozwinięcie nazwy, rozpoczynające się od słów: *Nieugiętemu w walce z germanizacją ludowi Śląskiemu*.

Z czasem wygląd pomnika zaczął odbiegać od pierwotnego projektu. Największą, niezbyt chyba udaną ingerencją, było nałożenie na rzeźbę warstwy brą-

⁸ Budowa pomnika Bojownikom o Wolność Śląska Opolskiego w końcowej fazie realizacji, „Trybuna Opolska” 1969, nr 340, s. 5.

⁹ Tym, którzy wywalczyli wolność. Monumentalny pomnik symbol walki i zwycięstwa stanął w Opolu, „Trybuna Opolska” 1970, nr 127, s. 1, 2.

⁷ Romana Konieczna, *Wagony i ...pomnik. Mówią o nim „kolos”*, „Trybuna Opolska” 1970, nr 47, s. 4.



9 maja 1970 r., w obecności władz partyjnych i państwowych województwa, pomnik został odsłonięty. Na zdjęciu (od lewej): Jan Borowczak, Józef Krotiuk – późniejszy wicewojewoda opolski, Ryszard Hajduk – poseł na Sejm i architekt Florian Jesionowski (fot. Andrzej Haczkiwicz)

zu, co zmieniło jej kolor z jasnoszarego na grafitowy i spowodowało zatarcie czytelności przedstawianych postaci. Patynę, według własnej koncepcji, nałożył wprawdzie sam autor, aby zabezpieczyć cementową rzeźbę przed złymi wpływami atmosferycznymi, wydaje się jednak, że pierwotna kolorystyka była znacznie trafniejsza. Drugą przeróbką była wymiana okładziny cokołu i inskrypcji, przy okazji zmiany nazwy pomnika. Znikły wówczas daty wielowiekowych polsko-niemieckich zmagani i dedykacja z boku cokołu, ujmując monumentowi wcześniejszej, mocno antyniemieckiej wymowy. Przed cokołem pojawiły się natomiast miejsca na tablice pamiątkowe, które szczegółowo upamiętniać mają poszczególne grupy *bojowników o polskość*. Centralne miejsce zajęła tablica z *Pięćmioma prawdami Polaka*, odsłonięta w 1998 roku, podczas obchodów 75. rocznicy powstania Dzielnicy I Związku Polaków w Niemczech. Kolejna tablica pojawiła się u stóp pomnika w roku 2011. Jest poświęcona kadmptom polskim poległym w III powstaniu śląskim. W ten sposób program ideowy monumentu zawężono do upa-

miętnienia przede wszystkim walczących po stronie polskiej powstańców śląskich oraz działaczy przedwojennej polskiej mniejszości na Śląsku Opolskim.

Od lat 90. XX w. co jakiś czas powracały pogłoski o planowanej rozbiórce pomnika, uzasadnianej oficjalnie pogarszającym się stanem zachowania, zagrażającym jakoby katastrofą. Stan zachowania rzeźby rzeczywiście nie był najlepszy, obserwowano odpadające fragmenty brązowej powłoki i betonu, odsłaniały się zardzewiałe zbrojenia. W 2009 roku miejski konserwator zabytków zlecił ekspertyzę, która wykluczyła niebezpieczeństwo zawalenia i ucięła ostatecznie dyskusję o rozbiórce, zwracając bieg rzeczy w stronę koniecznej renowacji pomnika. W 2011 roku władze miasta wygospodarowały środki na niezbędne prace konserwatorskie i remontowe, które objęły także zdjęcie ciemnej brązowej patyny i przywrócenie monumentowi pierwotnego koloru. Odświeżoną Nike zaprezentowano oficjalnie opolanom 11 listopada 2011 roku. Prace renowacyjne nadzorowali Dariusz Bajno i Alina Borowczak-Grzybowska, córka twórcy pomnika, z zawodu architekt.

W przededniu ponownego odsłonięcia rodzina Jana Borowczaka przekazała do zbiorów Muzeum Śląska Opolskiego tzw. przejściowy model pomnika wykonany w skali 1:10, który oglądać można na stałej wystawie *Opolskie środowisko artystyczne po 1945 roku*.

Od kilkudziesięciu lat pomnik jest ważnym i rozpoznawalnym elementem centrum miasta. Odbывают się pod nim obchody świąt niepodległościowych, a w 1998 roku, podczas walki o zachowanie województwa opolskiego, Nike przepasana żółto-niebieskimi barwami Opolszczyzny patronowała manifestacjom mieszkańców, broniących administracyjnej odrębności Opolszczyzny. Przez ponad czterdzieści lat monument zdążył wrosnąć w otoczenie. Niezależnie od wciąż toczonych na jego temat sporów, stał się świadectwem powojennej historii naszego miasta i jednym z jego rozpoznawalnych symboli.

Joanna Filipczyk

Barbara Stankiewicz

Rachunek nieprawdopodobieństwa

Gdyby każdy rok życia Bolesława Gleichgewichta dostał jedną linijkę, to powstałby tekst składający się z 94 linijek.

Pięć linijek dotyczyłoby Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, bo na tej uczelni wykładał studentom matematykę przez pięć lat (1963–1968).

Z linijek w Wikipedii: „Bolesław Gleichgewicht (ur. 30 kwietnia 1919 w Warszawie) – doktor nauk matematycznych, zainteresowany różnymi aspektami algebry oraz dydaktyki matematyki. Od 1942 do 1945 był w Armii Czerwonej, potem studiował matematykę na Uniwersytecie w Odessie (ukończył w 1950). W latach 1946–1956 był członkiem Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. W 1956 wrócił do Polski. W 1961 uzyskał doktorat na Uniwersytecie Wrocławskim. Po wydarzeniach marcowych w 1968 zwolniony z pracy w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Pracownik naukowo-dydaktyczny i docent Uniwersytetu Wrocławskiego. Związany z ruchem opozycyjnym w czasach PRL, członek Towarzystwa Kursów Naukowych. W III RP należał do Ruchu Obywatelskiego Akcji Demokratycznej, Unii Demokratycznej (przewodniczył komisji rewizyjnej tej partii) i Unii Wolności. Laureat nagrody im. Samuela Dicksteina w 1989. W 1999 odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (*w uznaniu wybitnych zasług w pracy naukowej i dydaktycznej*). Jest ojcem Aleksandra Gleichgewichta, współpracownika Komitetu Obrony Robotników i KSS „KOR”, działacza SKS we Wrocławiu, od stycznia 1981 etatowego pracownika Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego „S” we Wrocławiu, a następnie Zarządu Regionu Dolny Śląsk, członka redakcji tygodnika „Solidarność Dolnośląska”, redaktora naczelnego Radia „Solidarność” we Wrocławiu, internowanego w stanie wojennym, dziś przewodniczącego Gminy Wyznaniowej Żydowskiej we Wrocławiu).

A mniej encyklopedycznie: szczęśliwe dzieciństwo w warszawskim mieszkaniu z fortepianem i służącą Cesią, dwa lata studiów na Uniwersytecie Warszawskim, wybuch II wojny światowej, a potem siedemnastoletnia, samotna tułaczka po Związku Radzieckim (w tym i praca w charakterze *czarnoraboczego* w Łucku, i pobyt w specobozie NKWD, i wojenna służba w pułku artylerii przeciwlotniczej, i powojenne studia na Uniwersytecie w Odessie, a po nich praca nauczyciela), poodwilżowy powrót z rodziną do Polski, praca na Uniwersytecie Wrocławskim, działalność opozycyj-

na w czasach PRL, wreszcie stan wojenny i fotografia Bolesława Gleichgewichta w gazetach, opatrzona nagłówkiem: *List gończy*.

O pamięci

– Zawsze miałem fenomenalną pamięć. To dla mnie też dziwne trochę, ale zapamiętałem setki nazwisk, przypadków, szczegółów. I pamiętam je do dziś. Moja żona Jewdokija, Dina, z domu Odryńska, zmarła dokładnie rok temu, ona w swoim czasie też dużo pamiętała. Ale nawet jak była młoda, nie pamiętała nazwisk dowódców pułku, dywizji. Ja pamiętam wszystko, przykre momenty też, ale usunąć z pamięci nie chciałbym niczego.

W specobozie w Tambowie (później przewieźli nas do Rady), zdarzało się, że chleb rozdawali dopiero wieczorem, po ciemku. Próbowaliśmy go, jak zwykle, dzielić według listy. Ale nic nie było widać! Wtedy ja recytowałem z pamięci prawie sto nazwisk, po kolei, od Ałpatowa po Jakowlewa. Stałem się wtedy najpopularniejszym człowiekiem na ziemi, bo w innych oddziałach dochodziło przy tym dzieleniu do prawdziwych awantur. Ja, żeby zapobiec ewentualnym machlojkom, wywoływałem też niekiedy nazwiska w odwrotnym porządku, od Jakowlewa do Ałpatowa, albo jeszcze inaczej – jednego z początku, jednego z końca listy. Wariantów było kilka. No cóż, pamięć miało się wtedy dobrą.

A twarzy mojej mamy prawie nie pamiętam.

Mój ojciec Adam był inżynierem, studia kończył w Niemczech, przed I wojną światową. Był trzynastym, najmłodszym dzieckiem swoich rodziców. Pochodził z niezwykle bogatej rodziny, niestety wkrótce po śmierci dziadka Kongresówkę odłączono od Rosji, Polska straciła rynki zbytu. W kryzysie z 1929 roku utraciliśmy wszystko, staliśmy się bardzo niezamożnymi ludźmi.

Matka moja, z domu Majranc, pochodziła z inteligentnej rodziny. Studiowała w konserwatorium, nie wiem, czy je ukończyła, ale pięknie grała na fortepianie, więc ja od dziecka byłem otoczony muzyką, miałem zresztą świetny słuch muzyczny (31 stycznia 1937 r. jako maturzysta na zabawie sylwestrowej wygrałem konkurs tańca, za tango, nagrodą była bombonierka). Mama kończyła rosyjskie gimnazjum, świetnie władała rosyjskim, francuskim i niemieckim, ojciec – rosyj-

skim i niemieckim. Jej ojciec zmarł na raka krtani, jej matka na raka macicy, więc moja matka całe życie bała się raka.

A zginęła w komorze gazowej.

Oboje znali jidysz, ale bardzo pilnowali, żebym ja go nie poznał. Bali się, że będę miał akcent żydowski. Wyznawali religię mojżeszową, ale nie byli religijni, nie chodzili do synagogi.

Rodzice nie chcieli mnie puścić do szkoły powszechnej, od razu do gimnazjum – przez trzy lata przygotowywała mnie do tego moja znacznie starsza kuzynka Maria Szejman, bardzo wykształcona, miłośniczka Anglii. Wywarła na mnie ogromny wpływ. Drugim takim człowiekiem był kuzyn Józek Holcman, bardzo uzdolniony matematyk, u jego ojca przechowywałem się później trochę w Ostrogu, w czasach mojej tułaczki po Związku Radzieckim. On skierował moją uwagę na astronomię, już jako dziecko mnóstwo wiedziałem o planetach, gwiazdach.

Gimnazjum im. Mikołaja Reja, jedno z najlepszych w Polsce (prowadzone przez zbór ewangelicko-augsburski), pracowali tu autorzy książek, podręczników, chyba dwóch docentów... Dyrektor gimnazjum Adolf Rondthaler był pastorem. Uczył tam i profesor Edmund Bursche, przewodniczący Związku Protestantów (córka Burschego została później żoną profesora Edwar-da Marczewskiego, który pojawiał się w moim życiu wielokrotnie). Obaj zostali wykończeni przez Niemców w obozie, bo nie chcieli podpisać volkslisty. Moim ulubionym nauczycielem był Zygmunt Szeller, wujek pani Marczewskiej, za jego sprawą zająłem się chemią, byłem nawet przewodniczącym kółka chemicznego. Z czasem miejsce chemii zajęła fizyka. W chwili wybuchu wojny byłem po drugim roku fizyki na Uniwersytecie Warszawskim.

Gimnazjum było bardzo tolerancyjne (choć antysemityzm też był, ale ja się tam czułem bardzo dobrze), nauczyło mnie patriotyzmu, ale nie tego hurapatriotyzmu, nacjonalizmu, to naprawdę była miłość do tego kraju, do tego języka. Ja bardzo kocham język polski – jak po siedemnastu latach wróciłem wreszcie do kraju i usłyszałem polską mowę na punkcie repatriacyjnym, pomyślałem: jakież to piękny język! Dotąd nie zdawałem sobie z tego sprawy.

To, czym nasiąknąłem w gimnazjum, odezwało się kilka lat później, w radzieckim obozie, kiedy razem ze współwięźniem Lolkiem śpiewaliśmy *Boże coś Polskę* (*Polacy moliatsa*, modlą się – ryczeli wtedy ze śmiechu Rosjanie). Pamiętam, wtedy postanowiłem, że jak kiedyś wrócę do Polski, przejdę na katolicyzm.

Dlaczego nie na ewangelicyzm? Ja całe życie byłem w mniejszości, już miałem tego dość.

O ucieczce na Wschód

– Na Uniwersytecie Warszawskim w 1937 r. wprowadzono ławki gettowe: studenci, którzy byli obywa-

telami polskimi wyznania mojżeszowego musieli siedzieć podczas wykładów po lewej stronie sali. Myśmy nie chcieli, to było poniżające. Słuchaliśmy wszystkich wykładów na stojąco, czasem sześć, osiem godzin. Przychodziły bojówki ONR-owskie, ośmiu silnych chłopów (ONR istnieje i dziś, jak ja to słyszę, zimno mi się robi), i biły nas, zmuszając do siadania albo do wyjścia z sali. Napadali na mnie i na dziedzińcu. Po listopadzie 1938 roku w ogóle przestałem chodzić na zajęcia. Nie chodziłem, uczyłem się z konspektów kolegów, podręczników, skryptów. Jak Niemcy weszli do Warszawy, uniwersytet zamknęli. Tymczasem otworzono uniwersytet we Lwowie. Zrozumiałem: moja droga jest na wschód. Rodzice bardzo nie chcieli, byłem przecież ich jedynym synem! Ojciec powtarzał: *kto w czasie pierwszej wojny uciekał na wschód, nie wracał*. Ja przekonywałem: tu mogą dziać się rzeczy straszne! A ojciec na to: *Ja wiele lat mieszkałem w Niemczech, znam Niemców, to naród wybitnie kulturalny*.

Nie wiedział ojciec, że skończy w komorze gazowej.

Któregoś dnia, jesienią, moi rodzice wyszli z domu, do przyrodniej siostry mojej matki, a nasze mieszkanie w tym czasie przetrząsnęli Niemcy w poszukiwaniu ukrywających się żołnierzy (na stole leżało 150 karykatur Hitlera, których nie zdążyłem spalić, nawet ich nie zauważyli). Rodzice wrócili zupełnie zgłębnie-



Bolesław Gleichgewicht w radzieckim mundurze

ni. Widzieli, jak na ulicy niemieccy żołnierze strzygli brody starych Żydów.

Kiedy postanowiłem, że jadę do Lwowa, obowiązywał już zakaz wyjazdu z Polski. 1 listopada 1939 r., licząc na świąteczny bałagan, nielegalnie, wraz z innymi uciekinierami, przekroczyłem granicę na Bugu. Wpadliśmy w ręce Rosjan, którzy z miejsca uznali nas za *szpionów*, mnie dodatkowo – za *szpiona-pijanicę*. Bo w manierze, którą matka dała mi na drogę, był wermut. Ten wermut to zasługa naszej służącej Cesi, która codziennie wyprawiała się po wodę aż na cmentarz powązkowski, gdzie stała w dużej kolejce, bo wody brakowało w całej Warszawie. Któregoś dnia, zamiast wody, przyniosła dwa wiadra wermutu Cinzano, który zatankowała w zbombardowanej komorze celnej naprzeciwko naszego domu. Odtąd zaczęły się w naszym domu dziwne dni. Matka oszczędzała wodę na mycie, więc zamiast herbaty piliśmy wermut. Byliśmy na ciągłym rauszu i ciągle spragnieni, bo wermut był słodki. Niespecjalnie też pasował do słonych śledzi...

Jako *szpiona-pijanicę* Rosjanie przekazali mnie Niemcom, z ich aresztu jakimś cudem udało mi się uciec. I tak zacząłem swoją samotną wędrówkę po Związku Radzieckim.

Wyszedłem z domu w zimowym palcie, kupionym u „Celiba” za Żelazną Bramą, gdy byłem uczniem VII klasy gimnazjum. Nosilem je przez cztery przedwojenne i dwie wojenne zimy (przenicował mi je później krawiec w Wierzchowie). Na nogach miałem turystyczne buty firmy Bata (po roku naprawiał je szewc Leontij Marczuk w Wierzchowie). A w połowie listopada 1941 roku, w Otróżce, kopałem rowy w łapciach z łyka (zrobił mi je wieśniak z Syberii).

Latem 1941 r., na bazarze w Biełgorodzie, ukradli mi portmonetkę kupioną w Zakopanem. Poczulem, że zerwała się jeszcze jedna nić łącząca mnie z przeszłością. A dwa lata później, w specobozie, ukradli mi ostatnie pamiątki z mojego warszawskiego życia: miseczkę i pędzel do golenia.

To było straszne: samotny dwudziestolatek, jedynak z domu, nieprzygotowany do życia, w obcym kraju, w oceanie wojny światowej. Potworny głód. Odmrożenia (miałem wrzody z awitaminozy, a na prawej nodze ślad po odmrożeniu mam do dziś, aż się dziwię, że tylko jeden). Później obóz. Nie załamałem się, ale byłem bliski.

Już mi się nie śnią te obrazy.

Wszy gryzły mnie przez całą wojnę. Pewien chłop, którego w 1939 roku Rosjanie też zatrzymali za naruszenie granicy (przewieźli nas wszystkich do komendantury straży granicznej w Szepietowie), wytłumaczył mi: pchły biorą się z piasku, wszy ze zmartwień, a pluskwy z pierdzenia... Musiałem mieć dużo zmartwień. Ale w to wierzyła też moja gospodyni w Łucku, osoba wykształcona. Pluskwy też poznałem, zwłaszcza pod koniec wojny. I później na studiach, w akademiku... Pcheł jakoś nie miałem.

Wszy to jest prawdziwe nieszczęście.

O śmierci rodziców

– W końcu marca 1940 r., byłem wtedy w Łucku, przyszła od rodziców pierwsza kartka pocztowa. U góry z lewej strony przedwojenne hasło: *Telefon zaoszczędza czas i pieniądze*. Z prawej znaczek z Hindenburgiem. Na poprzedniej cenie znaczka nadruk: *30 Groschen*. Na napisie *Deutsches Reich* nadruk: *Deutsche Post Osten*. Pieczętka: *Warschau NW 41*.

Ostatnią wiadomość, datowaną 15 maja, dostałem 19 czerwca 1941 r. Nie była to już *kartka pocztowa* lecz *Postkarte*. Na znaczku napis: *Generalgouvernement*. W lewym górnym rogu też coś nowego: prostokątna pieczętka z napisem *Judenrat Warschau*. Absender, czyli nadawca, już nie Maria i Adam, lecz Mindla i Abram Gleichgewicht. Adres też się zmienił. Nie Dziśka 25, gdzie mieszkaliśmy przed wojną i skąd otrzymywałem listy, lecz Miła 64.

To była kartka z getta.

Listy od rodziców to moja najcenniejsza, jedyna po nich pamiątka, czytałem je po raz kolejny niedawno, ze łzami w oczach. Nie pozostała po nich nawet fotografia. Ojca twarz dobrze pamiętam, matkę gorzej, wiem, że była ładna. Ojciec – łysy, jak ja. To byli bardzo dobrzy, mili ludzie, oni nic złego nikomu nie zrobili. Ojciec był wielkim entuzjastą kultury niemieckiej, matka też biegle po niemiecku mówiła. To jest przerażające.

Ja długo nie wiedziałem, że nastąpił Holokaust. Przez całą wojnę byłem pewien, że wrócę do domu, ale na początku lat 50. straciłem nadzieję. Dotarło do mnie, że moi rodzice nie żyją. Po powrocie do Polski szukałem ich przez Czerwony Krzyż i przez gminy żydowskie. Tymczasem odnalazł się w Kanadzie mój kuzyn Adam, który ocalał, był w getcie, potem po aryjskiej stronie, potem w Oświęcimiu. On mi napisał: *Widywałem twoich rodziców w getcie, ojca widziałem po raz ostatni we wrześniu 1942 r.* (wtedy była likwidacja getta). *Wyglądał jak starzec, nie miał pracy, matka była z nim, jedynym jasnym punktem w ich życiu była radość, że ty uciekłeś.* Później odnalazłem moją ciotkę Idzikowską, żonę sanacyjnego posła Edwarda Idzikowskiego. Od niej się dowiedziałem, że moja matka zmarła na tyfus.

Jak ja się ucieszyłem, że na tyfus, a nie w komorze gazowej!

Ale to się okazało nieprawdą. Nie wiem dokładnie, ale myślę, że rodzice zginęli w Treblince, bo jak była likwidacja getta w 1942, Żydów wywożono głównie do Treblinki. Byłem tam dwa razy, potworne wrażenie, byłem też w Majdanku i Oświęcimiu.

Są rzeczy, o których myślę ze spokojem. Ale nie mogę ze spokojem myśleć o tym, jak zginęli moi rodzice. Jak ich pędzili do tej komory, jak ich gazowali.

Niestety, prawie cała moja rodzina wyginęła.

Ale w historii dziwne rzeczy się dzieją. Opowiem pani coś, co brzmi ogromnie niewiarygodnie.

Heinrich Himmler, szef SS i gestapo, twórca obozów koncentracyjnych i obozów zagłady, chyba naj-

większy oprawca hitlerowski (ale Jeżow i Beria byli wcale nie mniejszymi zbrodniarzami), miał dwóch braci. Starszego Gerharda i młodszego Ernesta. Ernestowi urodził się syn, który był chrześniakiem i ulubieńcem Heinricha Himmlera. Temu chrześniakowi urodziła się córka, Katrin Himmler. I ta oto Katrin Himmler, stryjeczna wnuczka Heinricha Himmlera, wyszła za mąż za mego stryjecznego wnuka Amira, którego ojciec Zygmunt, mój kuzyn, mieszka w Izraelu!

Więc mam w rodzinie Himmlera.

Bo Zygmuntowi, jego żonie i dzieciom udało się przeżyć okupację, zamieszkali w Izraelu. Jeden z ich synów, Aleks, ożenił się z Żydówką z Polski, o nazwisku... Hitler. Urodzili im się trzej synowie. Najstarszy z nich, Amir właśnie, wyjechał na studia do Niemiec. Tam poznał Katrin Himmler. Czyli: wnuk pani Hitler (to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk) ożenił się z autentyczną stryjeczną wnuczką Himmlera. Mają synka Joszke, czyli Josifa, mojego stryjecznego prawnuka. Czy to nie jest niesamowite?

Katrin to wspaniała dziewczyna. Nienawidzi nazizmu. Napisała o swojej rodzinie książkę *Himmler i jego bracia*. Nie zmieniła nazwiska, dalej nazywa się Himmler. Jej mąż Amir natomiast nie nazywa się Gleichgewicht, bo w Izraelu niemieckie nazwiska były bardzo źle widziane, tylko Gilan – takie nazwisko przyjął jego dziadek, a mój kuzyn, Zygmunt.

Gdyby Himmler miał grób, chyba by się w nim przewracał.

O wojnie w radzieckim mundurze

Do specobozu NKWD wsadzili mnie za to, że napisałem o przyjęciu mnie do armii Andersa. Ale jakoś wydobyłem się, potem trafiłem do pułku artylerii przeciwlotniczej, początkowo jako kierowca. Ale jak zastąpiły nas za kierownicą kobiety (wśród nich moja przyszła żona), zostałem celowniczym, potem dowódcą działowym, w końcu dowódcą plutonu, jako sierżant. To ja napisałem dla sztabu armii instrukcję obsługi szwedzkich dział Bofors, mało brakowało, a stanąłbym za to przed plutonem egzekucyjnym. Moja instrukcja była całkowicie sprzeczna z oficjalną instrukcją otrzymaną ze sztabu głównego artylerii, a podpisaną przez generała lejtnanta. A ja jestem przecież młodszy sierżant, i to z Polski, więc budzi się niedowierzanie – inne dane ostrzału, na wysokość, odległość... Dane taktyczne, to jest groźne. Kontrwywiad zaczyna bywać na naszej baterii, niejaki starszy lejtnant Korob, swolocz i gnida niesłychana. Im bardziej podejrzliwy, tym bardziej słodki. Mówi mi: *Gleichgewicht, moj drug*. Potem mówi: *družok*, a na końcu: *družoczek*... To zdrobienie było już naprawdę niebezpieczne. Tymczasem przychodzi ostateczna wersja instrukcji, i to ze sztabu generalnego artylerii Związku Radzieckiego, podpisana przez głównego marszałka artylerii Nikołaja Nikołajewicza Woronowa. *Toczka w toczkę* jak moja! Albo

spisali, albo obliczyli uczciwie. A tu przychodzi Korob, mówi: *Zdrastwujtie Gleichgewichtoczek, moj družoczek*, rączkę oślizgłą podaje: *Ja mam do ciebie prośbę, wykonasz?* Domyśliłem się o co chodzi: werbuje mnie na *seksota*, czyli tajnego współpracownika, *sie-krietnowo satrudnika* (ja przez długi czas myślałem, że to chodzi o *seksotkę*, czyli dziewczynę pewnego typu). Tymczasem on mnie pyta, czy nauczę go tańczyć tańce zachodnioeuropejskie? A ja tańczyłem znakomicie. Przychodził do mnie regularnie ten tępak, ja go uczyłem. Tango, fokstrotą, slow-foksa i bostona się nauczył. Dowódcę plutonu Piererwina też nauczyłem tańczyć. Nauczycielem tańca byłem także w Odessie, na studiach.

Jak się wojna skończyła miałem już 26 lat, a ciągle byłem sierżantem. Dwa razy starałem się o przyjęcie do szkoły oficerskiej, nie przyjmowali, bo pochodzę z Polski.

Tak to już ze mną było: kiedy trzeba, przeszkadzało mi pochodzenie żydowskie, kiedy trzeba – polskie. Po studiach na aspiranturę mnie nie przyjęto – bo Żyd. Do wojskowej szkoły – nie, bo Polak. Kiedy naczelny inżynier zakładów budownictwa wojennego okrętów w Zielonodolsku, w Tatarii, werbował do pracy matematyków, nie przeszkadzało mu ich żydowskie pochodzenie: wziął i Ginzburga z żoną, i Połonskiego. A mnie nie. Bo dla niego już nie byłem Żydem, byłem Polakiem.

O głodzie

Ja nie byłem syty przez dwanaście lat. Ciągłe głodowałem. W obozie (trafiłem tam 31 stycznia 1942 r., za to, że chciałem iść do armii Andersa) dawali nam 35 dag chleba i 2 talerze wodnistej zupy.

Jak często ja śniłem i myślałem o chlebie! Nigdy o białym, zawsze o razowcu z czarną, wypieczoną skórką, chrupiącą w zębach, świeżą, pachnącą. Leżąc na narach, układałem sobie nieraz menu. Wymyślałem śniadania, drugie śniadania, obiady, podwieczorki i kolacje. Wszystko to wielodaniowe, ale proste i pożywne, żadnych frykasów.

Po wojnie, jako student matematyki na Uniwersytecie w Odessie (*fizyko-matematycznej fakultet*), wiecznie niedojadałem. Uratowała mnie mamałyga. W Nikołajewce, gdzie na stałe mieszkałem (w czasie tej mojej tułaczki pracowałem tam jako nauczyciel), posadziłem kukurydzę, na początku studiów pojechałem ją zebrać, przywiozłem ciężarówką do Odessy. Zmagazynowałem ją u mojej uczennicy Elli Serbiny, na ulicy Ostrowidowa. Od czasu do czasu tam przychodziłem, huskałem i zabierałem. A na ulicy Liwadnej 22 był nielegalny młyn: małe, kolektywne mieszkanko, w pokoju piec kaflowy, a w piecu maszynka do mielenia, wysuwana. Z ośmiu kilogramów kukurydzy zabierali dwa kilogramy, za usługę. Bardzo „muzykalny” to był dom, bo żeby zagłuszyć hałas młynka, puszczano głośną muzykę z płyt.

Przepis na mamalygę: do garnuszka z wrzątkiem wsypuje się mąkę, robi się tzw. *kom*, bryłka, która rozparza się, wtedy rozcieramy ją wálkiem, żeby pochłaniała wodę. To była kolacja. Z rana szedłem na tzw. śniadanie do stołówki, prawie nic. Głód. Obiady były cienkie, mięsa chyba w ogóle nie widziałem, kasza, zupa... Kiedyś, pod koniec trzeciego roku studiów, skończyły mi się produkty, a miałem jeszcze dwa bardzo trudne egzaminy: z mechaniki teoretycznej, u niezwykle wymagającego profesora Wasilijewa i z teorii grup (algebra abstrakcyjna, moja ulubiona później specjalność). A ja już trzeci dzień nie jadłem, bo stypendium się spóźniało! Kupiłem sobie trochę witaminy B i ssalem ją, żeby zabić głód. Jakby tego było mało, na mojej ulicy akurat remontowali szyny tramwajowe – w głowie mi huczało! A tu przyjeżdża taki student zaoczny Jefsifiejew z Pierwomajska i pyta, czy mogę mu wykonać dwadzieścia zadań z różniczkowania funkcji. On był trochę tępy, to znaczy niezdolny, oczy wybałuszył, jak ja fiuuuu i rozwiązałem wszystkie. Podziękował, po czym otworzył kuferek. Chleb, masło, słonina, wędliny. I zaczął się obżerać. We mnie wszystko grało. Ale człowiek głodny jest niezwykle honorowy. Nic nie powiedziałem. A on: chcę panu podziękować, zapraszam do kina, na niemiecki film *Rigoletto*.

A potem tak się zdarzyło, że dostałem przydział do pracy w Pierwomajsku. I spotkałem go, mówię: *Jaki ja wtedy byłem głodny!* Ręce załamał: *Mnie do głowy nie przyszło. Czemuś nie powiedział?* A ja się wstydzilem. Taka jest psychologia człowieka głodnego.

O studiach w Odessie

– Wybrałem matematykę. Bo pomyślałem, że do aspirantury mnie pewnie nie dopuszczą (od zakończenia wojny Żydów bardzo rzadko przyjmowano na aspiranturę, potem zaczęto ograniczać ich przyjęcia na uniwersytet), trzeba będzie uczyć w szkole, a fizyk w szkole to jest nieszczęście: te wszystkie eksperymenty... A mnie w tej fizyce i tak coraz bardziej interesowała matematyka. Tym bardziej, że na uniwersytecie odeskim fizyka była źle obstawiona, a matematyka, jak zaczynałem, była wspaniała. Wykładał wtedy jeden z największych współczesnych matematyków Mark Grigorjewicz Krein – niestety Żyd; jak go wyrzucili z uniwersytetu, chodziłem na jego seminarium z teorii stabilności do Wyższej Szkoły Morskiej, gdzie był kierownikiem katedry. Chodziłem potajemnie, bo wszyscy, którzy mieli z nim coś do czynienia, byli obserwowani. Z uniwersytetu wyrzucili go za kosmopolityzm (pod słowem kosmopolita kryło się: Żyd), a razem z nim całą szkołę wybitnych matematyków. Ocalał docent Rutman, młody, fenomenalnie uzdolniony. Pod jego kierownictwem zrobiłem pracę magisterską.

Też Żyd, jak ja. Niestety, w Odessie mieszkało wtedy bardzo wielu Żydów.

Na początku byłem studentem zaocznym, dojeżdżałem z mojej Nikołajewki, gdzie pracowałem jako nauczyciel (jak chciałem przejść na stacjonarne, nie chcieli mnie wypuścić, bo byłem dobrym nauczycielem). Ale zwolniłem się i przeszedłem. W ciągu dwóch letnich sesji zaocznych zrobiłem trzy lata, a potem przyjechałem na trzeci rok stacjonarnych i w ciągu dwóch lat zrobiłem resztą studiów.

Studia skończyłem z wyróżnieniem, tzw. czerwonym dyplomem. Wtedy uniwersytet już był marny. Mimo tego wyróżnienia nie chcieli mnie przyjąć na aspiranturę. Bo Żydów nie przyjmowano na aspiranturę. A ja miałem wpisaną narodowość żydowską. Ale miałem też drugie nieszczęście: narodowość polska. Przez dwa tygodnie nie podpisywałem *naznaczenia po trudzie*, a to był wielki grzech! Misza Kamiński, syn archireja, metropolity odeskiego, któremu też nadawali najgorsze przydziały, także nie podpisywał. Podpisałem w końcu do Bielajewki, małej wioski w rejonie odeskim – tam było miejsce dla fizyka. Szefowa kadr w wojewódzkim wydziale oświaty mi obiecała, że później dadzą matematykę w lepszym miejscu. Przypomniałem jej wkrótce tę obietnicę. Ona na to: *macie Bielajewkę. Uczyli was dialektyki: sytuacja się zmieniła, wtedy było tak, a dziś jest inaczej*. Ale wizytator dał mi w końcu *naznaczenie* do Pierwomajska, drugiego co do wielkości miasta, po Odessie. Wtedy po raz drugi zobaczyłem dialektykę w praktyce: wziął gumkę, wymazał Bielajewkę, wpisał Pierwomajsk. Przydział do ogromnej szkoły numer 4, za czasów carskich było to gimnazjum kupieckie.

O śmierci Stalina i agonii stalinizmu

– W Rosji na początku nie było nastrojów antyżydowskich. Jeszcze trwała tradycja rewolucyjna, a Żydzi brali przecież udział w rewolucji. Dopiero pod koniec wojny wszystko się zmieniło. A jak przyszła słynna sprawa lekarzy, to zaczął się koszmar, drugi holokaust. W radiu nadano komunikat, że grupa dywersyjna lekarzy, jeszcze nie powiedziano, że to byli Żydzi, otruła Żdanowa i Szczerbakowa, a teraz próbowała otruć Stalina. A wszyscy byli wybitnymi profesorami z Kremla: Wowski, Etinger, Grinstein, Feldman, sama śmietanka... Niesamowita nienawiść zapanowała w narodzie, ożyły antysemickie nastroje, które drzemały tam zawsze, i trudno się dziwić przeciętnemu człowiekowi: lekarz, który truje pacjenta! Etinger zmarł załuczony podczas śledztwa, zabili ojca prof. Kogana, syn przeżył. Przeżył też Grinstein, a był krewnym moich znajomych z Odessy. Od nich wiem, że długo leczył oczy, bo wzrok miał uszkodzony podczas śledztwa: świecili mu w oczy reflektorem lotniczym. Czy pani wie, co to jest reflektor lotniczy? Można zamykać oczy, zaciskać powieki jak się chce, i tak nie pomaga, bo to światło przebija się dwanaście kilometrów w górę, gorąco od niego jest. Nie dawali im spać, i bili. Po-

dobno były już wyznaczone marszruty dla pociągów, które miały wywozić Żydów do łagrów.

I tu nagle, Bogu dzięki, Stalin umiera.

Lekarzy rehabilitują. A finał? Nadal trwał antysemityzm, choć już nie taki zajadły. Ale do lekarzy-Żydów nikt nie chodził się leczyć, bo *oni truli ludzi*. Niedaleko Pierwomajaska była wioska Wradiewka. We Wradiewce była lekarka, dentystka. Pojechała na urlop. Ktoś puścił pogłoskę, że do plomb zakładanych pacjentom wkładała... raka. Tłumy ludzi przyszły pod wydział zdrowia: *wyrwijcie nam te plomby! Ona uciekła!* Jakoś udało się tych ludzi uspokoić. Minęło trochę czasu, następna afera (tę nowinę przekazała mi niejaka Karpenko, nauczycielka ze szkoły w Pierwomajsku): do butelek z winem wkładali raka! Ja mówię: towarzyszeko, przecież to już odwołano! A odwołali oficjalnie, w radiu. Jak to usłyszałem, nie wierzyłem: po raz pierwszy w historii Związku Radzieckiego przyznali się do błędu! I wtedy od razu przestałem wierzyć w te bajki o Trockim, i inne. Pobiegłem do szkoły i mówię z radością dwóm nauczycielkom, że odwołane, a one dalej: *nieprawda, to są truciele!* Nie dało się ich przekonać. W końcu mówię: *to wy nie wierzycie NKWD?* Bardzo się zlekły. Tak się zaczęła odwilż.

O powrocie do Polski

– W Pierwomajsku przepracowałem sześć lat, do XX zjazdu partii, który odmienił historię Związku Radzieckiego i moją prywatną historię, bo mogłem wtedy wrócić do Polski. Z żoną i dziećmi. (Rok po studiach – w maju 51 r. ożeniłem się, tam urodziły się nasze dzieci, było biednie, ale żona była świetną gospodynią, z niczego potrafiła wszystko zrobić. Rosjanka, ze strony matki Kozaczka, piękna kobieta, w Wielką Sobotę 7 kwietnia ub. roku dostała zawału. A w Wielką Sobotę prawosławną był jej pogrzeb. Po 40 dniach – panachida, nabożeństwo żałobne w soborze. Tak czcimy moją żonę, jak umiemy. Mój syn napisał w Gazecie Wyborczej: *była piękną i dobrą kobietą*. Cudownym człowiekiem).

To były najszcześniejsze dni mojego życia – kiedy się dzieci rodziły i kiedy wróciliśmy do Polski.

Na punkcie repatriacyjnym w Grabanowie – Biała Podlaska zaopiekowali się nami tzw. agenci. Pracowali bardzo aktywnie, wyłącznie nad wódką. Pili bez przerwy. Ale karmili nas tam bardzo, myśmy odżyli, dzieci utyły, w końcu sam zdecydowałem – jedziemy w Polskę. Marzyłem o Wrocławiu, bo nie mając kontaktu z prawdziwą matematyką w Pierwomajsku, prenumerowałem *Matiematiczeskij*

riefieratiwnyj żurnal – widziałem tam nazwiska lwowskich matematyków, którzy po wojnie osiedli we Wrocławiu, zrozumiałem, że teraz tam jest dobra matematyka. Był i drugi powód mojej decyzji: w Warszawie nie było szans na najskromniejszy ką.

We Wrocławiu zaproponowali mi po długich targach mieszkanie w Sobótce. Daleko. Ale dobry człowiek, kapitan milicji z wydziału paszportowego zakwaterował mnie w tym domku, w którym mieszkam do dziś, na Biskupinie. Nielegalnie, bo ten domek miał przydział milicyjny. Kozubek się nazywał, człowiek-aniół, komunista francuski, w czasie wojny byli z żoną w partyzantce francuskiej.

Ideowiec, bez żadnej łapówki.

O pracy na Uniwersytecie Wrocławskim

– Z duszą na ramieniu poszedłem do mieszkania profesora Hugona Steinhausa, legendy wśród matematyków, nie muszę tłumaczyć, dlaczego cały z przejęcia drżałem. On przedstawił mnie profesorowi Edwardowi Marczewskiemu, rektorowi Uniwersytetu Wrocławskiego: *To jest pan Bolesław Gleichgewicht, uczeń Kreina, przyjechał z Odessy, przed wojną studiował na Uniwersytecie Warszawskim*. A Marczewski, który przed wojną pracował na Uniwersytecie Warszawskim (nazywał się wtedy Szpilrajn): *Czy pan mnie pamięta?*

Poznałem go po głosie i krzyczę: *pan doktor Szpilrajn!* I pytam: *A czy pan pamięta pańskie zajęcia 19 listopada 1938 roku, na których skatowano studenta, który protestował przeciwko miejscom gettowym?* On: *Nigdy tego nie zapomnę*. Mówię mu: *Tym studentem jestem ja*.

I tak znalazłem się na uniwersytecie. Marczewski zapoznał mnie z profesorem Stanisławem Hartmanem, świetnym algebraikiem i analitykiem, też absolwentem gimnazjum im. Mikołaja Reja, ewangelikiem reformo-



Jewdokija i Bolesław Gleichgewichtowie

wanym, który na wstępie mnie przeegzaminował. Ja nie znałem terminologii polskiej, zamiast *reprezentacja* mówiłem *przedstawienie*. Przeszliśmy, na jego propozycję, na rosyjski. Zatrudnił mnie jako asystenta. Później zaprzyjaźniliśmy się bardzo, on był moim promotorem, przeszliśmy na ty, mieszkał tu niedaleko, razem chodziliśmy w góry, wspaniale chodził, a potem obaj przeszliśmy do opozycji KOR-owskiej. Jego w stanie wojennym aresztowano, ja się ukrywałem, mieliśmy podobne życiorysy. Zmarł 20 lat temu. Nadzwyczajny, uczciwy, odważny człowiek. Był dla mnie wielkim wzorcem.

Byliśmy wtedy w niezwykle ciężkiej sytuacji materialnej – 1100 złotych miesięcznie na czteroosobową rodzinę. A tu dzieci rosną. Tymczasem profesor Maurycy Horn, rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, proponuje mi pracę. Potrzebowali algebraików, a ja przecież z algebry abstrakcyjnej broniłem pracę doktorską. Wziąłem godziny zlecone.

Jest 1963 rok. Pojechałem do Opola. Przyjęto mnie tu nadzwyczajnie. W Opolu pracował wtedy profesor Jerzy Słupecki z Wrocławia, logik, przeporządny człowiek, pamiętam też panią Katarzynę Szczypior (obecnie Hałkowską) i Hannę Langner (obecnie Matuszczyk), Zofię Łebską (to prawda, była łebska). Raz w tygodniu wykładałem w Opolu algebrę abstrakcyjną. Potem miałem pierwszy w historii tej uczelni wykład z rachunku prawdopodobieństwa, wykład monograficzny z analizy funkcjonalnej, prowadziłem parę seminariów. W pierwszym roku pracy miałem dziesięć magisteriów, w tym osiem dziewczyn. W Opolu pracowałem do 1968 r. Nie doznałem tam żadnych szykan! To nieprawda, że mnie wyrzucono na fali czystek antysemitycznych. Po prostu dowództwo Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu zaproponowało mi pracę, na miejscu, za dobre wynagrodzenie. Wykładałem, jako adiunkt, matematykę wyższym oficerom (na początku podchorążym) i wiem, że byłem ich ulubieńcem.

O Marcu 68

– Jest marzec 1968 r. Myślałem, że mnie natychmiast wyleją z tej uczelni wojskowej. Bo atmosfera zrobiła się gęsta. Ani mnie nie relegowano, ani nic. A świnię straszne wtedy były wśród tych oficerów. Pamiętam, przyjeżdża podpułkownik z Warszawy i opowiada z lubością o tym, jak bili studentów. Jak to usłyszał pułkownik Krzyżanowski, stary AK-owiec, wyszedł z pokoju nauczycielskiego.

Na Radzie Wydziału Matematyczno-Fizycznego Uniwersytetu Wrocławskiego podpisywaliśmy deklarację potępiającą te wydarzenia. Mnie powiedziano: *ty nie musisz, jak nie chcesz, to nie podpisuj*. Ale ja chciałem.

Wtedy z Wrocławia wyjechało wielu dobrych matematyków. Ale okropne rzeczy się działy niestety tak-

że w Opolu – wyrzucono rektora Horna pod zarzutem, że jest syjonistą i nie przejawiał aktywności w czasie marca... Jak mógł przejawiać, skoro miał zawał i leżał w tym czasie w szpitalu? Wyrzucili pułkownika Hellina ze Studium Wojskowego. Grzebali w papierach do trzeciego-czwartego pokolenia.

Z Wrocławia wyjechał wtedy do Ameryki młody Jan Mycielski, później wybitny matematyk. Wyjechał też Włodzimierz Szwarz, do Ameryki. Mnie też wyjazd zaproponowali – profesor Hugo Steinhaus i docent Jan Mycielski. Steinhaus zaprosił mnie do siebie i pyta, czy nie myślę o wyjeździe. *Nie. A może pan nie ma dolarów? Nie mam*. I mówi: *no to już pan ma*. Ale ja jakoś nie potrafiłem wyjechać z Polski, byłem tu taki szczęśliwy. On na to: *Niech pan pomyśli*. Pomyślałem: *nie wyjadę i będę tu, cholera, walczył i przeciwstawiłem się temu świństwu*. Pieniądze na wyjazd proponował mi też Jaś Mycielski. On był hrabią z pochodzenia, do 1968 r. podróżował często, pozwalano mu, bo zawsze wracał. Ale po 68 r. nie wrócił.

O rzeczach pięknych i podłych

– Ja się nie habilitowałem. Doktor nauk matematyczno-fizycznych – taki mam tytuł. Moi koledzy, którzy mieli docentury, dostali tytuły profesora. Ja nie. Docenturę miałem dostać w 1968 roku, więc z wiadomych powodów nie dostałem. Ale w parę lat później te krzywdy naprawiono, zostałem docentem w Katedrze Algebry Uniwersytetu Wrocławskiego, miałem też przez pewien czas pół etatu w Polskiej Akademii Nauk.

A potem związałem się z opozycją.

Po wydarzeniach marcowych moje życie przecięły wydarzenia gdańskie. Od 1977 r. byłem współpracownikiem KOR, to była bardzo silna komórka KOR-owska, złożona przeważnie z matematyków, myśmy się spotykali, kolportowali, podpisywali różne petycje. Profesor Stanisław Hartman, Roman Duda, Jan Waszkiewicz, architekt profesor Tadeusz Zipser (późniejszy rektor politechniki)... Skończyło się wesołe życie, nie było mowy o wyjazdach zagranicznych, odbierałem telefony z pogrózkami. Jak byłem poza Wrocławiem, a syn był w wojsku, gdzie go szykanowano, wtargnęli mi tu do mieszkania, niby złodzieje, a nic wartościowego nie zginęło, mimo że precjoza leżały na wierzchu.

Powstało Towarzystwo Kursów Naukowych, czyli Uniwersytet Latający, którego byłem członkiem-założycielem. Zaczęliśmy walczyć o prawa człowieka, o prawa uczonych, prawach studentów... Latem 1980 r. byłem w Zakopanem, bo tam spędzałem zawsze letnie wakacje, kiedy usłyszałem, że we Wrocławiu powstała „Solidarność”. Spakowałem manele, wracam. Na dworcu ktoś mnie zaczepia: *proszę pana, pana syn siedzi*. Bo mojego syna, jako jednego z niewielu spoza Warszawy, aresztowano z sankcją prokuratorską. W tramwaju ktoś inny podchodzi: *pana syna wypuści-*

li. Okazało się, że Wałęsa powiedział, że nie przerwa strajku, dopóki Aleksander Gleichgewicht nie wyjdzie na wolność.

Przyjeżdżam do domu, a tu pełno butelek po wódce i kwiatów. Żona mówi, że przychodziły do nas delegacje robotników

Jeszcze przed wybuchem „Solidarności”, w marcu 1978, był ogromny nalot ubecji na nasze mieszkanie. Bo mój syn urządził spotkanie studentów (w ramach Uniwersytetu Latającego) z Bogusławą Bleifer. Co tu się działo! Wyciągnęli i aresztowali chyba 28 osób, mieli rozprawy. Dostali duże kary, syn musiał wpłacić 5 tys. złotych. I nagle zjawia się u nas jakiś mężczyzna: przyniosłem 5 tys. złotych, zebrałem w zakładzie pracy. Piękne, wzruszające rzeczy się wtedy zdarzały, podle też.

Niektórzy ludzie zaczęli nas omijać, a niektórzy odwrotnie.

Ciągle rewizje u nas się zdarzały, mieliśmy obstawę. Po co mi to było? Przecież tu chodziło o sprawiedliwość, o prawa człowieka! Nie lubię wysokich słów, ale wtedy trzeba było walczyć o Polskę, nie mogłem inaczej. Przy podpisie pod pierwszą petycją wiedziałem, że będą kłopoty. I były.

I było gęsto od wydarzeń. Telefon z Wałbrzycha: czy chcę być rzecznikiem Komitetu Strajkowego? Chciałem. Przyjechał po mnie górnik strzałowy Jurek Szulc, brałem udział w rozmowach z władzą, zostałem dokooptowany do prezydium. Potem syn mój się zaangażował i Janek Lityński.

Bardzo nieprzyjemna historia się wtedy wydarzyła, niestety związana z Opolem. Bo w 1980 roku opolski oddział Polskiego Towarzystwa Matematycznego zaprosił mnie do Opola na dwa odczyty: dla fachowców z algebry i dla matematyków innych specjalności. I jak już się przygotowałem, dostałem list, że bym nie przyjeżdżał, bo... nie ma audytorium. Ta sprawa stała się głośna, poruszano ją później na zjeździe matematycznym w Białymstoku. Bardzo mnie ta historia zabolęła, ja lubiłem Opole, tym bardziej, że w Marcu nie doznałem tam żadnej przykrości.

Ponieważ szef uniwersyteckiej „Solidarności” przebywał za granicą (to młody, obiecujący docent, fizyk teoretyk), ja go w tym czasie ciągle zastępuję. Strajk bydgoski, potem radomski... Ogłaszają stan wojenny. Przechodzę do podziemia. Rozsyłają za mną list goń-

czy (studenci matematyki wklejali go później do napisanego przeze mnie podręcznika *Algebry*...).

Nasz kochany rektor profesor Józef Łukaszewicz, też całą duszą opozycjonista, daje mi zwolnienie naukowe na pół roku (po tym czasie mnie wyrzucają z uczelni, a jego zdejmują z rektorstwa). Ukrywam się przez rok, cały czas kierując uniwersytecką „Solidarnością”. We Wrocławiu, a potem w Warszawie, do grudnia 1982. Zapuściłem wąsiki. Poprzez ks. prof. Michała Czajkowskiego byłem związany z wierchuszką „Solidarności”, m.in. Romaszewskimi. Ksiądz Czajkowski – wspaniały człowiek, niestety okazał się tajnym współpracownikiem... Ale on mnie chronił.

Spotkałem w swoim życiu kilku tajnych współpracowników, tylko jeden z nich był podły.

Episkopat nalegał, że bym się ujawnił: *Stan wojenny się kończy, jak się teraz nie ujawnisz, to będzie potem trudno. A syn siedzi, żona nie pracuje, dwóch wnuków ci się urodziło.*

Przedstawiciele Rady Prymasowskiej podjęli rozmowy z Kiszczakiem. Za drugim razem wyraził zgodę na moje dobrowolne ujawnienie, kazał zgłosić się do zastępcy szefa ds. politycznych Komendy Wojewódzkiej Milicji we Wrocławiu. Nie mogłem po drodze dać się złapać, bo przecież ciągle obowiązywał list gończy. Na Podwale jechał ze mną ówczesny rektor Kazi-



Prof. Bolesław Gleichgewicht ze swoimi dawnymi studentami, absolwentami matematyki opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej (od lewej): dr Zytą Dziechcińską-Halamodą, Krzysztofem Borkowskim i Heleną Czykietą-Konik (fot. Voja Gleichgewicht). Kwiecień 2013 r.

mierz Urbanik i prorektor Władysław Narkiewicz, a za nami samochód, prawdopodobnie wywiadu, który pilnował, żeby nie zgarnęła nas milicja. Przesłuchiwało mnie dwóch. Pułkownik Nowicki, szef SB ds. uczelni wyższych – w jednym pokoju. A w drugim miły pan z bródką. To była klasyczna akcja: zły i dobry policjant. Ja to znałem, bo przecież siedziałem w łagrze sowieckim, gdzie przesłuchują o wiele skuteczniej. Rozmawiamy z „miłym, z bródką” dwie godziny, wpada Nowicki i burzy wszystko. Ja: *my tu miło rozmawiamy, a pan w nic nie wierzy*. On na to: *Nie wierzyć to mój zawód!* Ja: *ale pana kolega wierzy...* Odprowadzili mnie potem do prokuratury, ja odmawiam zeznań... Dają mi do przeczytania moje akta. Długo czytałem, ogromny tom. Śmiałem się czasem. Bo np. dzielnicowy zeznaje: *profesor taki a taki, wódki nie pije* (też niezupełnie prawda), *nie bije żony, należy do nielegalnych antysocjalistycznych organizacji*. Potem zeznanie opiekuna uniwersytetu: *Przychodzi do pracy trzeźwy, w pracy nie pije*. Oni byli wyćwiczeni na jakichś patologicznych bandziorach. Proces trwał chyba dwanaście miesięcy, przy pełnej sali. Pełno śmiechu przy tym było, bo robiłem durnia z pani prokurator. Pyta: *a pan w Związku Radzieckim był w komsomole i w partii, to jak to się stało, że pan się stał antykomunistą?* Ja na to: *tylko krowa nie zmienia poglądów*. Niby nic śmiesznego, ale wyjątkowo duża to była kobieta, publiczność jakoś ją z tą krową utożsamiała... Mój obrońca Stanisław Afenda, jeden z dwóch, którzy bronili też Frasyńniuka, powiedział mi: *to jest proces polityczny, pana nie uniewinnią*. I rzeczywiście, dostałem rok w zawieszeniu, założyliśmy apelację. Wyrok utrzymano, starto go dopiero po upadku komuny.

Po procesie nie miałem z czego żyć, pomagała mi „Solidarność”, trochę Kościół.

Odmówiono mi powrotu na uniwersytet. Nawet na posadę bibliotekarza, jak proponowałem. Albo jako szatniarza. Też nie, było im wstyd.

Do 1984 roku nie pracowałem. Wtedy matematycy amerykańscy zaczęli rozsyłać w mojej sprawie pisma protestacyjne. Po nich matematycy francuscy, m.in. Laurent Schwartz, wielki matematyk. Moja sprawa była też omawiana na posiedzeniu amerykańskiego Towarzystwa Matematycznego. W 1982 r. był zaplanowany światowy zjazd matematyków w Warszawie, ale nie mógł się odbyć, bo ogłoszono stan wojenny. Odbył się więc rok później. Byłem na nim. Każdy z wykładów plenarnych dedykowano jakiemuś prześladowanemu matematykowi. Matematyk francuski Thessyer napisał na tablicy moje nazwisko, poświęcił wykład mnie właśnie. Tej sprawy nie można już było zostawić.

Zgodzili się na moją pracę w Polskiej Akademii Nauk, w Instytucie Matematyki, na stanowisku niższym niż przedtem, adiunkta. Przykro mi było, ale się zgodziłem, zacząłem tam dojeżdżać na seminarium. Książeczkę wtedy napisałem, z dydaktyki matematyki. Po roku przeniesiono mnie na bardzo nędzną emeryturę. Nędzną, bo straciłem staż pracy.

Tymczasem, Bogu najwyższemu dzięki, padła komuna.

Przywrócono mnie do pracy na Uniwersytecie Wrocławskim. Rektor mnie zaprosił do gabinetu, był tort, kawa. Ale pod tym pismem przywracającym mi i docenturę, i prawo do pracy, było drugie pismo: o skierowaniu mnie na emeryturę. Bo właśnie stuknęło mi 70 lat.

Zostałem emerytem, ale dali mi pół etatu, potem godziny zlecone, gdzieś do 2000 roku prowadziłem jeszcze wykłady. Ja bardzo lubiłem wykładać.

O tym, czy było warto

– Czy warto było? Warto. Gdybym miał jeszcze raz moje życie powtórzyć, powtórzyłbym. Nie jestem szaleńcem, ale wolę to od największej kariery naukowej. Jestem bardzo dumny, no trudno, jestem, z tego co się stało. Ja i moje dzieci. Za pracę w opozycji syn mój Aleksander dostał Krzyż Oficerski, córka Helena Kawalerski, ja Komandorski. A moja żona trzymała w kłamrze cały dom. Ja się czasem kłóciłem z ubekami strasznie, ona mówiła: zostaw, to jest poniżej twojej godności. Raz tylko nie wytrzymała. Jak znowu przyszli mnie szukać, akurat myła podłogę, odwróciła się do nich, podniosła sukienkę i wypięła się na nich. A przychodzili mnie szukać i dwa razy w tygodniu.

W tych najgorszych latach wszyscy myśleli: jak to się skończy, będzie raj, a wszyscy będą szlachetni.

To iluzja. Ludzie nie są idealni, świat też nie. A jednak uważam, że jest dużo lepiej: nie mamy cenzury, nieuzasadnionych aresztów i prześladowań, nie mamy totalitaryzmu, mamy kontakty z zagranicą, wyjeżdżamy... Materialnie Polska rozkwitła, Wrocław tak wypiękniał, że trudno sobie wyobrazić, Opole pewnie też? Jest dużo rzeczy, które smuć. Koledzy, także z opozycji, mówią czasem: jest gorzej, jak za komuny. Nieprawda! Mówię tak, bo tak myślę, nie dlatego, że chcę siebie usprawiedliwić, bo część życia oddałem tej sprawie.

Moje życie nie było łatwe, ale nie skarzę się. Na pewno nie było leniwe. To było dobre życie. Ożeniłem się z kobietą, którą bardzo kochałem. 61 lat przeżyliśmy w jednym stadle, a przedtem znaliśmy się osiem lat, mamy udane dzieci, było nam ze sobą dobrze. Jej śmierć była dla mnie wstrząsem. Napisałem kilka książek matematycznych, skrypt dla studentów i około 30 prac...

No jak tu nie być dumnym z tego?

Niedawno psycholog, student, robił ze mną wywiad. Cały czas gadałem. A na koniec on spytał: *kim pan jest?* Trudne pytanie. Zaskoczył mnie. Po chwili powiedziałem: *człowiekiem*.

Chyba dobrze odpowiedziałem?

Barbara Stankiewicz

Piotr Obrączka

Kilka słów o profesorze Studenckim

Chciałbym z dwudziestopięcioletniej znajomości z prof. Władysławem Studenckim przywołać kilka faktów.

Pierwszy raz zobaczyłem i usłyszałem Profesora w drugiej połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Byłem wówczas uczniem bytomskiego Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Smolenia, zwanego powszechnie (do dziś) „liceum Huka”. To w pomieszczeniach tej szkoły odbywały się wówczas organizowane przez profesora Studenckiego wieczory Klubu Literackiego, później przeniesione na krótko do budynku Bytomskiej Spółdzielni Mieszkaniowej (przy obecnym pl. Kruczkowskiego), a potem – do końca działalności klubu w dniach stanu wojennego – do Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki (u zbiegu ulic Moniuszki i Miarki). Profesor przybył kiedyś do naszego liceum, by wygłosić prelekcję o literaturze. Nie pomnę już tytułu ani tematu spotkania, utkwiała mi w pamięci jedynie przeprowadzona przez Profesora analiza wiersza Adama Mickiewicza *Do B...Z...(inc. Słowiczku mój! A leć, a piej!)*.

Prelegenci zapraszani do Klubu Literackiego występowali często również poza klubem, m.in. w szkołach, szpitalach, bibliotekach. Pamiętam jedno z takich spotkań w naszym liceum – z wybitnym polskim archeologiem, profesorem Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, Józefem Kostrzewskim (listopad 1958 r.), który mówił o „Związku Śląska z całością ziem polskich w pradziejach”.

Osobiście dane mi było poznać profesora Studenckiego, gdy rozpocząłem w 1960 roku studia polonistyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Pamiętam, że w dniu inauguracji roku akademickiego 1960/1961 odbyła się uroczysta promocja pierwszych doktorów uczelni, wśród których był również dr Studencki. Już na pierwszym roku studiów słuchałem wykładów Profesora (wówczas doktora, zastępcy profesora): „Podstawowe wiadomości z zakresu poetyki, stylistyki i wersyfikacji” oraz „Wybrane utwory literackie” (drugi wykład prowadził w zastępstwie prof. Stanisława Kolbuszewskiego, który wyjechał w podróż naukową do Kanady). Na czwartym roku studiów



Z pracownikami Katedry Literatury Polskiej WSP w Opolu (18 maja 1972 r.). Siedzą od lewej: Adela Pryszczewska-Kozółub, Leokadia Pośpiech, Stanisław Dąbrowski, Władysław Studencki, Janina Hajduk-Nijkowska. Stoją od lewej: Stefan Smak, Marian Kaczmarek, Dorota Simonides, Jerzy Pośpiech, Piotr Obrączka, Zdzisław Piasecki

zapisalem się na seminarium magisterskie, prowadzone przez, wówczas już docenta, Studenckiego. Profesor nie narzucał nam tematów, rozbieżność była duża, choć na ogół wybieraliśmy problemy literatury polskiej XIX i XX wieku. Nie wiem, czy pamiętałem wówczas, że to właśnie profesor Studencki nadając w 1945 roku bytomskim ulicom i placom polskie nazwy, zmienił Breitestrasse, przy której się urodziłem i przez 27 lat mieszkalem, na Żeromskiego, ale to właśnie Stefan Żeromski był bliskim mi pisarzem. A było to kilka lat po ukazaniu się trzech ogromnych tomów pierwszego wydania *Dzienników* pisarza, poprosiłem przeto Profesora o temat: *Stefan Żeromski jako krytyk literacki i artystyczny (na podstawie „Dzienników”)*, na co Profesor wyraził zgodę. Staralem się później, w latach mojej pracy dydaktycznej w Opolu, naśladować Profesora: nie narzucać tematu pracy, nie ingerować zbyt w trakcie jej powstawania, raczej nie przeszkadzać magistrantowi czy doktorantowi.

Podczas seminarium magisterskiego omawiał Profesor różne problemy z zakresu metodologii badań literackich i teorii literatury, mniej czasu poświęcał natomiast powstającym pracom. „Pisze pan? To dobrze”. „Napisał pan? To proszę oddać”.

Po ukończeniu studiów Profesor zaproponował mi pracę w kierowanej przez niego Katedrze Historii Literatury Polskiej WSP w Opolu. Po pewnych zawirowaniach biurokratycznych (zbyt późne zgłoszenie kandydatury, na skutek czego pracowałem przez rok w bytomskim technikum wieczorowym) rozpocząłem w Opolu staż asystencki, zwany oficjalnie „asystenckie studia przygotowawcze”. Odtąd bardzo często towarzyszyłem Profesorowi w podróżach do Opola (i z Opola). Zazwyczaj poważna rozmowa zaczynała się pytaniem: „ma pan jakiś nowy kawał?”, po czym następowały – świetnie przekazywane – dowcipy Profesora. Muszę z wyrazami skruchy wyznać, że często je później powtarzałem, ale nie powołując się na Profesora. Niebezpieczne w tamtym czasie dowcipy polityczne przypisywałem bezpiecznemu politycznie dziekanowi wydziału (zwanemu „krwawym Felkiem”, choć w istocie nikomu nie szkodził, wręcz przeciwnie), natomiast niezbyt przyzwoite dowcipy – koledze, dziś emerytowanemu profesorowi Uniwersytetu Opolskiego. Niech mi wybaczą!

Jeszcze przed rozpoczęciem stażu asystenckiego uzgodniłem z Profesorem temat pracy doktorskiej. Profesor, który interesował się szczególnie literaturą okresu Młodej Polski, zaproponował mi zajęcie się dramaturgią Tadeusza Micińskiego. Temat niezbyt mi odpowiadał (zrealizowała go później jedna z doktorantek Profesora, dziś profesor Uniwersytetu Zielonogórskiego), więc Profesor zasugerował mi dramaturgię Jana Augusta Kisielewskiego. Zdecydowało tu zapewne żywe zainteresowanie Profesora problemami biografistyki literackiej, wyszedł bowiem od stwierdzenia, że w jego rodzinnym Żywcu mieszka sędziwy ks. Leopold Kisielewski, przyrodni brat Jana Augusta i Zyg-



Uroczystość 50-lecia pracy naukowej i dydaktycznej prof. Władysława Studenckiego (z prawej). Pierwszy z lewej: Leonard Kędzior, kierownik Wydz. Kultury Urzędu Miejskiego w Bytomiu, trzeci z lewej: prezydent Bytomia Paweł Spyra (29 stycznia 1985 r.)

munta Kisielewskich. Zająłem się przeto twórczością Jana Augusta Kisielewskiego.

Po rocznym stażu asystenckim dostałem się na trzyletnie studium doktoranckie pod kierunkiem Profesora. Nie było to normalne studium, poprzednie, odziedziczone po profesorze Kolbuszewskim, doprowadził profesor Studencki do końca, tak iż byłem jedynym uczestnikiem seminarium. Po dwóch latach studium doktoranckiego nadarzyła się szczególna okazja: w kierowanej przez Profesora katedrze ogłoszono konkurs na stanowisko asystenta (lub starszego asystenta). Kandydatów było kilkunastu (a może więcej?), zgłosiłem się również i ja. Profesorowi zawdzięczam wygranie konkursu, spośród wielu kandydatów (a była wśród nich m.in. żona jednego z sekretarzy partii, absolwentka studiów zaocznych) wybrał właśnie mnie, co było niewątpliwie aktem dużej odwagi Profesora (członek partii popierający bezpartyjnego!). W ten sposób – rezygnując z ostatniego roku studium doktoranckiego – zostałem starszym asystentem, wkrótce potem adiunktem i sekretarzem katedry.

Jako kierownik katedry był wrogiem panującej wszechwładnie (do dziś!) uczelnianej biurokracji. Nie znosił urzędowych pism, sprawozdań, zebrań. Zebrania katedry były zazwyczaj krótkie, żartowaliśmy, że Profesor śpieszy się do kina – w towarzystwie doc. Ste-

fana Smaka – byli bowiem zagorzałymi kinomanami. Późnym wieczorem słyszeliśmy na korytarzu domu studenta (w którym nocowaliśmy w pracowniczych pokojach gościnnych) ich komentarze na temat oglądanego filmu.

Profesor Studencki, mając niezwykle rozległe kontakty, również dzięki prowadzonemu w Bytomiu Klubowi Literackiemu, ułatwiał młodym pracownikom publikowanie w ogólnopolskich czasopismach naukowych. Zapewne nie byłem jedynym, któremu umożliwił ogłaszanie tekstów naukowych poza ośrodkiem opolskim. I tak dzięki kontaktom Profesora z prof. Wincentym Dankiem, rektorem WSP w Krakowie i redaktorem naczelnym „Ruchu Literackiego”, mieliśmy doświadczenie do tego pisma, podobnie jak dzięki prof. Janowi Zygmuntowi Jakubowskiemu i Zdzisławowi Liberze – do „Przeglądu Humanistycznego”, czy dzięki częstemu gościowi w Bytomiu i w Opolu – Wojciechowi Natansonowi – do czasopisma „Teatr”.

– I jeszcze słowo o bytomskim Klubie Literackim, w którym w latach 1948–1981 gościło bardzo wielu wybitnych pisarzy i uczonych. Zaproszenie do klubu przyjmowaliśmy jako wielkie wyróżnienie. Niekiedy były to sesje popularnonaukowe z udziałem pracowników WSP w Opolu i Częstochowie (zazwyczaj w czerwcu, połączone z imieninami Profesora), najczęściej spotkania z jednym prelegentem. Pierwsze moje wystąpienie w klubie – na temat twórczości Jana Au-



Prof. Władysław Studencki z żoną Danutą

gusta Kisielewskiego – zorganizował Profesor jako swego rodzaju próbę generalną przed obroną doktorską, inne dotyczyły moich podróży po Hiszpanii, Włoszech, Francji czy Austrii. Profesor, sam często podróżujący (prócz krajów „demoludów” odwiedził m.in. Danię, Holandię, Belgię, Anglię, Hiszpanię), miał bowiem słabość do prelegentów relacjonujących wyprawy do bliższych i dalszych stron.

Podsumowując, muszę stwierdzić, że profesorowi Studenckiemu zawdzięczam uzyskanie magisterium i doktoratu, zatrudnienie w uczelni opolskiej oraz start do późniejszych lat samodzielnej pracy naukowo-dydaktycznej. Będę zawsze o tym pamiętał.

Piotr Obrączka

Władysław Studencki urodził się 16 grudnia 1910 roku w Żywcu. W 1929 roku rozpoczął studia polonistyczne na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego (do 1932), kontynuował je na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. W 1933 uzyskał dyplom magistra filozofii w zakresie filologii polskiej – na podstawie pracy *Satyra antyromantyczna w dobie romantyzmu*, napisanej pod kierunkiem prof. Juliusza Kleinera.

W 1933 r. rozpoczął dwuletnią bezpłatną praktykę nauczycielską w swoim dawnym gimnazjum w Żywcu. W tym samym roku debiutował tekstem *Żywiec przez okulary (List Chochlika do lady Parodia)*, opublikowanym w „Przeglądzie Żywieckim”¹. W 1934 wyda-

wał własnym sumptem w Żywcu regionalny kwartalnik literacko-społeczny „Żagiew”, organ miejscowego Towarzystwa Kultury Artystycznej (wyszły tylko dwa numery); w piśmie tym drukował swoje utwory wierszem i prozą, a także fragment dramatu. W tym samym roku opublikował w Żywcu pierwszą pracę naukową – studium z pogranicza socjologii, psychologii i teorii literatury – *Do podstaw socjologii literatury*. W 1935 wydał w Żywcu młodzieńczy tomik poezji *Muszla*, dedykowany prof. Juliuszowi Kleinerowi, poprzedzony przedmową Emila Zegadłowicza, z którym w latach 1934–1935 się przyjaźnił.

W roku szk. 1935–1936 pracował w Średniej Szkole Ogrodniczej w Kijanach (pod Lublinem). W 1936 ukazał się w Lublinie drugi tomik jego poezji – *Świt i zmierzch*. Do wybuchu wojny uczył języka polskiego w Państwowym Gimnazjum i Liceum w Piekarach Śląskich. W okresie okupacji mieszkał w Czatkowicach niedaleko Krzeszowic; był zatrudniony w nadleśnictwie, jednocześnie od XI 1939 do I 1945 pra-

¹ Zob. P. Obrączka, *Bibliografia prac profesora Władysława Studenckiego*, cz. 1, „Zeszyty Naukowe WSP w Opolu. Filologia Polska”, 13, 1975, s. 239-243; cz. 2, tamże, 24, 1985, s. 167-169.

cował w zorganizowanym tajnym nauczaniu w Czatkowicach i Krzeszowicach.

Po wojnie związał się z Bytomiem, gdzie mieszkał (przy ul. Olejniczaka) aż do śmierci. W 1945 nadawał (z Włodzimierzem Markowskim) ulicom i placom Bytomia polskie nazwy, a także zorganizował liceum ogólnokształcące i liceum dla pracujących. Pracując jako nauczyciel bytomskich szkół średnich, pełnił jednocześnie obowiązki kierownika podogniska metodycznego języka polskiego na okręg opolski (1945–1948).

W latach 1947–1949 przewodniczył bytomskiemu oddziałowi Śląskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w tych samych latach studiował dyplomację w Szkole Nauk Politycznych przy Wydziale Prawa UJ. W październiku 1948 roku założył w Bytomiu Klub Literacki, działający pod jego kierownictwem ponad 33 lata – do stanu wojennego. Odbyło się w nim ok. 1200 wieczorów, które uświetnili najwięksi pisarze polscy, m. in. Maria Dąbrowska, Jerzy Szaniawski, Jan Parandowski, Jarosław



Prof. Władysław Studencki i dziekan prof. Władysław Pluta (z lewej) 13 października 1973 r., w czasie akademii z okazji Dnia Nauczyciela, podczas której prof. Władysław Studencki został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (zdjęcie z archiwum Feliksa Pluty)



Prof. Władysław Studencki w swoim opolskim gabinecie

Iwaszkiewicz, Jerzy Andrzejewski, Wisława Szymborska, Stanisław Cat-Mackiewicz, Jerzy Waldorff, Stefan Kisielewski, a także wybitni uczeni, m. in. Kazimierz Michałowski, Władysław Tatarkiewicz, Aleksander Gieysztor, Kazimierz Nitsch, Zenon Klemensiewicz, Stanisław Pigoń, Julian Krzyżanowski, Jan Kott, Kazimierz Wyka. W Klubie Literackim gościli ponadto podróżnicy, ludzie teatru, filmu, muzyki. Prelegenci występowali często również poza klubem, w bytomskich szkołach, szpitalach, bibliotekach. Był to klub wyjątkowy – nie tylko na Śląsku – stanowił wzór dla późniejszych klubów w Gliwicach, Sosnowcu i w Zakopanem. Działalności bytomskiego Klubu Literackiego poświęcił Studencki książkę wspomnieniową *Wieczory bytomskie (Silva rerum)*, Wrocław 1967, obejmującą działalność klubu do roku 1966.

Od września 1955 związał się z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Opolu, gdzie pracował w Katedrze Historii Literatury Polskiej (później w Instytucie Filologii Polskiej), początkowo jako zastępca profesora. W 1960 uzyskał w WSP w Opolu doktorat na podstawie pracy *Twórczość dramatyczna Emila Zegadłowicza* (druk. Wrocław 1962), napisanej pod kierunkiem prof. Stanisława Kolbuszewskiego. Habilitował się w 1963 r. na Wydziale Filologicznym UJ rozprawą *Życie i twórczość Ludwika Marii Staffa* (druk. Opole 1963). W 1963 został docentem, w 1972 – profesorem nadzwyczajnym, a w 1977 – profesorem zwyczajnym. W uczelni opolskiej pełnił m. in. funkcje: organizatora i kierownika międzywydziałowego Studium dla Pracujących (1956), prodziekana Wydziału Filologiczno-Historycznego (1958–1966) i kierownika Katedry

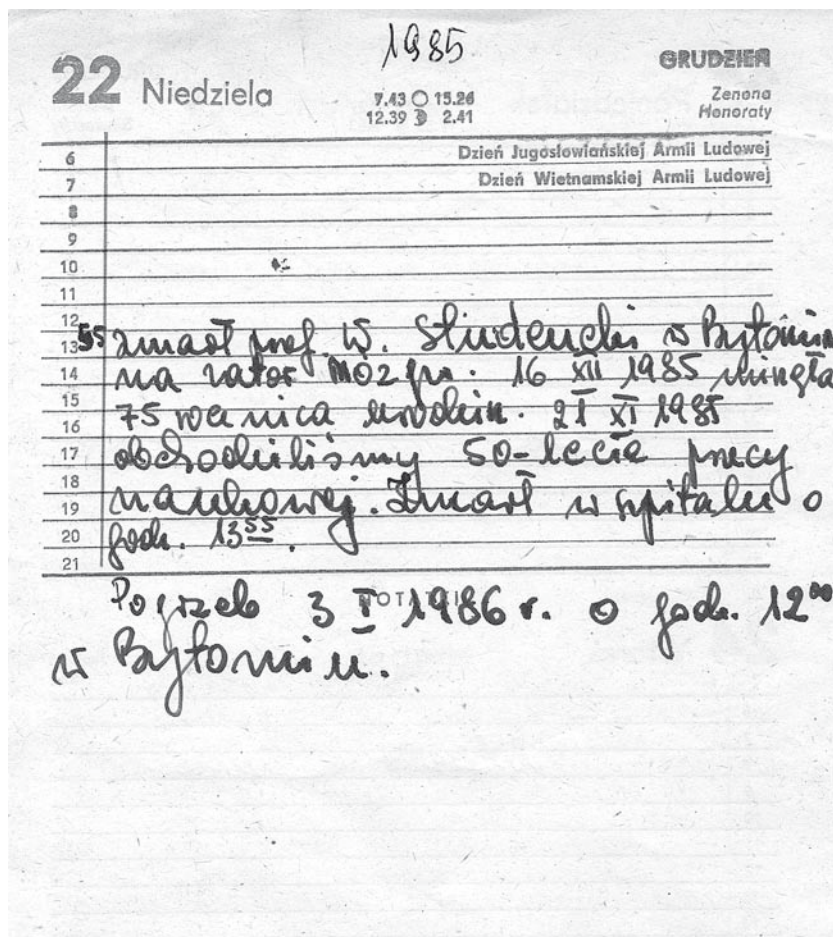
Historii Literatury Polskiej (1965–1974).

We wrześniu 1978 r. przeszedł na emeryturę, nadal jednak prowadził w Opolu seminarium doktoranckie, pracował również w WSP w Częstochowie (w wymiarze połowy etatu – od 1975 do śmierci).

W uczelniach pedagogicznych Opola i Częstochowy wykładał przede wszystkim literaturę Młodej Polski i dwudziestolecia międzywojennego oraz teorię literatury. Prowadził seminaria magisterskie i doktoranckie; pod jego kierunkiem napisano w Opolu i w Częstochowie ok. 500 prac magisterskich. W uczelni opolskiej wypromował 27 doktorów nauk humanistycznych².

Główny przedmiot badań Studenckiego stanowiła literatura polska XIX i XX wieku. W jego dorobku znajdujemy m. in. szkice poświęcone twórczości Juliusza Słowackiego, Aleksandra Fredry oraz Kornela Ujejskiego (książka: *Kornel Ujejski w świetle listów, przemówień i pamiętników*, Warszawa-Wrocław 1984). Niemal stałą właściwością warsztatu historycznoliterackiego Studenckiego były zainteresowania psychologiczno-biograficzne, stąd wiele uwagi poświęcał nieznanym materiałom (listom, pamiętnikom itp.). Pisał m. in. o pamiętniku Wandy Młodnickiej z domu Monné (narzeczonej Artura Grottera) i o jej korespondencji z Kornelem Ujejskim; opracował również biogram Młodnickiej dla *Polskiego słownika biograficznego*.

Z pisarzy Młodej Polski zainteresowali go – prócz Kasprowicza i Żeromskiego – przede wszystkim Ludwik Maria Staff oraz Wacław Berent. O mało znanym Staffie (młodszym bracie Leopolda) napisał wspomnianą już monografię, później omówił szeroko jego inedita, Berentowi natomiast poświęcił dwuczęściowe studium monograficzne (Opole 1968–1969), nazwane przez Studenckiego „wstępem do studiów nad Berentem”. W centrum zainteresowań badawczych Studenckiego pozostawała przez wiele lat twórczość Emila Zegadłowicza. Inne publikacje Studenckiego dotyczyły nowszych zjawisk literackich: eseistyki i dramaturgii Anatola Sterna, dramaturgii Karola Wojtyły, działalności krytycznoteatralnej Wojciecha Natansona, a przede wszystkim twórczości Jana Parandowskiego, którą



Kartka z kalendarza prof. Władysława Pluty, z 22 grudnia 1985 r., z notatką o śmierci prof. Władysława Studenckiego

przedstawił w dwuczęściowej monografii *Alchemik słowa* (Opole 1972–1974). Pod koniec życia rozpoczął Studencki pracę nad książką dotyczącą twórczości mało znanego pisarza – Kazimierza Zdziechowskiego (młodszego brata Mariana). Zaczął również przygotowywać edycję listów Marii z Szetkiewiczów Sienkiewiczowej z lat 1879–85.

Pośmiertnie ukazały się m.in. opracowane i przygotowane do druku przez Z. Piaseckiego wspomnienia obejmujące okres do zakończenia II wojny światowej – *Ze wspomnień* (Opole 1994). W posłowie książki znajdujemy m. in. fragmenty księgi pamiątkowej bytomskiego Klubu Literackiego z wpisami wielu wybitnych prelegentów.

Był członkiem Komitetu Nauk o Literaturze Polskiej PAN, Komisji Historycznoliterackiej krakowskiego oddziału PAN, ZLP, Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC), PEN-Clubu oraz Opolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

**Teksty pochodzą z książki pt. *Władysław Studencki – patron bytomskiej biblioteki*, wydanej staraniem Urzędu Miejskiego w Bytomiu (więcej – na str. 97).
Fotografie – z archiwum Urzędu Miejskiego w Bytomiu.**

² Zob. P. Obrączka, *Wykaz prac doktorskich napisanych pod kierunkiem prof. dra hab. Władysława Studenckiego*, „Zeszyty Naukowe WSP w Opolu. Filologia Polska”, 24, 1985, s. 170–171.

U studni

Czerpie małym, drewnianym wiaderkiem,
którego brzegi odbijają się o zanurzone w mroku

ściany a echo niesie się z pluskiem upuszczonego
kamienia pełnego od ciepła, oderwanego od sytej

ziemi kiedy sznur przeciera szorstkie dłonie
i zostaje marzenie od biedy stare jak świat

choć o jedną monetę ubywa z kieszeni
nie dającej się załatać grubą włóczką.

Didki

Cień jest w nas
a nie na zewnątrz.
Słowo zamyka w sobie
co głośnie w człowieku:

ciszę wspartą na samej sobie
i nagą otulinę kości
pogrzebanych blisko siebie,
od biedy ściszoną prośbę:

„oj, horkają doła mnie
i didkom moim”.

Pacierze w Ivry

Żeby śmierć wypadła ze mnie jak
z kieszeni pomięty plan miasta

z którego zagięć czytam drogę
zanim neony zgasną przed zmrużeniem

oczku niech ciemne uliczki wypełnią się
drobiazgami bez których dzień nie będzie sobą

ty to wiesz i nie karz nas swoją
mądrością bez której niegodzien

tak dzień po dniu wychodzę na szaro.

Polska nami mocno trzęsie

Z Tomaszem Różyckim – poetą, asystentem w Katedrze Kultury i Języka Francuskiego Uniwersytetu Opolskiego, rozmawia Kinga Markowska

– Ryszard Kapuściński w jednym z ostatnich wywiadów powiedział, że pisanie wynika z podróży i w jego wypadku proporcje między przemieszczaniem się z miejsca na miejsce a pisanem są bardzo zachwiane – oczywiście na rzecz tego pierwszego.

– Pisanie i podróżowanie powinny być na dwóch różnych biegunach. Pisanie z reguły polega na tym, że piszący potrzebuje samotności, wymaga skupienia na własnym wnętrzu, zamknięcia się na wszystkie bodźce, skierowania całej swojej uwagi do środka. Podróżowaniu natomiast niezbędne jest wyjście w świat.

Dla mnie każda podróż jest wyrwaniem się ze świata stworzonego na potrzeby pisania. Za każdym razem, kiedy gdzieś wyjeżdżam, świat tekstu, nad którym pracuję, rozmywa się, a nawet bardzo często znika. Dlatego każdy powrót to również ogromna ilość czasu na odbudowanie tego, co się zostawiło. Jeszcze trudniej jest jednocześnie podróżować i mieć cały czas przed oczami konstrukcję świata, nad którym się pracuje dla potrzeb książki. Podróżowanie rozprasza. Oczywiście dobrze jest czasami gdzieś pojechać i zrobić przerwę. Jednak w końcu trzeba nad tym usiąść i poświęcić kilka tygodni z rzędu. Dla mnie czterdzieści stron tekstu to ogromna ilość. Duże projekty wymagają indywidualnego rytmu i dyscypliny. Domyślam się, że inni nie mają takiego problemu, ja mam z tym trudność.

– Zanim gdziekolwiek pojedziemy, warto spojrzeć na mapę. Jesteśmy coraz dalej od Europy?

– To się bardzo zmieniło i nadal się zmienia. Na pewno w jakimś sensie jesteśmy terytorium przejściowym, taką protezą między Europą a Azją, bardzo przesuwamy się w stronę Azji. Polak w kraju tego nie zauważa, jednak wystarczy zmienić perspektywę, pobycć jakiś czas w którymś z państw Europy Zachodniej, to po powrocie do Polski widać, że tu jest jednak ciągle coś innego. Prawdopodobnie to efekt długoletniej przynależności do tzw. bloku wschodniego. Czas, kiedy Polska miała dużo silniejsze związki ze Wschodem niż z Zachodem, nie miał przecież epizodycznego charakteru. Gdzie dziś kończy się Europa Zachodnia? Polska należy do Europy Wschodniej czy Europy Zachodniej? Od jakiegoś czasu to bardzo modne pytania.

Polska występuje w tym układzie jako swoista pro-

wizorka – wszystko zależy od tego, z której strony się do Polski przyjeżdża. Jeśli przyjedziemy we wschodu, to mamy ewidentne poczucie, że wjeżdżamy do Europy, do zachodniej cywilizacji i niektórzy oddychają wtedy z wielką ulgą. Słyszałem nawet, że niektóre osoby po powrocie z Indii prawie całowały schody polskiego dworca. Z drugiej strony wystarczy wyjechać do Berlina i w czasie powrotu, wjechawszy na polskie drogi, czujemy, jak Polska nami mocno trzęsie.

– W czym Polacy podobni są do innych narodów?

– Do podobieństw należy podchodzić bardzo ostrożnie, bo bywają złudne. Pamiętam moją pierwszą podróż do ówczesnej Czechosłowacji, jechałem do Pragi. Po raz pierwszy i zupełnie świadomie przekraczałem granicę kraju. Z paszportem w rękę, do którego wbijano niezbędne pieczętki, zaliczając przy tym wszystkie etapy kontroli. Poza tym dosłownie przeszedłem przez przejście graniczne, bo przekroczyłem granicę pieszo. Malowniczość tego wydarzenia polegała również na tym, że przejście graniczne w Chałupkach poprowadzone jest przez Odrę. Na drugim brzegu znajduje się inne państwo. Granica między Polską a Czechami jest dobrą granicą na początek podróży. Przede wszystkim dlatego, że niby dużo się nie zmienia – co jest właśnie pozorne. Człowiekowi, który nie zna języka czeskiego, na początku wydaje się, że dużo rozumie. Później okazuje się, że jednak niekoniecznie. Dotyczy to również obyczajów: na pierwszy rzut oka nie są one szczególnie szokujące. Jednak im bardziej poznajemy Czechów, tym większe jest nasze zdziwienie. Oswajanie z podróżowaniem powinno następować stopniowo, odwiedzanie naszych bezpośrednich sąsiadów idealnie się do tego nadaje.

– Nie lubimy się oswajać?

– Jeśli ktoś wsiądzie do samolotu w Warszawie i za kilka godzin wyląduje w Bangkoku, to może to odczuć jako nieprawdopodobny szok, jakby znaleźć się na innej planecie, bo zmiana przestrzeni dokonuje się nagle, jesteśmy rzućeni w środek czegoś zupełnie nieznanego, nie mamy czasu się na to przygotować. Prawdziwa podróż za granicę powinna chyba zawierać element przejściowy.

– **Domy po polskiej i czeskiej stronie prawie się nie różnią.**

– I to jest kolejna pozorność, do której przywykliśmy. Musimy jednak pamiętać, że zarówno w niektórych domach po stronie czeskiej, jak i polskiej, kilkadziesiąt lat temu mieszkali zupełnie inni ludzie. Nie możemy zapomnieć o Niemcach sudeckich, którzy opuścili pasy Moraw i Śląska, a ich miejsce zajęli Czesi z centralnej części Czech. W Polsce działa się podobnie. Przykład Głubczyc – Niemcy zostają przesiedleni, w ich domach pojawiają się Polacy ze wschodu. Oczywiście, domy w ich fizycznym kształcie po obu stronach granicy prawie się nie różnią. Ludzie, którzy w nich mieszkają, wywodzą się z kultur oddalonych od siebie nawet o kilka tysięcy kilometrów. Natomiast ciągłość tożsamości przygranicznej najlepiej widoczna jest przy granicy z Białorusią i Litwą. Z tego przykładu musimy wyłączyć jednak Ukrainę, gdzie także spełnił się scenariusz przesiedleńczy.

– **Bez względu na to, gdzie jedziemy, ktoś lub coś podróżuje z nami. Bagaż z pewnością Pan posiada?**

– Mam, pewnie. Suma doświadczeń, to, czym człowiek jest, skąd się wziął i na czym buduje swoją tożsamość. Wszystko to, co się napisało i co ma się jeszcze zamiar napisać. Bardzo ważne są także książki. Nigdzie nie ruszam się bez książek. Najgorsze są takie

wyjazdy, kiedy wiadomo, że będzie dużo czasu wolnego. Wtedy zawsze powstaje problem: co włożyć do walizki? Jeśli wezmę dwie książki, to istnieje prawdopodobieństwo, że przeczytam je dwa razy. Dlatego lepiej wziąć trzy. A jak już trzy, to dlaczego nie cztery albo pięć. W zależności od tego, nad czym pracuję, wiem, że będę potrzebował poezji, ale też pozycji esejistycznych, historycznych, krytycznych. Próba takiego pakowania kończy się najczęściej frustracją, bo wiadomo, że nie wszystko się zmieści. W takich momentach wiele osób przekonuje mnie do czytników i tabletek, sugerując, że zaoszczędzą miejsce i zmieszczą dosłownie wszystko. Jakoś nigdy z takiej pomocy nie skorzystałem.

– **Polacy od pewnego czasu często podróżują. W 2012 roku turystycznie za granicę wyjeżdżali około 43 miliony razy. Równie często, co za granicę, podróżujemy także w przeszłość.**

– Przyszłości bez przeszłości nie ma, nie ma też teźniejszości. Podróż w przeszłość to nie jest dobre słowo. Odwiedzając miejsca, w których spędziliśmy dzieciństwo, oglądając zdjęcia i przypominając sobie ludzi, którzy już odeszli, w pewien sposób czytamy o czymś, co już się zdarzyło. To nie jest jednak krok wstecz, ale część naszego rozwoju. Podglądanie przeszłości w wielu przypadkach coś nam tłumaczy, zała-



Tomasz Różycki (fot. Tadeusz Parcej)

twia jakąś sprawę w życiu. Dzięki delikatnemu spoglądaniu w przeszłość możemy się upewnić, że to, co robimy teraz, jest dobre lub złe. Poemat *Dwanaście stacji* rzeczywiście skierowany jest w przeszłość, ale był mi bardzo potrzebny. A wracając do pytania o Polskę, jako terenu przejściowego, warto zaznaczyć, że tekst jest także charakterystyką tych regionów Europy, które żyją przeszłością za bardzo.

– **Lubimy upiorne podróże?**

– Tak, bardzo często powołuje się do życia jakiegoś ducha, istoty półżywej, zjawy, które tak naprawdę powinniśmy już dawno obejść. Wydaje mi się, że z jednej strony takie zachowanie jest rodzajem upewniania się tych narodów, które niepewnie czują się tu i teraz. W takim przypadku dużo łatwiej jest wracać do przeszłości, bo ta jest pewna z racji tego, że już się wydarzyła. Nigdy tego nie badałem, jednak przypuszczam, że takie narody, u których występuje pewna stałość (ekonomiczna, życia społecznego) – tak bardzo się do tej przeszłości nie odwołują. Maria Janion powiedziała kiedyś: *Do Europy tak, ale razem z naszymi umarłymi*. Chyba największy problem polega na tym, że wszyscy postulują, aby jednak trupami się już nie zajmować, ale jednocześnie jeszcze raz się z tymi trupami rozprawić.

– **Która stacja w podróży definiuje pisarza?**

– Spotkania z poszczególnymi ludźmi mają olbrzymi wpływ na to, kim się później jest. Nawet jeśli spotykam jakiegoś wariata, który w pewnym sensie mi się podoba, to staram się spojrzeć na niego jak na własne odbicie. W takim momencie czuję się przy takiej osobie, jak okropny małomówny nudziarz i zupełny muł towarzyski. Dzięki takim osobom oraz wielu innym mogę zobaczyć swoje wady, a to już bardzo dużo. Najgorzej, kiedy nie wie się, że jest się mułem.

Bardzo ważne jest również uczenie się od innych i w pewnym sensie także naśladowanie. Mam przynajmniej kilka wzorów, które chciałbym w mniejszym lub większym stopniu naśladować. Jednak zdaję sobie sprawę z tego, że nie uda mi się zmienić siebie zupełnie i zawsze gdzieś zostaną tym mułem, któremu nie wszystko wychodzi. Trudno powiedzieć, co jest tak naprawdę tylko moim charakterem, a co przejąłem od innych osób.

– **Nie używa Pan tabletek, ale mechanizm zapamiętywania szczegółów podróży ma przecież jakieś granice.**

– Mam tendencję do zapominania. To jest przerażające, ale z ogromnej liczby podróży, w pamięci zachowuje się tylko niewielka ich część. Zawsze z tego powodu jestem bardzo rozczarowany. Dlatego zapamiętywanie staram się zastąpić zapisywaniem – w postaci wiersza lub prozy. Dzięki temu mam poczucie, że coś jednak się zachowuje. Wydaje mi się, że duża część materiału literackiego składa się z tego typu prób zapamiętania konkretnych chwil – zarówno szczęścia, jak i przerażenia.

Mechanizm, który potwierdza się w większości przypadków, polega na tym, że kiedy gdzieś przyjeżdżam i jestem już na miejscu, to nie jestem wtedy w stanie napisać niczego sensownego. Podróży towarzyszy szok, a poza tym jestem także chłonny na rzeczywistość, która mnie otacza, przez co najwięcej czasu poświęciłbym chodzeniu, oglądaniu i przeżywaniu.

– **I Pan się do tego oglądania i przeżywania wcześniej przygotowuje? Przewodnik na stół i czytamy?**

– Wydaje mi się, że zawsze coś wiedziałem wcześniej o miejscu, do którego jechałem, albo starałem się przez moment zobaczyć, dokąd jadę. Gdybym miał teraz liczyć, to okazałoby się, że było mnóstwo takich wyjazdów, do których nie udało albo nie chciało mi się przygotować i podróż zapowiadała się zupełnie w ciemno. Później, już na miejscu, okazywało się, że jestem na przykład w kawiarni, w której wcześniej przesiadywał ktoś bardzo znany i ważny, ale ja w ogóle nie miałem informacji na ten temat i dowiadywałem się o tym już po powrocie. Nie ma jednak w tym rozczarowania. Wręcz odwrotnie. Okazuje się, że z jakiegoś powodu tam dotarłem i są to ciekawe doświadczenia. Czasami bywa również tak, że przechodzimy obok budynku, idziemy dalej, nie wchodzimy do środka, a później okazuje się, że coś ominęliśmy, jakieś nieprawdopodobne чудо i o tym wszystkim dowiadujemy się, będąc już w domu. Parę razy zdarzyła mi się taka sytuacja, kiedy rzeczywiście byłem zły, że przegapiłem coś ważnego. Złość wynika przede wszystkim z tego, że nie wiem, czy kiedykolwiek znów przyjadę w to miejsce.

– **Na aparat fotograficzny nie patrzy Pan krytycznie?**

– Nie, wręcz przeciwnie, robię sporo zdjęć. Zdjęcia bardzo mi pomagają. Robienie zdjęć związane jest także z emocjami, bo dzięki nim można sobie niektóre uczucia przypomnieć. To nie jest jednak tak, że podczas pisania obkładam się fotografiami, patrzę na nie i odtwarzam to, co wtedy czułem, myślałem, robiłem. Fotografia to bardziej taka przypominajka, która ma pobudzić pamięć. Nie robię zdjęć programowo, to zależy bardzo zależy mi na ich wykonaniu, kiedy chcę się podzielić z innymi obrazem, który osobiście widziałem. W takiej sytuacji najczęściej towarzyszy mi uczucie: szkoda, że nie ma tutaj kogoś ze mną. Kiedy jestem i widzę coś pięknego, niezwykłego, to jestem głęboko nieszczęśliwy, że nie wiem, jak powiedzieć innym o tym, co ja widzę teraz. Oczywiście bywa, że zdjęcia przywołują do porządku, bo góra, która widziałem, nie była górą, tylko pagórkem, a morze miało zupełnie inny odcień niż ten przeze mnie opisywany.

– **Podróż to rytuał?**

– Bardzo nie lubię rytuałów. Nie lubię się pakować. Nie lubię też samego momentu podróżowania, to znaczy siedzenia przez kilka godzin w pociągu, autobusie lub samolocie. Taki rodzaj spędzania czasu jest dla

mnie bardzo nudny i męczący. Wolę czasami przejść kilka kilometrów lub przejechać rowerem. Ważne, żeby coś się działo w tym czasie. Mam wtedy poczucie, że to ja pokonuję tę przestrzeń, a nie ona mnie. Zupełnie inne są także te podróże, które planuję samodzielnie, sam wyznaczam trasę i sam prowadzę samochód, bo one mają w sobie coś interesującego. To sprawia mi przyjemność.

– Pana *Spalone mapy*, które zostały uznane za najlepszy post literacki w USA w 2010 roku, to przeszłość na Ukrainie zarośnięta trawą. Na tych terenach widok macew ledwo wystających z traw, przy których dodatkowo pasą się kozy, jest powszechny. Patrzy Pan bez zdenerwowania?

– Mnie to nie przeszkadza. Pojechałem na Ukrainę w konkretnym, rodzinnym celu; przede wszystkim ze względu na swoją babcię, do miejsca, gdzie stał jej dom. Przykre było to, że nie znalazłem już tego domu, za to wszędzie rosła właśnie trawa i było mi smutno z powodu tego, że nie wiedziałem, jak mam o tym powiedzieć babci. Co ja jej powiem, jak ja jej to powiem? Ten smutek wynikał tylko z tego względu, bo tak naprawdę – to są piękne obrazy. Powiedziałbym nawet, że ten widok jest przerażająco optymistyczny. Boleśnie piękny. Lubię, kiedy natura sama potrafi zagospodarować swoją przestrzeń. Człowiek opuszcza jakieś miejsce, ale przecież życie tam nadal trwa. Miejsce jest wchłaniane przez naturę, zmienia się, niekiedy bardzo. Na przykład: jak wyglądało to dzisiejsze uniwersyteckie wzgórze tysiąc lat temu, kiedy jeszcze nie było tu żadnych budowli? Mapy też wyglądają zupełnie inaczej niż setki lat temu.

– Pan zbiera mapy?

– Mam ich bardzo dużo. Kiedy gdzieś jestem, zawsze mam potrzebę zobaczenia tego miejsca właśnie na mapie. Uwielbiam mapy, zgromadziłem ich bardzo dużo. Dawniej trudno było dostać naprawdę dobrą mapę, tym bardziej były one cenne. Mam mapy miejsc, w których jeszcze nie byłem. Kupowałem je, chociaż wiedziałem, że w ogóle nie wybieram się w miejsca, które mapa przedstawia – tak było na przykład z mapą Półwyspu Arabskiego. Inną mapą miejsca, którego dotąd nie odwiedziłem, a którego mapę posiadam, jest Australia. Ta mapa jest wyjątkowa, bo dostałem ją w prezencie i potrafiłem nad nią ślezczyć godzinami. To zresztą jeden z najlepszych prezentów, jaki dostałem. Podróżowanie palcem po mapie jest także namiastką

pisania, bo przy okazji możemy ćwiczyć wyobraźnię, tworzyć nieprzeżyte historie.

– Mapa napędza wyobraźnię pisarza?

– Dostarcza tylko pewnych danych, które mogę później wyeksponować podczas pisania. Sam nie bardzo jestem zdolny do wymyślania historii zupełnie nierzeczywistych, jednak mogę później przesadzać. Być może specyfika mojego pisania polega właśnie na tym, że przesadzam. Uważam, że pisanie o czymś, czego nie dotknęło się choćby w najmniejszym stopniu, jest nie fair. Tylko kilka razy zdarzyło mi się na potrzeby tekstu opisać miejsce, w którym nie byłem. Poza tym zawsze staram się dotrzeć do konkretnych punktów geograficznych na różne sposoby, na przykład prosząc przyjaciół o zdjęcia tego miejsca lub korzystając z programów internetowych, umożliwiających ich podgląd. W ten sposób mogę zobaczyć fragment krajobrazu, w którym nigdy nie byłem, a jest mi bardzo potrzebny w książce.

– Poeta jako reporter?

– Jeśli oddzielimy na chwilę specyfikę gatunkową, a zajmiemy się tylko misją, to możemy powiedzieć, że poeta jest w pewnym sensie reporterem. Naprawdę dobra poezja polega na tym, że proporcje nie są przesadzone w żadną stronę – ani w stronę fikcji, ani realności. Między reporterem a poetą może zachodzić transgresja, ale pod warunkiem, że celem reportażu jest wywołanie emocji, a nie tylko przekaz informacji czy wzbudzenie konkretnej reakcji.

– Pana najnowsza książka, zatytułowana *Tomi. Notatki z miejsca postoju*, zdradza na co choruje Tomasz Różycki. Miłość to też choroba?

– Zdaje się Awicenna powiedział, że miłość to choroba psychiczna, w sensie choroby duszy. A Cioran twierdził, że człowiek to chorujące zwierzę. Gdyby tak zbadać chemiczne reakcje w organizmie zakochanego, to okazuje się, że odbiegają mocno od normy. Problem z tymi metaforami, mówieniem o tym, co jest chorobą, a co nie, zaczyna się wówczas, kiedy wcale nie chcemy być normalni, nie chcemy być w normalnym stanie, ale chcielibyśmy zawsze być chorzy, choć odrobinę. Wtedy to, co chore dla innych, staje się dla nas normą. W tym sensie wołałbym powiedzieć, że miłość to normalny stan, brak miłości to choroba. Chory to ten, który nie kocha, albo kochany nie jest, ale czeka na lekarstwo, na lekarza.

Adam Wierciński

Za szybkie pisanie (27)

O nazwiskach pozornie tylko – według piszącego – „lepszych” i godniejszych: „Z czasem nazwiska zakończone na *-ski*, *-cki* przestały być wyznacznikiem szlacheckości – zaczęto je tworzyć od różnych podstaw (nie tylko od nazw miejscowych) i przybierali je ludzie należący do różnych warstw społecznych, por. np. syn *Jurka* – *Jurkowski*, syn *Marka* – *Markowski*, *Iwan* – *Iwański*, *Błażej* – *Błażejski*, *Bugaj* – *Bugajski*, *Kowal* – *Kowalski*, *Gromada* – *Gromadzki*, *Gęba* – *Gębiński* itp. Stało się zatem tak, że na wzór pierwotnych szlacheckich nazwisk odmiejscowych powstało kilka grup nazwisk sztucznych i w związku z tym te pierwotne nazwiska szlacheckie zatraciły swe hierarchiczne znaczenie, choć do dziś w potocznym mniemaniu nazwiska z przyrostkami *-ski*, *-cki* są lepsze (godniejsze)” (S.D., *Nazwisko*, „Poradnik Językowy” 2013, nr 2, s. 126).

Przypominał kiedyś Poeta: *Prawdziwy wróg człowieka jest uogólnienie*. Niezbyt szczęśliwie zostały dobrane tu przykłady; wśród tych nazwisk, uznanych za sztucznie utworzone, znalazły się i takie, które pochodzą również od nazw miejscowych, nie tylko od imion czy zawodów; nosiła je autentyczna szlachta. Byli *Jurkowscy* herbu Grzymała, ich nazwisko zostało utworzone od *Jurkowic* w Sandomierskiem; *Jurkowscy* h. Jastrzębiec wywodzili się z *Jurkowic* w Opatowskiem, *Jurkowscy* h. Leliwa z *Jurkowa* na Kowieńszczyźnie, a *Jurkowscy* h. Półkozic z *Jurkowa* w Sandomierskiem. *Markowscy* h. Bończa siedzieli na Podlasiu we wsi *Markowo*, h. *Drzewica* w *Markowie* w Sochaczewskim, h. *Grzymała* w *Markowicach* w Inowrocławskim. Oprócz plebejskich *Kowalskich*, noszących nazwisko sztucznie utworzone przez dodanie nobilitującego przyrostku *-ski*, było wielu *Kowalskich* szlachciców; pieczętowali się *Abdankiem*, *Gozdawą*, *Jasieńczykiem*, *Korabiem*, *Ostoją*, *Ślepowronem*, *Wieruszową* i innymi herbami. Brali nazwiska od miejscowości *Kowale* w Radomskim, Sieradzkim, Grójcekiem, Rawskim, Płońskim i Wieluńskim. Było też kilka rodzin szlacheckich noszących nazwisko *Gromadzki* (h. *Abdank*, *Dąbrowa*, *Oksza*, *Ostoja*, *Rawicz*, *Wieniawa*), pisali się ze wsi *Gromadzice* w Opatowskiem i *Lelowskiem*, a także z *Gromadyna* w *Kolneńskim*.

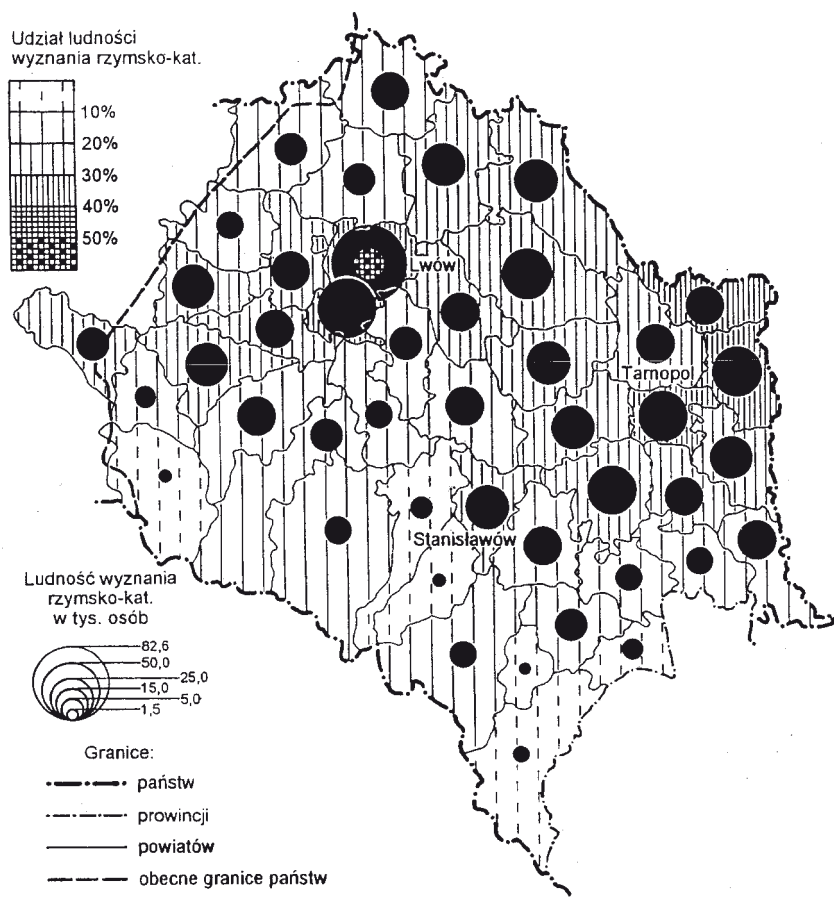
Różne podstawy mogą mieć tak samo brzmiące nazwiska, żeby rozprawić o etymologii trzeba czasem znać i genealogię. Nie bez przyczyny pytali dawni Polacy: z których *Czartoryskich* (byli wśród nich arystokraci z *Czartoryska* na Wołyniu i drobna szlachta zagonowa w Łomżyńskim), *Bujnickich* czy *Zagórskich* ktoś pochodzi. Wspominał August Iwański junior, zie-

mianin z guberni kijowskiej, z dawnej Braclawszczyzny rodem: – *Iwański to podejrzone nazwisko – mawiał żartem mój nauczyciel, Maszewski, robiąc aluzję do rosyjskości jego brzmienia. Było to uzasadnione o tyle, że zapewne protoplastą mego rodu był jakiś Iwan, jeńiec wojenny lub uchodźca z Moskwy czy Rusi, osiadły w Sieradzkim w przysiółku, który od jego imienia nazwano Iwaniem. Było to jednak bardzo dawno, gdyż już w XVI w. Iwańscy z Iwania byli dość rozrodzoną w tej części kraju szlachtą polską. Późniejsi moi przodkowie w drugiej ćwierci XVIII w. sprzedali rodzinny majątek *Stypin* i przenieśli się pierwotnie na Wołyń, później – po dorobieniu się pokaźnego funduszu – na Ukrainę, gdzie w końcu tego stulecia nabyli w powiecie taraszczańskim *Olszanekę*, *Maryjkę*, *Sabadasz* i *Sorokotiahe* (August Iwański junior, *Wspomnienia 1881–1939*, [w:] August Iwański senior, *Pamiętniki 1832–1876*, August Iwański junior, *Wspomnienia 1881–1939*, słowo wstępne *Jarosława Iwaszkiewicza*, opracował *Wacław Zawadzki*, Warszawa 1968, s. 266).*

Paradoksy historii. Wędrowki nazw własnych w czasie i przestrzeni. Z rosyjska brzmiące nazwisko, utworzone od nazwy miejscowej w Sieradzkim (*de Iwanie Iwański*), przeniesione gdzieś między Białą Cerkiew a Humań. Jedni Iwańscy to synowie Iwana, drudzy – ziemianie z Iwania pod Sieradzem. Jedni z Rusi, inni z Korony.

Każdemu wolno pisać, to prawda, ale przed drukiem ktoś jeszcze, oprócz autora, powinien tekst uważnie przeczytać, sprawdzić to i owo, a czasem spytać o źródła. W dodatku historycznym do „Gazety Wyborczej”, zazwyczaj starannie redagowanym, gdzie tyle ważnych szkiców i artykułów się pojawiło, w zapowiadającym na okładce szkicu znalazły się zmyślenia statystyczne. Jesienią 1918 roku, kiedy Ukraińcy zaczęli zajmować Lwów, stosunki narodowościowe między Sanem i Zbruczem miały się przedstawiać tak: *W 200-tysięcznym mieście Polacy stanowią niemal 80 proc. mieszkańców [sic!], ale w Galicji Wschodniej te proporcje są odwrotne – Ukraińców jest 71 proc., a Polaków niespełna 15* (Piotr Bojarski, *Dzieci bronią Lwowa*, „Ale Historia” 2013, nr 16, s. 7).

Za dużo Polaków naliczył autor we Lwowie, dodał aż kilkadziesiąt tysięcy, na prowincji natomiast dane zaniżył, pomniejszył liczbę Polaków o dziesięć procent. We Lwowie, mieście od wieków wielojęzycznym i wielowyznaniowym, nigdy nie mieszkało tylu Polaków; według austriackiego spisu ludności z 1910 ro-



Ryc. 7.2. Liczebność i rozmieszczenie ludności wyznania rzymskokatolickiego we wschodniej Galicji w 1900 r. wg powiatów

Źródło: Piotr Eberhardt, *Polska ludność kresowa. Rodowód, liczebność, rozmieszczenie*, Warszawa 1998, PWN, s. 179.

ku Lwów liczył 210 tys. mieszkańców: Polaków – 110 tys., Żydów – 60 tys., Rusinów (Ukraińców) – 35 tys., Niemców – 2 tys., innych (Czechów, Rosjan, Ormian) – 3 tys. (zob. Mieczysław Orłowicz, *Ilustrowany przewodnik po Galicji...*, Lwów 1919, s. 56–58).

To prawda, że podczas wspomnianego spisu 86% mieszkańców Lwowa podawało język polski jako ojczysty; wśród nich było wielu Żydów, i to nie tylko spolszczonych językowo; władze austriackie nie uznawały narodowości żydowskiej ani języka jidysz (nazywano go „dialektem o charakterze lokalnym”, nie można było podczas spisu wskazać na jidysz jako język ojczysty czy „towarzyski”), stąd też Żydzi galicyjscy przyznawali się do języka polskiego, niemieckiego i ruskiego. Gwoli ścisłości należy przypomnieć, że rachmistrze spisowi pytali o język i wyznanie, rubryki narodowościowej nie było. Mieszkańcy ówczesnego Lwowa według kryterium wyznaniowego: katolicy rzymscy (przede wszystkim Polacy) – 51 proc., Żydzi – 29 proc., grekokatolicy (w większości Ukraińcy nazywani wtedy jeszcze Rusinami) – 17 proc.

Inaczej też było na prowincji, na Podkarpaciu były powiaty, w których ludność polska stanowiła zaledwie kilka procent, ale w powiatach lwowskim, skałackim,

tarnopolskim i trembowelskim i po wsiach Polacy mieszkali w zwartych skupiskach, w 14 powiatach Galicji Wschodniej ludność polska przekraczała 25 proc. ogólnego zaludnienia (zob. Piotr Eberhardt, *Polska ludność kresowa. Rodowód, liczebność, zaludnienie*, Warszawa 1998, s. 177).

Nie wiadomo, skąd Bojarski zaczerpnął wiadomości o rozmieszczeniu dominujących grup narodowościowych w dawnej Galicji, skąd się wzięło 15 proc. Polaków poza Lwowem; nie wiadomo, po co zwiększył polską ludność we Lwowie, a pomniejszył prawie o 10 proc. na prowincji. Stosunki narodowościowe były tam bardzo powikłane. Nie można było sprawiedliwie podzielić tamtej ziemi według kryterium językowego czy wyznaniowego. Więcej Polaków mieszkało na wschód od Lwowa (między Trembowłą a Tarnopolem) niż w okolicach Przemyśla. Trafne spostrzeżenia Macieja Kozłowskiego: *Polacy na terenie Galicji Wschodniej stanowili w stosunku do Ukraińców mniejszość. Była to jednak mniejszość bardzo znaczna, obejmująca co najmniej jedną czwartą ludności, mniej-*

Jesień 1918 r. Monarchia Habsburgów wali się w gruzy. 20 października 1918 r. w wypełnionej po brzegi sali ratuszowej rada miejska Lwowa przyjmuje rezolucję wyrażającą akces miasta i całej Galicji Wschodniej, dotąd austro-węgierskiej prowincji, do odradzającej się Polski.

W 200-tysięcznym mieście Polacy stanowią niemal 80 proc. mieszkańców, ale w Galicji Wschodniej te proporcje są odwrotne – Ukraińców jest 71 proc., a Polaków niespełna 15.

„Ale Historia” 2013, nr 16, s. 7.

Dane zawyżone i zaniżone. We Lwowie Polacy nie stanowili 80 proc. mieszkańców; na prowincji było ich o wiele więcej niż 15 proc.

szość w dodatku tak przemieszana z ludnością ukraińską, że przeprowadzenie terytorialnego rozgraniczenia według kryterium geograficznego było praktycznie niemożliwe. Była to ponadto ludność o wyższym stopniu wykształcenia, o wyższej pozycji materialnej i zawodowej (Maciej Kozłowski, *Między Sanem a Zbruczem. Walki o Lwów i Galicję Wschodnią 1918–1919*, Kraków 1990, s. 72).

Wmówienia historyczne: *Rajdy rosyjskich armii na Litwę w latach 50. XVII w. skończyły się wywiezieniem blisko połowy jej populacji [sic!] do państwa moskiewskiego. Ludzie ci zostali osiedleni na tamtejszych pustaciach, by je uprawiać. Deportacja zachwiała strukturą demograficzną Wielkiego Księstwa i osłabiła Rzeczpospolitą, Rusi moskiewskiej zaś przydała bogactwa* (Andrzej Talaga, *Im więcej Polaka, tym lepiej*, „Rzeczpospolita” 2013, nr 58, s. P16).

Wywożono wtedy w głąb Rosji ludność z Wielkiego Księstwa Litewskiego, w Moskwie powstało nawet przedmieście nazywane „Polskim” albo „Litewskim”. Ale deportacja nie osiągnęła takich rozmiarów. O stratach ludnościowych na Litwie historycznej pisał dawno temu Józef Morzy (zob. *Kryzys demograficzny na Litwie i Białorusi w II połowie XVII wieku*, Poznań 1965).

O głodzie, powszechnych rabunkach, zubożeniu i epidemii dżumy też trzeba pamiętać. Tłumaczył Jerzy Ochmański: *Ogromne straty ludnościowe Litwy spowodowane zostały może nie tyle samymi działaniami wojennymi, ile skutkiem towarzyszących wojnie klęsk żywiołowych, jak głód i morowe powietrze, które nawiedziły Litwę w latach 1655, 1657, 1658, 1660, 1668, 1669. W tym okresie na Litwie i Białorusi działy się straszliwe rzeczy. Współczesny pamiętnikarz Jan Cedrowski powiadał o latach 1656–1657: „Głód straszny nastąpił, który trwał aż do żniw 1657 r., tak że kotki, psy, zdechliny wszelakie ludzie jadalni, a na ostatek różnili ludzki i ciała ludzkie jedli i umarłym trupom ludzkim wyleżeć się w grobie nie dali”* (Jerzy Ochmański, *Historia Litwy*, wydanie trzecie poprawione i uzupełnione, Wrocław 1990, s. 157).

Zbigniew Mikolejko w rozmowie z Dorotą Kowalską kilka razy przypisał Jerzemu Stempowskiemu dziwaczne zwroty: *Mamy parę scenariuszy, które są silniejsze od nas – dzieciństwo, czas i miejsce społeczne. No i historia, która bywa – by użyć wyrażenia Jerzego Stempowskiego – suką czy też bestią [sic!] „spuszczoną z łańcucha”* (*Jak błędzić skutecznie. Prof. Zbigniew Mikolejko w rozmowie z Dorotą Kowalską*, Warszawa 2013, s. 88). Gdzie indziej mówił: *I ci, którzy nas uczyli, i my w jakiejś mierze doświadczyliśmy tego nadto, o czym mówił Stempowski, że historia, ta najnowsza [sic!], jest potworna jak suka spuszczone z łańcucha – rzuca się ludziom do gardła, burzy więzi, daje narodom popalić* (*ibidem*, s. 128).

Gdzież by Stempowski, wytworny eseista, *honnête homme*, nazywał historię, nauczycielkę życia, „suką” czy „bestią”. Wspominał autorów *notujących skoki historii zerwanej z łańcucha* (*Kaprysy kosmiczne i ich konsekwencje literackie*, cyt. według wydania: Jerzy Stempowski, *Notatnik niespiesznego przechodnia*, zebrał i notą wstępną opatrzył Jerzy Timoszewicz, opracowała Dorota Szczerba, t. I, Warszawa 2012, s. 146). Nie tylko o historii współczesnej tak pisał, ale i o pisarzach francuskich czasu Cesarstwa i Restauracji, którzy *widzieli skoki historii zerwanej z łańcucha, hekatombę młodzieży, okupację swoich i obcych krajów przez armię Napoleona i jego przeciwników oraz ruinę wszystkich poprzednich instytucji* (*Po powodzi, ibidem*, s. 181).

Skokami historii zerwanej z łańcucha nazywał Stempowski czasy przełomów, szybkich zmian, gwałtownych i niespodziewanych przemian społecznych. Wyjaśniał: *Wrażenie historii zerwanej z łańcucha i przyspieszającej swój bieg nie jest na pewno czymś nowym. Doznawali go zapewne współcześni Napoleona i świadkowie innych burzliwych okresów historii* (*O przyspieszaniu się historii, ibidem*, t. II, s. 58).

Przepytywany polityk do dziennikarza: *Ale dlaczego używa pan takich obraźliwych pojęć? To brzydkie język, którego nie toleruję: Ruscy, ruskie... Odbicie piłeczki: Pierogi są ruskie i nikt nie mówi, że brzydkie.* Pochwała i wyrazy uznania: *Celna riposta* (*Dużo spożywam strączkowych. Z Andrzejem Rozenkiem rozmawiał Robert Mazurek*, „Rzeczpospolita” 2013, nr 99, s. P8).

Chyba za szybko pochwalił polityk rozmówcę. Nie udało się przecież tym razem riposta znanemu z ciętego języka publicyście. I języki pomylił, i rejestry stylistyczne. W potocznej polszczyźnie określenie „ruski” ma charakter pejoratywny, tak – z niechęcią i z lekceważeniem – mówi się zamiast „rosyjski”, i „Ruscy”, „Ruskie” – zamiast „Rosjanie”. Nawiasem: wszystko, co na wschód od Bugu i Sanu, to dla niektórych współczesnych Polaków – „ruskie”. I ziemia, i ludzie. Nawet

Ale dlaczego używa pan takich obraźliwych pojęć? To brzydkie język, którego nie toleruję: Ruscy, ruskie...

Pierogi są ruskie i nikt nie mówi, że brzydkie.

Celna riposta.

„Rzeczpospolita” 2013, nr 99, s. P8.

Celna riposta? Przecież pierogi są ruskie całkiem inaczej.

potomkowie polskich zesłańców z Kazachstanu, nawet rodacy znad Niemna i Wilii. Mówili mi o tym – zdziwieni i rozzaleni – studenci stamtąd, noszący nazwiska, które można znaleźć w *Panu Tadeuszu*.

A pierogi wcale nie są rosyjskie, są naprawdę ruskie, czyli ukraińskie, jeszcze z czasów, kiedy Ukraińcy nazywali się powszechnie Rusinami. Pochodzą nie znad Wołgi, ale z Ziemi Czerwieńskiej, którą przez wieki różnie w kilku językach nazywano: Ruś Czerwona, Ruś Halicka, Galicja i Lodomeria, Hałyczyna, Małopolska Wschodnia i Ukraina Zachodnia.

W dawnej Polsce było tam województwo ruskie, skąd tyłu sławnych Polaków się wywodzi (Mikołaj Rej, Mikołaj Sęp-Szarzyński, Stanisław Orzechowski, który mawiał o sobie: *gente Ruthenus, natione Polonus*, Stanisław Żółkiewski, Marek i Jan Sobiescy i in.). Monarchowie nasi nazywali się nie tylko królami polskimi, ale i wielkimi książętami litewskimi, ruskimi etc. etc.

Pierogi ruskie to pamiątka po dawnej, wielojęzycznej i wielowyznaniowej Rzeczypospolitej. Jak kołduny litewskie i karp po żydowsku. Jak chłodnik (*chłodziec litewski* z *Pana Tadeusza*, który gościę Sędziego w zamku Horeszków milczkiem żwawo jedli), barszcz, chałka, mamałyga, makagigi i rachatlukum.

Znawczyni literatury z podziwem o frazie z wczesnej noweli bohaterki książki: *nowela chłopska. I ta chłopska kończyła się pięknie stylizowaną frazą: „I chyził go za ożydle”*. To zapamiętałam. Ma Pani tę nowelę w zachowanych zeszytach? Odpowiedź: *Gdzieś może jest. Rzeczywiście, ożydle, czyli podgardle [sic!], dosyć... wyszukane (Janion. Transe – Trauma – Transgresje. 1. Niedobre dziecię. Rozmawia Kazimiera Szczuka, Warszawa 2012, s. 82).*

Taką samą, tzn. prawie taką samą frazę zapamiętali chyba i niedawni licealiści z lektury szkolnej. Ale *ożydle* albo *orzydle* (tak w *Chłopach* Reymonta) to wcale nie podgardle, to część ubrania przy szyi (klapy, wyłogi, przednia część kołnierza, brzegi koszuli bez kołnierzyka), chwytało za nią podczas bójk; tak zrobił Reymontowski Antek: *chwycił go [Mateusza] jedną ręką za orzydle*.

W zbiorze ineditów Wisławy Szymborskiej (*Błysk rewolwru*, wstęp i komentarz naukowy: Bronisław Maj, wybór tekstów, redakcja i przypisy: Michał Rusinek, Sebastian Kudas, Warszawa 2013), wydanym pięknie i starannie przez Agorę SA, zostały też przedrukowane żartobliwe wierszyki z wczesnych lat pięćdziesiątych (s. 66–67); pisane kilkadziesiąt lat później – na wzór tamtych – zostały nazwane przez Michała Rusinka – „moskalikami”.

Pierwszy wierszyk – jeszcze bez określenia gatunkowego – brzmi tak:

*Kto powiedział, że Germanie
to są bracia nas Sarmatów,*

*temu pierwszy kości złamię
przed klasztorem Reformatów.*

Ale prawie taką samą parafrazę części drugiej zwrotki sławnego *Poloneza* Rajnolda Suchodolskiego napisał, jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej, Adolf Nowaczyński; widać, że Szymborska (a może Adam Włodek?) znała jego *Szopkę...:*

*Kto powiedział, że Germanie
Są to bracia nas Sarmatów,
Temu wszystkie gnaty złamię
Przed kościołem Reformatów.*

(Halban [Adolf Nowaczyński], *Szopka warszawska*, Warszawa 1916, s. 16).

W *Rymowankach dla dużych dzieci* (Warszawa 2003) Szymborska przyznała, że *Wzorem dla tej serii [„moskalików”] stała się zwrotka starej pieśni do słów Rajnolda Suchodolskiego: „Kto powiedział, że Moskale / są to bracia dla Lechitów... [...]”*. *Nie pamiętam, kto z nas wymyślił pierwszy wariant, Adam Włodek czy ja* (s. 17).

Może jednak to nie tylko oryginał, ale i przeróbka Nowaczyńskiego była inspiracją i wzorem? Może „moskaliki” to nie cień, ale cień cienia? Jak już kiedyś pisałem. Zob. *Nie Szymborska, ale Nowaczyński* (Krótka rozprawa o genezie „moskalików”), „Indeks” 2008, nr 1–2, s. 17–19.

Pytanie naiwne: po co w książce Szymborskiej zamieszczać – bez słowa wyjaśnienia od Wydawcy – parafrazę Nowaczyńskiego tu i tam zmienioną nieco? I przypisywać ją Poetce (czy Włodekowi)?

Czasy i nazwy: *Utworem, który otwierał poetkłą obecność Czesława Miłosza na łamach paryskiej „Kultury” był wiersz „Na śmierć Tadeusza Borowskiego”*. *To właśnie ów tekst w 1952 r., obok innych poezji autora „Ocalenia”, zamieścił Jerzy Giedroyc w 6. numerze redagowanego przez siebie pisma. O czym traktuje owo umieszczone przez naczelnego redaktora na pierwszym miejscu dzieło? Otóż przede wszystkim o powodach samobójstwa stosunkowo młodego peerełowskiego [sic!] pisarza, który – wedle rozpoznania komentującego ów czyn starszego poety – postąpił tak, gdyż wzięty w kleszcze dwu rodzajów zniewoleń już nie widział innego dla siebie rozwiązania* (Kazimierz Nowosielski, „Czyny i rozmowy” (*Korespondencja: Giedroyc – Miłosz*), „Arcana” 2013, nr 2, s. 172).

Tadeusz Borowski nie był *peerełowskim* pisarzem, zmarł w lipcu 1951 roku, a określenie „Polska Rzeczpospolita Ludowa” pojawiło się w lipcu 1952. Dla ścisłości należy pamiętać, że pojałtańska Polska, państwo o ograniczonej suwerenności, nazywane potocznie *Polską Ludową*, do 1952 roku nazywała się oficjalnie tak jak przed wojną – Rzeczpospolita Polska.

Jeszcze jedno wzmówienie: *Nie lubię rozważań o wadach narodowych, ale wydaje mi się, że w Polsce mieć*

za złe, zazwidić to jest coś naturalnego. Wańkowicz mówił, że to kraj, w którym ksiądz proboszcz zazdrości pani aptekarzowej udanego porodu (*Dowód na istnienie Boga*. Z Jerzym Pilchem rozmawia Marta Strzelecka, „Wprost” 2013, nr 17–18, s. 44).

Wańkowicz chyba tego nie mówił; w *Kundlizmie* pokpiwał z bezinteresownej zawiści, żartował, że u nas szewc zazdrości kanonikowi, kiedy ten zostanie prałatem: *Jeśli się krzywo uśmiechną porucznicy, że jeden z nich został kapitanem, to rozumiem. Ale czemu stukający młotkiem w zelówkę szewc wykrzywia się z lekceważeniem, z obrazą osobistą niemal i poczuciem krzywdy, kiedy się dowie, że kanonik został prałatem, chociaż ten szewc nigdy na prałata nie celował? Skąd ta bezinteresowna zawiść u tego szewca?*

A tyle lat przed Wańkowiczem Sienkiewicz w *Bez dogmatu* kazał narzekać Śniatyńskiemu: *My jesteśmy dziwnym społeczeństwem. U nas panuje czysto republikańska zawiść. Ja piszę komedię, pracuję dla teatru – dobrze! zyskałem pewien rozgłos – jeszcze lepiej; otóż tych komedii będzie mi u nas zazdrościł – myślisz, że tylko drugi komediopisarz? – nieprawda! Będzie mi ich zazdrościł inżynier, urzędnik bankowy, pedagog, lekarz, agent kolejowy, słowem, ludzie, którzy by i tak nigdy nie pisali komedij. Ci wszyscy w stosunkach z tobą będą ci okazywali, że mało sobie z siebie robią, w rozmowach poza twoimi oczami będą cię umyślnie umniejszali, żeby się przez to samo mogli więksi wydać.*

Pani dyrektor szkoły podstawowej na Mokotowie zwierzała się dziennikarce: *W mojej szkole [...] mam tylko pedagoga i kilka godzin dla reedukatora, bo na innych specjalistów nie ma pieniędzy. W razie problemów z nauką [sic!] mogę tylko skierować ucznia do poradni psychologiczno-pedagogicznej. I zaczynają*

się schody. Bo połowa mojej szkoły to rodzice, którym dziecko przysłowiowo wisi [sic!]. I zazwyczaj kończy się tym, że zostaje bez pomocy (cyt. za: Iza Michalewicz, *Pani minister, ratuj maluchy*, „Duży Format” 2013, nr 16, s. 5).

Paremiolodzy nie znają takiego przysłowia, natomiast folklorysty i znawcy języka nazbyt potocznego mogliby przytoczyć bez trudu kilka rymowanek z tym czasownikiem. Używali tego zwrotu (coś komuś *wisi* czy *zwisa*) niegdysiejsi rekruci i niedorostki z przedmieścia. A dziś ten niedoborowy zwrot trafił nawet do dyrektorskiego gabinetu. I to szkolnego. Przydałby się jakiś „reedukator”, który by wyjaśnił, dlaczego ten nie stosowny zwrot nie powinien się pojawić w oficjalnej rozmowie. Zwrot nie do druku.

Już nawet i duchowny potrafi się posłużyć językiem nazbyt potocznym w oficjalnej sytuacji. Dominikanin (nie jakiś tam rubaszny bernardyn znany z literatury) mówił dziennikarzom: *Nie dziwię się – gdyby z każdej strony ktoś mnie ochrzanił, też bym odpuścił...* („Gazeta Wyborcza” 2013, nr 104, s. 7).

Nijaczej język już nawet wśród złotoustych (duchowny studiował retorykę).

Za szybko napisałem notkę o uniwersytecie lwowskim w ostatnim „Indeksie” (3–4/2013, s. 65). I pomyliłem cesarza Franciszka I (jako Franciszek II był cesarzem Św. Cesarstwa od 1792 roku; od 1804 do 1835 roku jako Franciszek I był „cesarzem Austrii”) z Franciszkiem Józefem I. W czasach austriackich uniwersytet we Lwowie nosił imię Franciszka I; to ten władca zechciał odnowić dawną Akademię i nadać jej prawa szkoły wyższej.

Adam Wierciński

Joachim Piecuch

Portret Boga

W co wierzymy, kiedy wierzymy w Boga?

Bóg nie jest dla nas jedynie jakąś abstrakcyjną ideą. A zatem musimy Go sobie jakoś wyobrazić.

Jaki mamy obraz Boga i czy jest on uprawniony?

Oto pytanie, które stawia nam kolejny wczesnoantyczny filozof grecki – Ksenofanes.

Urodził się około 580 roku w Jonii, w Kolofonie, czyli na wybrzeżu zachodnim Azji Mniejszej. Tam też spędził swoją młodość, ale kiedy Medowie zajęli Kolofon, wyemigrował i rozpoczął życie wędrowca. Odwiedzał miasta Grecji, zwłaszcza te, które wówczas leżały na wschodnim wybrzeżu Sycylii i w południowej Italii. Jako wędrowny rapsod gościł w domach greckich arystokratów, w których deklamował poematy, śpiewał pieśni i wygłaszał swoje poglądy. Wędrowki te trwały – jak sam nas przekonuje – prawie 70 lat, po czym osiadł w Elei i stał się założycielem tamtejszej szkoły. Jego uczniem był prawdopodobnie Parmenides.

Kiedy spotykamy się z jego myślą, czujemy się zobowiązani do postawienia sobie pytania o formy naszej wiary w Boga.

Przyglądając się wierze współczesnych ludzi, Ksenofanes zauważył: *Etiopowie uważają, że ich bogowie mają splaszczone nosy i są czarni, Trakowie zaś, że mają niebieskie oczy i rude włosy.*

A więc ludzie wyobrażają sobie bogów jako podobnych do nich samych.

Ksenofanes dalej stwierdza ironicznie: *Gdyby woły, konie i lwy miały ręce i mogły nimi malować, i tworzyć dzieła, tak jak ludzie, to konie malowałyby obrazy bogów podobne do koni, woły podobne do wołów i nadałyby bogom kształty takie, jak jest ich własna postać.*

Oczywiście, za czasów Ksenofanesa życie religijne zdominowane było przez mity, w których bogowie nie tylko mieli ludzki wygląd, ale i ludzkie obyczaje, dopuszczając się nieraz czynów nikczemnych i karygodnych. Byli więc bardzo ludzkimi bogami.

Nie zmienia to jednak faktu, że problem podjęty przez tego antycznego filozofa pozostał aktualny po dziś dzień.

Jego krytyka wyobrażeń Boga i nas dotyczy.

W XIX wieku Ludwik Feuerbach sformułował pod adresem wierzących w Boga zarzut mówiący, że to



Fot. Tadeusz Parcej

wcale nie Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, lecz odwrotnie: to człowiek stworzył sobie Boga na obraz i podobieństwo swoje – człowiecze.

Stworzył człowiek sobie Boga, przypisując mu swoje własne najszlachetniejsze cechy i nadał im charakter idealny, absolutny. Człowiek jest dobry, ale Bóg jest wszechdobrością, człowiek jest silny, ale Bóg jest wszechmocą, człowiek jest mądry, rozumny, posiada wiedzę, ale to Bóg jest wszechwiedzący. Bóg to zatem nic innego, jak projekcja, w której człowiek siebie samego idealizuje.

Jak można ten zarzut odeprzeć?

Może dążeniem do tego, abyśmy Boga nie wyobrażali sobie na miarę naszych oczekiwań. Abyśmy zgodzili się na to, że jest on zupełnie inny i inaczej do nas przychodzi, aniżeli to sobie wyobrażamy.

Trzeba zapytać: Czy nie daliśmy się zbyt łatwo zawładnąć duchem taniego optymizmu?

Bóg musi się o nas troszczyć, musi o nas dbać, zarządzać naszymi nieszczęściami, wyprowadzać nas z chorób, wysłuchiwać naszych próśb. Czy nie jest to wiara zbyt powierzchowna, naiwna i nieraz przyjmująca postać wręcz kiczowatości? Czy w takiej pobożności nie chcemy czasem Boga zredukować jedynie do roli sługi naszych potrzeb? Czy nie przyjmuje On wów-

czas postaci nowej projekcji, tym razem projekcji naszych życzeń?

Przyjmujemy, że Bóg przychodzi do nas poprzez dobro i harmonię, i rzeczywiście mamy wówczas doświadczenie Jego obecności. Ale zawężenie się do takiego rozumienia Boga byłoby jego bardzo jednostronną wizją wiary.

A co z naszymi bólami, cierpieniami, lękami, przeżywaniem nocy, doświadczeniem utraty i śmierci bliskich?

A może właśnie w tych momentach jest jeszcze bliżej nas niż w chwilach radosnej egzaltacji? Tak jak bliski był biblijnym uczniom udającym się do Emaus, mimo że byli dotknięci bólem porażki i rozczarowania. On siedł z nimi, a oni go nie rozpoznali. Dlaczego?

Bo był Inny, aniżeli oni go sobie wyobrażali.

Żadne wyobrażenie, żadne słowo, żadna myśl nie może zamknąć w sobie Boga i Jego bogactwa. On jest inny i to tak radykalnie, że musimy nawet przekreślić pamięć naszych dawnych spotkań z Nim. Przychodzi bowiem do nas zawsze inaczej niż dotychczas.

Joachim Piecuch

Bartłomiej Kozera

Uroki starości

Paradoksów związanych ze starością jest kilka. Oto ludzie życzą jej sobie, chcą dożyć późnego wieku, chcą dożyć starości, ale gdy ich życzenie się spełni, narzekają że są starzy. Po wtóre greckie słowo *starość* to *gerontem*, ale wywodzi się ono od *geras*, co znaczy *dar honorowy, cześć*. Ten wiek ma pewną szlachetność i równocześnie ujmę, stąd mówi się *podeszły wiek, trzeci wiek, jesień życia*. Chcąc przełamać te paradoksy, ludzie wymyślili, że starość to sprawa biologii i psychologii, a nie metryki. Coraz częściej mówi się, że gdy człowiek jest sprawny, wykazuje inicjatywę, nie potrzebuje opieki, to niezależnie od tego, ile ma lat, jest w średnim wieku. Co to znaczy? Ano, że nam starym chcą odebrać starość.

Jestem w wieku wczesnej starości (60–74) i bardzo mi się ten okres podoba, więcej – uważam go za najszczęśliwszy w życiu. Zanik zmysłowych przyjemności sprawił, że mniej zakłócona jest rozważa, rozumowanie. Zresztą zmysły musiały zamilknąć, bo podeszły wiek okrywa śmiesznością wszelkie namiętności. Ukojenie zmysłów sprawiło, że podejmuję decyzję rozsądnie, a więc nie popełniam tak dużo błędów, jak kiedyś. Co do przyjemności, to proszę mi wierzyć, ale przy-

jmniej jest mieć coraz mniej przyjemności. To prawda, że ręka niosąca do ust szklankę drży, ale pragnienie jest mniejsze.

Pewnie, że na starość pamięć zawodzi, ale to można wykorzystać – najpierw skleroza, potem synteza – oto moja recepta na życie intelektualne. Stary historyk to coś mniej dogodnego niż stary filozof.

Niechęć spowodowana starością bierze się z lekceważenia natury. W młodości mieliśmy to, czego nie mamy teraz. Teraz mamy to, czego nie mieliśmy w młodości. Takie są prawa natury. Ponadto nikt nie wymaga od starszych ludzi wysiłku fizycznego. Prawda, są tacy, którzy są niedołążni. Tylko że tacy ludzie przez całe życie chorowali, więc na starość nie mogą nagle ozdrowieć.

Jeśli chętnie widzimy wśród nas młodych ludzi, ale rozsądnych, myślących, a więc mających w sobie coś ze starości, to w takim razie podobać się będą starzy ludzie wtedy, gdy będą mieli w sobie coś z młodych – chęć życia, inicjatywność, energię. Starzejemy się stopniowo, nie nagle, toteż można zachować wiele z poprzednich okresów życia. Ale to zależy od tego, co zdołaliśmy osiągnąć w młodości i w wieku dojrzałym.

To zależy od naszych nawyków.

Niechęć wobec starości wynika z głównie faktu, że blisko jej do śmierci. Kto jednak zaakceptował swoje urodzenie, musi zaakceptować swoją śmiertelność. Na ten temat znakomicie powiedział w *Obronie Sokratesa* Platon: „Otóż jedno z dwóch jest śmierć. Bo albo tam nic nie ma i człowiek po śmierci nawet wrażeń żadnych nie odbiera od niczego, albo jest to, jak mówią, przeobrażenie jakieś i przeprowadzka duszy stąd na inne miejsce (...). Jeśli to brak wrażeń, jeśli to coś jak sen, kiedy ktoś śpiąc, nawet widziadeł nie ma, to prawdziwym zyskiem byłaby śmierć (...). Jeśli zaś śmierć to niby przesiedlenie duszy stąd na inne miejsce i jeżeli to prawda, co mówią, że tam są wszyscy umarli, to jakież może być większe dobro ponad nią”.

Spójrzmy na to inaczej. Każdy wiek ma oznaczony kres. Młodym jest się do 30. roku życia, dorosłym do 60. Tylko starość tego kresu nie ma. Starym można być bardzo długo, właśnie do śmierci. Akceptacja śmiertelności to warunek spokojnego życia.

Rzeczy przykre związane ze starością mają społeczną, nie przyrodniczą, genezę. Oto dokonała się obecnie

prywatyzacja starości. Problemy ludzi starych w Polsce to ich osobiste problemy, nie państwa, nie instytucji społecznych. One troszczą się tylko o młodych, a więc o tych, z których będą mieć pożytek. Starzy nikogo nie interesują.

Mnie osobiście smuci co innego, mianowicie fakt, że teraz stałem się przezroczysty. Nikt nie widzi na ulicy człowieka starego. Młodych się postrzega, starych nie. Bo młody jest jak obrazek, do oglądania, a stary jak książka, by dojrzeć jego piękno, trzeba go przeczytać. Na to trzeba czasu.

A teraz wszystkim się spieszy.

PS

Prośba do władz uniwersytetu. Proszę o wprowadzenie zwyczaju, by instytuty w swoich wykazach pracowników na stronie internetowej podawały również emerytów. By zasłużeni dla uczelni ludzie nie znikali wraz z odejściem na emeryturę. Z czasem dodać by trzeba tylko czarną ramkę.



Edward Szczapow, *Babcia Eugenia*, olej

Beata Gaj

Naukowa dysputa nad zupą dyniową

Javier Marias, hiszpański mistrz powieści uniwersyteckiej, w swej częściowo autobiograficznej książce pt. *Wszystkie dusze* (pol. wyd. 2001, hiszp. *Todas las almas*, 1989) opowiada o tym, co mu się przytrafiło podczas pobytu w charakterze lektora języka hiszpańskiego na uniwersytecie w Oksfordzie. Oto w scenarii starego uniwersytetu, pełnego wielu indywidualności i niepozabawionych poczucia humoru ekscentryków mają miejsce różnego rodzaju wydarzenia o charakterze (pozornie) nienaukowym. Najważniejszym są tzw. „wysokie obiady”, na które zaprasza się wybranych studentów oraz gości. W powieści Javiera rozkład gości oraz ich rozmowy przy stole stają się kluczowym motywem powieści...

Tzw. *Formal Hall* czy też *Formal Meal* to rodzaj spotkań połączonych z posiłkiem, praktykowanych w najstarszych uczelniach Zjednoczonego Królestwa i Irlandii, przede wszystkim w takich jak Oxford, Cambridge, Dublin czy St Andrews, ale także na Uniwersytecie w Londynie, w Melbourne, Sydney i w Trinity College w Toronto. Charakter spotkania może być nieco zróżnicowany w poszczególnych uczelniach np. spotkania formalne mogą się odbywać codziennie albo tylko w wybrane dni, z udziałem zaproszonych studentów lub tylko w gronie kadry naukowej, mogą być rodzajem spotkania przy stole swoistej „Rady Wydziału” czy raczej *college'u* lub bardziej otwartym wydarzeniem kulturalno-rozrywkowym, a nawet muzycznym. Nie tylko poszczególne uniwersytety, ale i *colleges* w ich obrębie mają tu własne tradycje.

Na przełomie października i listopada 2012 roku, podczas mojego pobytu w Cambridge, na zaproszenie jednego z członków rady Uniwersytetu w Cambridge miałam okazję również uczestniczyć w tego rodzaju *Formal Dinner*, organizowanym w każdy piątek przez Wolfson College. College ten, wśród pozostałych trzydziestu Uniwersytetu w Cambridge, jest nieco wyjątkowy, przeznaczony wyłącznie dla studentów po dwudziestym pierwszym roku życia, czyli posiadających już jakieś doświadczenie akademickie i tytuł licencjata, a nawet magistra (*post-gradual students*). Wielu wybiera właśnie Wolfson College na miejsce pisania pracy doktorskiej. Jest to także *college* stosunkowo późno wybudowany (nie długo obchodzić będzie pięćdziesiątą rocznicę fundacji), uznawany za świecki, bo pozbawiony tradycyjnej kaplicy, stanowiącej centrum każdego innego *college'u*, a przyjazny osobom o poglądach socjalistycznych. Tym większe więc było moje zasko-

czenie, gdy okazało się, że tradycyjny formalny posiłek rozpoczęto... piękną, dziękczynną modlitwą chrześcijańską (!), wypowiedaną przez wszystkich bez wyjątku, nawet przez profesorów chwilę wcześniej opowiadających mi o swoich laickich poglądach... Ciekawa jestem, jak często taki zwyczaj praktykuje się podczas oficjalnych spotkań w polskich katolickich uniwersytetach czy na wydziałach definiowanych religijnie... Cóż, my najczęściej dostosowujemy się do innych, starając się nikogo nie urazić, tam zaś to, co uchodzi za dobrą tradycję – jest zwyczajem, do którego muszą dostosować się inni.

Ale zacznijmy od początku... Już mniej więcej dwa tygodnie przed spotkaniem, na które mnie zaproszono jako gościa Wolfson College, musiałam oficjalnie potwierdzić swe przybycie (z osobą towarzyszącą w wieku powyżej lat szesnastu lub bez teje) i zadeklarować pojawienie się w odpowiednim stroju. Co prawda zawsze w portierni *college'u* można zakupić odpowiednią togę, ale i pod nią strój musi być dostosowany do panujących zasad – stonowane kolory, marynarki, dla pań dopuszczalne ewentualnie wytworne kreacje. I nie ma tu miejsca na żadne wyjątki. Osoba łamiąca reguły po prostu nie zostanie wpuszczona przez obsługę: armię dobrze wyszkolonych portierów-kelnerów dowodzonych przez jednego wyższego rangą, którego można by nazwać mistrzem ceremonii. Ów człowiek, witający gości przy wejściu i odbierający od nich okrycia wierzchnie, zbiera także zamówienia na określone rodzaje napojów, w tym rodzaje win, serwowanych potem osobno, według zamówienia, każdemu z gości. Następnie z kieliszkiem w rękę należy udać się do reprezentacyjnej sali, w której odbędzie się przyjęcie. Jest to czas zawierania znajomości, prezentowania gości, także oglądania różnorodnych trofeów *college'u*, portretów fundatorów czy dziekanów (aktualnie funkcję prezydenta Wolfson sprawuje profesor historii Sir Richard Evans). Wśród tej ekspozycji moją uwagę zwrócił olbrzymi gong. Odgrywał on ważną rolę w celebracji przyjęcia, gdyż po około kwadransie rozmów, zabrzmiał za sprawą mistrza ceremonii, który majestatem ogłosił: *The dinner will be served!* Był to sygnał do odszukania swojego oznaczonego miejsca przy stole. Należało stanąć przy nim i oczekiwać na dalszą część ceremonii. Kolejny dźwięk gongu był wezwaniem do wspomnianej wyżej modlitwy dziękczynnej, a dopiero potem można było usiąść i oczekiwać na kolejne etapy posiłku – w tym przypadku oryginalnie po-

daną zupę dyniową, bażanty z różnymi warzywami, wykwintny czekoladowy deser, który *de facto* był jeszcze częścią obiadu, a wreszcie właściwy deser: wybór serów i kawę. Cały posiłek celebrowano długo, bo około dwóch–trzech godzin, podczas których żarliwie dyskutowano, wymieniano się publikacjami, żartowano. W kwestiach bliskich mi nauk o starożytności dowiedziałam się między innymi, że szczególnie dobrze obecnie finansowanym i modnym w Cambridge tematem są starożytni Fenicjanie. Obsługa przyjęcia z istic angielskim spokojem i cierpliwością oczekiwała na przerwę w rozmowie dwóch sąsiadujących gości, żeby podać kolejne danie.

Właśnie tam zrozumiałam, na czym polega siła naukowa angielskich uniwersytetów z tradycjami – na owej wymianie myśli, stałej, regularnej inspiracji, jakiej sobie wzajemnie udzielają naukowcy różnych specjalności. Myślę, że podobny klimat panował niegdyś w hellenistycznej Aleksandrii i to właśnie te rozwiązania, zastosowane niegdyś przez Ptolemeuszów, są jedną z najważniejszych *praidei* anglosaskiego życia akademickiego. Dialog naukowy prowadzony w, wydawałoby się, nienaukowym otoczeniu, poprzedza ten prowadzony przez publikacje naukowe czy konferencje. Na ogół konferencje naukowe, nawet te o tzw. szerokiej tematyce, skupiają przecież ludzi o zbliżonych zainteresowaniach, tymczasem *formal dinner* jest okazją

do rozmowy członków tego samego *college'u*, ale różnych dyscyplin np. historyka z biologiem, a rozmowa ta może przenieść się potem do jednego z licznych pubów, np. do pobliskiego *Eagle*, gdzie w takiej właśnie interdyscyplinarnej atmosferze, przy piwie, 28 lutego 1953 r. Amerykanin James Watson i jego brytyjski kolega, Francis Crick, oznajmili kolegom i gościom: *Właśnie rozwiązaliśmy zagadkę życia* i tak ogłosili światu odkrycie trójwymiarowej struktury DNA...

Najważniejsze decyzje zapadają zawsze przy stole – głosi przysłowie i zarazem doświadczenie wielu technik komunikacji społecznej. O zachowaniu się przy stole można jednak mówić nie tylko w kontekście biznesu, *savoir-vivre'u* czy tematów kulinarnych modnych w okresie Wielkanocy. Zastosowanie cytowanej wyżej maksymy w życiu naukowym, jak widać, także przynosić może spektakularne efekty. Na zakończenie muszę i ja stwierdzić, że z całego pobytu w Cambridge, wizyt w bibliotekach i księgarniach (gdzie *nota bene* już w trzecim kwartale danego roku można spotkać wydawnictwa z datą roku następnego), zamieszkiwania w tzw. domu księcia Alberta, spacerów po urokliwych uliczkach i zwiedzaniu poszczególnych *college'ów* i ich kaplic (ze słynną kaplicą w Kings College) czy biblioteki Newtona w Trinity College, za najciekawsze wydarzenie uważam właśnie swój udział w „wysokim obiedzie”.



Pod portretem jednej z fundatorek Wolfson College, w sali reprezentacyjnej, stoją (od lewej): członek rady Cambridge prof. Witold Tulasiewicz, prof. Beata Gaj, Maria Gaj – stypendystka British Alumni Society i prof. Lora Hofmann

Martyna Kasprzak

Teatru gry i grymasy

Jan Peszek – wybitny polski aktor teatralny, filmowy i telewizyjny oraz reżyser teatralny i wspaniały pedagog. Ten znakomity człowiek teatru 17 kwietnia br. zawitał do Opola w ramach cyklu organizowanego przez Opolską Kawiarnię Naukową i Polskie Radio Opole. Spotkanie z Janem Peszkiem odbyło się na terenie Uniwersytetu Opolskiego, w Collegium Maius. Aktor i profesor krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej wygłosił tu wykład pt. *Czy teatr musi nadać?*, dotyczący aktualnej sytuacji polskiego teatru oraz położenia aktora i widza we współczesnych realiach teatralnych.

Źródło moich wątpliwości

– *Im dłużej zajmuję się sztuką, tym wyraźniej widzę, że jest ona uzależniona od wielu czynników zewnętrznych. Co więcej, że owe czynniki zewnętrzne potrafią przeważać nawet tam, gdzie mamy do czynienia z najbardziej trwałymi zasadami postępowania, na które, zdawałoby się, nic nie może mieć wpływu. Dopóki działam u siebie, to znaczy wobec sztuki, mając na uwadze tylko jej dobro, dopóty wszystko jest w porządku. Rzeczy mają się tak, jak się mają, wiadomo, co czym jest. Rola pracy, kryteria, wartości, inspiracji, intencji poznawczych, nawet aspiracji, wszystko to ułożone jest według duchowego planu, który odpowiada ściśle temu, co się robi. Gdyby tej harmonii brakło, twórczość byłaby niemożliwa, a przynajmniej cierpiłaby na swoje niemożności* – ten tekst został napisany w 1963 roku (jako część i jako wstęp do „Scenariusza dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego”) przez Bogusława Schaeffera, który wprowadzał w Polsce po raz pierwszy teatr instrumentalny i aktora instrumentalnego. Czyli aktora, który wraz ze swoją umysłowością, fizycznością był całkowicie rozumiany jako dyspozycyjny instrument muzyczny. W tym roku upływa 50 lat od powstania tego utworu i to, prawdę mówiąc, sprowokowało mnie do zadania sobie samemu pytań: co to znaczy „u siebie” oraz „wobec siebie”? I czym jest ten stan?

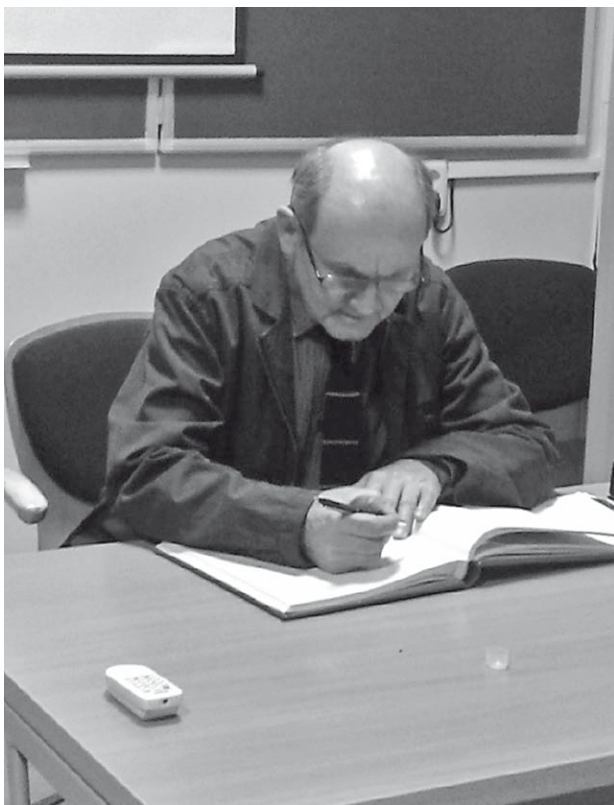
Jako aktor zacząłem pracować w 1963 roku. Mam za sobą rozpoczęte wówczas praktyki w ramach działań muzycznej i teatralnej awangardy krakowskiej, w zespole MW2, który dalej działa i nadal się nazywa Młodzi Wykonawcy Muzyki Współczesnej. Wówczas zaczynaliśmy i byliśmy naprawdę młodzi. Działania aleatoryczne, happeningi, pierwsze w gruncie rzeczy formacje instalacyjne czy właśnie teatr instrumentalny – wtedy dopiero się ukazywały. Można więc powiedzieć, że będąc przygotowywany przez rzetelną, krakowską szkołę teatralną, równolegle uczestniczyłem (i to nie tylko w Polsce) w pracach awangardy. Z natury rzeczy wybrałem to, co ona proponowała. Po pierwsze dlatego, że jak każda awangarda - burzyła zastany porządek, co dla młodego człowieka było bliskie nie-

mal odruchowo. Ale też – poprzez prowokacyjne działania – dawała mi ona ten rodzaj energii, której szkoła nie dostarczała. Dość szybko zrozumiałem, że mnóstwo z tego, co mi proponuje działanie awangardowe, będzie moją domeną i że opowiem się po stronie ekstremalnych działań, po stronie ryzyka, po stronie – tak naprawdę – tworzenia poprzez burzenie.

Moje niepokoje

– To nie jest tak, że moje dzisiejsze niepokoje biorą się z powietrza, znikąd. Dzisiaj, jako aktor z pięćdziesięcioletnim stażem, ciągle czynny, już od wielu lat nieetatowy, kontaktujący się ze sporą liczbą reżyserów młodego pokolenia, mogę powiedzieć, że zaczął się we mnie budzić pewien niepokój, a raczej niejasność. Czy jestem u siebie? Gdzie jestem? Czy jestem w teatrze, czyli w przestrzeni, którą organizują i proponują najmłodszy? Fakt jest taki, że z nimi się zawsze bardzo chętnie spotykam i apriorycznie akceptuję ich działania. To jest taki klucz do wstępu w porozumienie, ponieważ twierdzą, że to młodzi ludzie dostarczają mi informacji o świecie, w którym żyję. Aktor nie może się nie orientować. Młodzi ludzie poprzez swoje odruchy, sformułowania, wyrażane poglądy, pasje, dostarczają mi o wiele ciekawszego, pełniejszego, głębszego obrazu rzeczywistości, w której żyję. Jako aktor muszę coś o niej wiedzieć, ponieważ teatr jest powołany do tego, żeby o niej mówić, żeby mówić o dzisiejszym człowieku zanurzonym w rzeczywistości.

Jedno konkretne pytanie zaczęło być natrętne. To pytanie: „Czy teatr musi nadać?”. I co to znaczy? Czy teatr ma ściśle dotyczyć rzeczywistości, o której, wobec której i w której się wypowiada? Na pewno! Czy musi ją cytować? To już mniej. Schaeffer w swoim scenariuszu z pogranicza socjologii sztuki powiada: *Im bliżej sztuka przylega do życia, tym bardziej wulgarne tworzy produkty*. Wulgarne – czytaj także: splaszczone, skrócone, prymitywne. Przytoczę tutaj zdanie autorstwa Petera Brooka, które mnie niegdyś zadziwiło, przede wszystkim ze względu na słownictwo: *To, że świat wypełnia się gównem, nie oznacza, że*



Jan Peszek podczas spotkania z polskimi studentami

teatr i sztuka ma się nim wypełniać. Zmierzam do próby zrozumienia, gdzie pędzimy, czym jest współczesny teatr. Zacząłem od informacji na temat mojej kolebki aktorstwa, która ma źródła właśnie w awangardzie, przecież nie po to, żeby się przechwalać, tylko dlatego, żeby stworzyć pewien grunt, iż nie jestem wyłącznie aktorem wykształconym wedle prawideł szkoły teatralnej.

Każda otwartość ma swoje granice

– Nie chcę być pomówiony o to, iż mam takie skostniałe poglądy i oczekiwania. Jestem ciągle, wydaje mi się, człowiekiem szalenie otwartym i zawsze korzystającym z zaproszenia młodych ludzi. A jednak coś mi zaczyna szwankować, przestaję coś rozumieć. Nawet bardzo niedawno, chcąc sprostać zaproszeniu jednego z obecnie szalenie akceptowanych młodych reżyserów, po raz pierwszy w życiu mi się zdarzyło, że odszedłem z obsady.

Nawet nie jest problemem wymagający i ekscentryczny reżyser. Z tym się już spotykałem wcześniej u Krystiana Lupy, który jako artysta na próbie generalnej przynosił połacie tekstu i trzeba się było z tym zmierzyć. To były takie jakby spektakle w budowie, kiedy jeszcze się adaptuje określone dzieło, tekst jest w ruchu i do końca artysta wykluwa go, wypływa z siebie.

Tu wszakże, w opisywanej sytuacji, spostrzegłem, że właściwie obojętne jest, czy pracuję jedną próbę, czy dziewięć, czy mam tekst, czy go nie mam, mimo że jest zadany niezwykle interesujący temat. W grun-

cie rzeczy jest wszystko jedno, czy ostatecznie ja to zagram, czy ktoś zupełnie inny, w związku z czym nie poczułem się urażony, ale próbuję zrozumieć fenomen takiego zachowania i takiego odniesienia do tworzenia. W zasadzie, czym jestem i czy w ogóle jestem? Na moje pytania słyszałem odpowiedzi, że po prostu jesteśmy w procesie, szukamy. No dobrze, ale przynajmniej gdyby był jakiś węzeł, kierunek, jakieś kłótnie. Efektem finalnym tej sytuacji, kiedy wszystko jest możliwe, był spektakl, który nie był wstydlivy, ale nie był przekonujący. Otóż, siedząc jako widz na wspomnianym spektaklu, ani razu nie byłem świadkiem dostrzegającym w sobie emocjonalną reakcję. Inaczej jest, gdy się umawiamy, że robimy happening, wtedy jest to uczciwa sytuacja. Bo happening w swoim założeniu zawiera działania wywołujące emocjonalne, niespodziewane reakcje i zachowania, ale przede wszystkim zawiera jakby rezerwę, że apriorycznie wszystko może się zdarzyć.

W teatrze nie chcę niczego rozumieć

– W teatrze szukam bardzo prostych wrażeń. Tak zawsze rozumiałem i odczuwałem teatr. Przede wszystkim szukałem jakiegoś elementarnego przeżycia, obojętnie jaki ma ono charakter, czy teatr wywołuje dreszcz, śmiech czy wzruszenie. To jest ta część elementarna katharsis, tego elementu oczyszczenia, bez którego teatr najzwyczajniej w świecie nie istnieje.

Nie chcę nic w teatrze rozumieć, teatr jest spotkaniem człowieka z innymi ludźmi, z drugim człowiekiem. Jeśli między nimi nie zachodzi elementarna emocjonalna reakcja, to moim zdaniem teatru nie ma. Teatr jednocześnie jest pewną organizacją, pewnym porządkiem, pewną dyscypliną. Co wieczór, wedle jakiegoś scenariusza – mniej lub bardziej ścisłego – próbujemy wywołać owe dreszcze w widzu.

Wspomniałem o instrumentalnym, czyli dobrze nastrojonym aktorze. Przez 50 lat kontaktów z Schaefferem cały czas starałem się zrozumieć, co to znaczy: być dobrze nastrojonym. Schaeffer zawsze mi mówił, żeby się nie sprzeniewierzyć sobie. Na początku drogi odpowiadałem, że nie wiem jeszcze, kim jestem. Kazał mi czekać. Ilekroć się spotykaliśmy, powtarzał: *Nie daj się zwariować temu, co cię otacza. Próbuje, jak Schulz, zbudować swój bastion i nie daj byle komu do niego wchodzić z butami.* Mam coraz głębsze przekonanie, że teatr zaczął się pożerać od ogona, że tak naprawdę słabo nawiązuje kontakt z widzem, że zamknął się w sobie i żywi się sobą samym. To, że młodzi zajmują się głównie dekonstrukcją teatru w teatrze, jest dla mnie zupełnie zrozumiałe. Tylko co za tym się kryje? Co naprawdę mają do powiedzenia?

Rozmawiając z moją córką, która z wyboru przestała być aktorką, usłyszałem, że ją już dawno przestała interesować sytuacja w teatrze. Pomijając irytujące ją belkoty i fakt, że wszystko już było, w teatrze według

niej jest jedna rzecz nie do zniesienia. Ludzie siedzą, a ona stoi. Na koncertach ludzie stoją, skaczą, krzyczą. W teatrze siedzą i są skazani na siedzenie. W starożytności przecież wyglądało to zupełnie inaczej i była to zupełnie odmienna przestrzeń.

Młodzi ludzie, którzy głównie dekonstruują, albo z rzadka posiłkują się tekstami napisanymi, za wszelką cenę chcą, aby owe teksty niejako towarzyszyły ich myśli, ich projektowi, zamiast zanalizować treści, które ciągle wstrząsają. Nie zawsze, jednak bardzo często rezygnują z tych filarów naszej literatury. Nie oni jedni. Mogę wymienić wielu młodych reżyserów, z którymi mi się doskonale pracowało, z ich przejrzyistymi projektami. Ale też mogę wymienić sporo działań, które nie stawiają mnie w sytuacji widza przeżywającego, tylko widza analizującego, próbującego rozpaczliwie odpowiedzieć: „o czym to było?”. Odpowiedzieć po spektaklu, ponieważ ten moment refleksji jest – moim zdaniem – właściwy, kiedy zachodzi po, a nie podczas. Kiedy zachodzi w trakcie spektaklu, to nie sędzę, żebyśmy mieli do czynienia z interesującym dziełem teatralnym, bo to dzieło ma na nas działać głównie w przestrzeni emocjonalnej. Tak jak wspominałem, nie chcę nic w teatrze rozumieć, chcę cokolwiek przeżyć, a potem się zastanowić, co się we mnie stało, co to we mnie zrobiło, i może przyjść drugi raz...

Kształcimy aktorów na ulice

– Myślę, że szkoła – choć jest zawsze narzędziem pewnego stanu ubezwłasnowolnienia – bezwiednie lub świadomie kształtuje charakter. Szkoła artystyczna jest zagadnieniem szerokim. Jeśli chodzi o moje postępowanie, to jest ono proste i następujące. Od pierwszych kroków i pierwszej obecności w szkole przystępuję do działań fizycznych. Nie przeprowadzam wykładów, tylko w całym cyklu treningów (które oczywiście nie są wyłącznie fizyczne) studenci – przez uruchamianie swojego ciała – zaczynają się trochę otwierać, zapominają o tej części świadomego działania i uzmysłwiają sobie siebie, swoje odruchy, możliwości, swój rodzaj kontaktowania. Gdy to sobie uświadomią po żmudnej, wielogodzinnej, wielodniowej pracy, następuje moment, w którym padają pierwsze sformułowania: *spójrz na siebie, jaki jesteś i zaakceptuj to, jaki jesteś w swoich odruchach, w swoim wyglądzie*. Dopiero po akceptacji siebie młodzi ludzie wkraczają na teren w miarę swobodnego działania, swobodnego odreagowywania, swobodnego, nieograniczonego jakimiś kategoriami działania. W przypadku szkoły artystycznej kreowanie charakteru nazwałbym uświadomieniem sobie własnej osobowości, docieraniem do niej. To są czasami całe lata i dopiero poprzez grane role człowiek sobie uzmysłwia siebie.

Z perspektywy lat widzę, że teatr jest ludziom coraz bardziej potrzebny. Kiedy zdawałem do szkoły, na dwadzieścia kilka miejsc zgłaszało się 100–120 osób,

a skończyło trzynaście. W tej chwili jest blisko trzy tysiące chętnych na tę samą ilość miejsc. Oczywiście nie bez znaczenia jest owa iluzja łatwej kariery, dużych gaży, natychmiastowej akceptacji. Ci ludzie pędzą na zbity kark i są pewni, że natychmiast zrobią światowe kariery. Tymczasem po skończeniu krakowskiej szkoły „zaczepienie” otrzymuje jedna osoba, pół osoby, ćwierć osoby, czyli pół etatu, ćwierć etatu. Pozostali są skazani na wycieranie bruku w castingach, wiszenie na klamkach u producentów. I z dnia na dzień, nie wiadomo kiedy, ulegają psychicznej degradacji.

Reasumując: w Polsce mamy we Wrocławiu, Krakowie, Warszawie, Białymstoku pochodne filie oraz mnóstwo prywatnych szkół, masami produkujących aktorów, którzy nigdzie nie otrzymają miejsca zasługującego na owych wykształconych artystów dramatycznych. W gruncie rzeczy kształcimy aktorów na ulice. Co więcej, sposób, w jaki aktorzy są kształceni i tego efekty, pozostają w całkowitej sprzeczności z wymaganiami młodych reżyserów wobec aktorów. Tak naprawdę szkoły teatralne produkują i edukują aktorów tradycyjnych. Tutaj jest poważny problem. Mogę oczywiście brać odpowiedzialność tylko za to, co sam robię w szkole. Natomiast na pewno wzrost liczby studentów i ludzi, którzy chcą być w teatrze, to także efekt tego, że – jak podejrzewam – oni traktują teatr jako instrument o silnym autoterapeutycznym działaniu. To są coraz większe masy słabych osobników. To jest tak, jakby społeczeństwo miało coraz bardziej wiotkie własne kręgosłupy, nie tylko w sensie fizycznym. Z całą pewnością w Polsce mamy za dużo szkół teatralnych, ewidentnie jest nadprodukcja aktorów.

Poszłość, czyli mielenie śmietnika

– W posłowie ostatnio wydanej książki Nabokova przeczytałem o problemie znaczenia słowa „poszłość”. Rosjanie słowem „poszłość” (które nie daje się dobrze przetłumaczyć na inne języki), określają wulgarność, trywialność, banał. To jeden z tematów nieustannie powracających w twórczości Nabokova, jedno z głównych kryteriów oceny ludzi, ich działalności i dzieł. Sztuka okazuje się bardziej żywa niż życie. Słowo bardziej realne niż rzecz. Świat tego, co idealne, okazuje się bardziej prawdziwy niż to, co rzeczywiste. „Poszłość” to nie tylko to, co w oczywisty sposób tandetne, ale to, co fałszywie ważne, fałszywie piękne, fałszywie mądre i fałszywie pociągające. Aktorzy po 2–3 odcinkach telenoweli zaczynają wierzyć, że biorą udział w jakimś ważnym przedsięwzięciu. Mało tego, idąc za hasłem owego posłannictwa telewizyjnego, pakują się w to, a mając kruchą odporność – mieli ten śmietnik coraz bardziej.

Mam za sobą dziesiątki teatrów, które zmieniałem jak rękawiczki w poszukiwaniu ciągle nowych bodźców. Wierzę, że jeśli zachowuje się stabilny kręgosłup, stąpa się po własnym terenie w tym bastionie, to recep-

cja zjawisk, które aktualnie się zdarzają w teatrze, jest dość prosta. To nie jest wyłącznie cyniczny wywód. Tak było zawsze. W latach 70. kwitły spektakle od produkcyjniaków, przez teatr nadworny, jak ja go nazywam, którego już serdecznie nie cierpię, gdzie przemycano jakieś metaforki, jakieś ćwierćsugestie, by mówić o czymś ważnym politycznie. Średnio odnoszę się do koncepcji, że teatr ma społeczne posłannictwo.

Na tej zasadzie działały właśnie *Dziady* Kazimierza Dejmka. Pamiętam doskonale ten spektakl. Niech mi wybaczy świętej pamięci Dejmek, to był straszny spektakl. Katastrofalny w sensie gustu. Kometa jedna przeleciała przez to cmentarzysko. To był Konrad Gustawa Holubka, wielki monolog wadzenia się z Bogiem. Od początku, kiedy otworzył usta, wszystko przestało być ważne, to był odpowiedni kontekst historyczny, i tak to było powiedziane: że się zrywa te pęta, a Boga się nazywa carem... To nie mogło zakończyć się inaczej, jak tylko skazaniem Dejmka na banicję. Ale to był okropny spektakl. Potem nastąpiły te wielkie przełomy, pojawił się Grotowski, Tomaszewski, we Wrocławiu Międzynarodowy Festiwal Teatru Otwartego Bogusia Litwińca. Awangardowe teatry z Japonii, pamiętam, były wstrząsami.

Każdy reżyser ma swojego krytyka-satelitę

– Zawsze było tak, że wokół określonych osobników, zjawisk w teatrze, powstawały określone koterie, które się żywiły i dzięki tym zjawiskom żyły. Nie chcę powiedzieć, że na bezrybiu i rak – ryba. Młodzi reżyserzy mają grupę swoich dziennikarzy, którzy zawsze napiszą dobrze. To jest zjawisko permanentne. Jest tak, że nagle mija jakiś mit. Owa hydra rynku i nowych twarzy, nowych zjawisk otwiera którąś swoją paszczę i już potrzebuje tego barana, tę ofiarę, no i myk. Trafiała się Kleczewska, zrobiła tam coś z wykorzystaniem innego języka, coś wstrząsającego i się zaczęło niesamowite pisanie. Teraz ten proces jest coraz szybszy, pojawia

się ktoś nowy, kto mówi innym językiem albo ma inny charakter pisma i nawet w gruncie rzeczy się rzetelnie nie zagłębia w papiery. Twierdzę, że w Polsce nie mamy rzetelnej krytyki. Mamy krytykę satelitarną. Wspomniani reżyserzy mają swoich satelitów, którzy piszą o nich dobrze i ich się dosłownie używa. To jest najnaturalniejsza dbałość o ukierunkowanie opinii. Gdyby zapytać młodego reżysera: *Trudno, jestem idiotą, proszę wytłumacz mi krótko, do czego zmierzałeś, co chciałeś w widzu poruszyć?* Dają sobie rękę obciąć, że zaczną się godzinny bełkot. Tylko że to wszystko ma krótkie nogi. Nie pozostaje nic, tylko czekać. Przeczekać.

Relacja: **Martyna Kasprzak**

26. Ogólnopolski Festiwal Teatrów Lalek

Opole 6 - 11 maja 2013



Plakat XXVI Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Lalek, który trwał w Opolu w dniach 6–11 maja br. (autor plakatu: Leszek Oładak)

Martyna Friedla

Podróż do brzegów wanny

Paweł Passini zaprasza na koncert niespełnionych życzeń. Kto widział *Morrisona/Śmiercisyna*, ten zrozumie, że nie ma tu mowy o rozczarowaniu spektaklem, lecz o odwróceniu: oczekiwania mają twórcy wobec widzów, tak jak postaci spektaklu wobec Morrisona.

Przy drzwiach wejściowych do małej sali teatralnej Jim Morrison, a może jednak Sambor Dudziński, gra na perkusji utwór *Riders on the storm* w swobodnej aranżacji. Obok niego, na półce, postawiono książkę niewielkich rozmiarów, poświęconą zespołowi The Doors. Do czego miałaby służyć Morrisonowi taka lektura? Przecież niepotrzebna mu narracja, sam to przeżył. Dystans, jaki wytworzył ten niewielki, ale istotny rekwizyt, podyktuje cały spektakl: Morrisona już nie ma, przeszedł „na drugą stronę”. Dajmy sobie spokój i zajmijmy się sobą.

Przechodzimy wąskim tunelem, którego ściany przesłonięte są czerwonymi kotarami, podobnymi do aksamitu. Jakbyśmy mieli urodzić się na nowo, choć trafiamy do krainy dusznej od atmosfery śmierci. Po wejściu do sali znajdujemy się w Lynchowskiej przestrzeni wizji, wyobrażeń i mistycyzmu, niczym z *Miaśteczka Twin Peaks*. Podłoga pokryta wykładziną w czarno-białą szachownicę. Podwójna warstwa czerwonego tiulu, zwieszona na metalowym stelażu dzieli przestrzeń sceniczną na kilka mniejszych, mnożąc ściany niedostępności. Jak w narkotycznej wizji lub śnie, nasz wzrok będzie błędził, nie będąc w stanie wszystkiego dokładnie dostrzec. Prawdziwe pozostają tylko nasze emocje.

Można przypuszczać, że jest to niedosłowne przywołanie genezy nazwy zespołu: *The Doors of perception*. Ludzka percepcja nie ma dostępu do nieskończoności. Reżyser manipuluje zmysłami widzów. Na tiulowych firanach, sofie, a nawet postaciach w trakcie spektaklu wyświetlane są animacje, które tworzą wizualne palimpsesty. Pierwsza zabiera nas na spacer po cmentarzu Père-Lachaise, gdzie pochowany został Morrison.

Na środku sceny stoi wanna. Woda, która się w niej znajduje, wywołuje skojarzenia z tradycyjnym i magicznym myśleniem o medium, łączącym z innym światem. Jest w centrum przeżywania. W niej leży zmarły Morrison, gdy znajduje go Pamela Courson. Do niej zwracają się zrozpaczeni bliscy, kiedy chcą nawiązać z Jimem kontakt. W wannie Morrison spędza większość czasu, a wychodzenie okazuje się za każdym razem pozorne. Nigdy nie jest to powrót do żywych.

Morrison/Śmiercisyn to opowieść o nieistnieniu,

braku, pustce i ogromnej potrzebie jej wypełnienia. Postać Morrisona zmitologizowana przez media i fanów nie wraca na scenę ściągnięta siłą wyobrażeń po to, by pokazać, że jest wciąż żywa. Nie bierze odpowiedzialności za przedziwne boskie monstrum, które stworzyła pośmiertna machina. Razem z Morrisonem umarł bunt, którego nie przywróci żadna instrukcja obsługi. Eksperyment nie wypalił: słowa powtórzone nie mają w sobie życia.

Bunt jest tutaj cennym skarbem. Passini przywołał postać Golluma, nieumarłego, którego przy życiu trzyma żądza, pragnienie i tęsknota za skarbem. Przywołanie jest subtelne, ale też przeprowadzone w zaskakujący sposób. Głos Morrisona się zmienia nagle, zniekształcona modulacja przechodzi w charakterystyczną chrypę o wysokim tonie, a ciało przyjmuje posturę znanej z powieści Tolkiena postaci. Gollum prowadzi do kolejnego skojarzenia z pojawiającym się w teatrze lalkowym motywem *Golema*, zaczerpniętym z tradycji żydowskiej. Mówi ona o losie przeciwnym powyższemu: o wskrzeszeniu martwego i władzy wskrzeszającego nad tym pozornym życiem. Bliscy Morrisona stwarzali (oczywiście nie w znaczeniu dosłownym) jego postać na nowo, nie mogąc pogodzić się z jego śmiercią.

Żadna jednak kreacja nie przywróci człowieka do życia. Pozostanie w sferze wyobrazeniowej jako niaturalny twór. Zgodnie z legendą – człowiek stworzył *Golema*, naśladując boską moc twórczą. Nic jednak, co człowiek stworzy na boskie podobieństwo, nie będzie zdolne do prawdziwego życia i nie będzie posiadało własnej woli. Czyni to z niemego *Golema* istotę podobną teatralnej kukle, która porusza się tylko dzięki ruchom animatora. Taką kukłą staje się postać Morrisona, który w swoim imieniu po śmierci już nic nie może powiedzieć.

Członków zespołu i menedżera (Łukasz Bugowski w roli Danny’ego Sugermana) ogarnia drętwota, zmęczenie i rezygnacja. Żyją energią pochodzącą z ostatniego oddechu Morrisona i lękiem o jego utratę. Zostaje nam przedstawiony niemal dosłowny obraz uzależnienia. Istotna jest tu forma, w jakiej zbudowano niepokojącą scenę reanimacji zespołu. Na wannie siedzi Jim. Za nim, stojąc na brzegach wanny, perkusista John Densmore (Krzysztof Jarota) animuje swojego lalkowego sobowtóra, grając na głowie Morrisona. Prawa noga jest gitarą, na której gra lalką Robby Krieger (Miłosz Konieczny), a na lewej nodze-keyboardzie oddaje się żywiołowi kukła Raya Manzareka (Aleksandra Mikołajczyk). Ich ruchy są mechaniczne, polegają

na drobnych, szybkich zrywach, tworząc groteskową, ruchomą konstrukcję. Części ciała Morrisona są potraktowane instrumentalnie, bo stanowi on trzon, bez którego nie ma zespołu. Z drugiej strony jest to trzon martwy (udawana gra muzyków), na którym, jak pasażerzy, wiszą równie już trupie lalki.

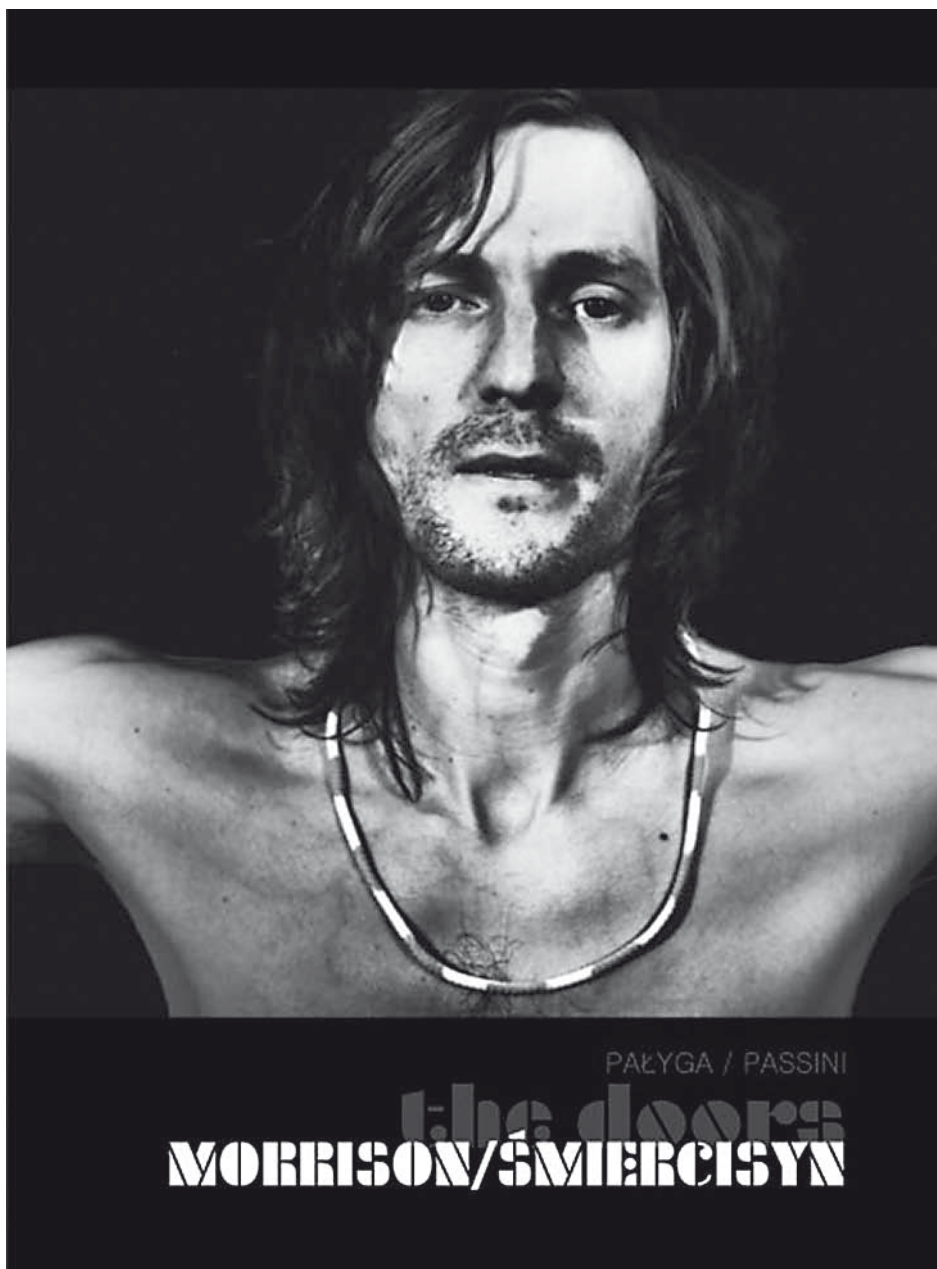
Passini prezentuje też inny – istotny dla kultury amerykańskiej – motyw, zaczerpnięty z powieści L. Franka Bauma, *Czarnoksiężnik z Krainy Oz*. Członków zespołu przebiera w kostiumy Stracha na Wróble, Błaznanego Drwala i Tchórzliwego Lwa. W powieści postaci te skarżą się na brak pewnych przymiotów, kolejno: rozumu, serca i odwagi. Podczas wyprawy do tytułowego Czarnoksiężnika okazuje się jednak, że mimo przekonania o własnych niedoskonałościach, są w stanie sprostać wyzwaniom, okazując zdolność logicznego myślenia, współczucia i pokonując strach. Od Czarnoksiężnika oczekują pomocy, dostając w zamian *placebo*. Mimo to są przekonani, że naprawiono ich wady i stają się zdolni do pełnego, samodzielnego życia. Wybawca może być cyrkowcem i oszustem; najważniejsze, by iluzja, którą stwarza, prowadziła do prawdziwych emocji i nadawała życiu sens.

Siła, którą emanuje postać Morrisona wyzwala podobne poruszenie i oczekiwania. Poprzez swój bunt był on symbolem swobody, a dzięki charyzmie scenicznej potrafił poetycki talent przemienić w falę, zabierającą ze sobą rzesze chłonnych ludzi, potrzebujących lidera. Po śmierci Jima członkowie zespołu stają się emocjonalnie niesamodzielni, pozbawieni ducha, który wypełniał ich i inspirował, nawet jeśli był to duch zatruty. Lekiem staje się mit, a jego tworzenie to jedyna praca warta poświęcenia i energii.

Spektakl Passiniego nie jest demitologizacją historii o Morrisonie. Mit jest przecież formą racjonalizacji, próbą oswojenia rzeczywistości, nawet jeśli paradoksalnie prowadzi do przejawów mistycyzmu. *Morrison/Śmiercisyn* traktuje trochę o samej żałobie, bardzo o bólu, który dyktuje każdy krok, a najbardziej o nieumiejętno-

ści życia. Mit, który narósł wokół Morrisona, wiąże się właśnie z jego talentem do mocnego przeżywania życia. Tyle że nawet jeśli takowy mit istniał, to w obecnym mozaikowym świecie nie ma już na niego miejsca. Nie będziemy reanimować mitu, który już się rozplynął. Morrisona już nie ma, musimy wyjść, bo naszym zadaniem do odrobienia, wyartykułowanym dosłownie, jest życie.

Teatr Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki w Opolu: *Morrison/Śmiercisyn*. Tekst: Artur Pałysa, reżyseria: Paweł Passini, scenografia: Zuzanna Srebrna, projekcje: Maria Porzyc, opracowanie muzyczne: Paweł Passini, Sambor Dudziński.



PAŁYGA / PASSINI
the doors
MORRISON/ŚMIERCISYN

Plakat z przedstawienia *Morrison/Śmiercisyn* w Teatrze Lalki i Aktora w Opolu

Antoni Maziarz

Takiej Zemsty w Opolu jeszcze nie było!

Kiedy 7 kwietnia br. spektakl *Zemsty* w wykonaniu Teatru Polskiego z udziałem Daniela Olbrychskiego i Andrzeja Seweryna kończył 38. Opolskie Konfrontacje Teatralne, pewnie niewielu spodziewało się, że jeszcze w tym samym roku ta klasyczna komedia Aleksandra Fredry skupi ponownie uwagę opolan. Ba, przebiję ją swą oryginalnością. Pomysł zmierzenia się z rolami najbardziej rozpoznawalnych w historii polskiego teatru postaci rzucił prezydent Lions Club Opolo – **Andrzej Czernik**, twórca teatru EKO STUDIO, powierzając to zadanie opolskim notablom. Marszałek **Józef Sebesta** został Cześnikiem Raptusiewiczem, wojewoda **Ryszard Wilczyński** – Rejentem Milczkiem, wiceprzewodnicząca Rady Miasta **Violetta Po-**

rowska – Klarą, posłowie: **Tomasz Garbowski** – Wacławem, a **Ryszard Galla** – Dyndalskim, deputowana do Parlamentu Europejskiego **Danuta Jazłowiecka** – Podstolina, wiceminister spraw wewnętrznych **Stanisław Rakoczy** – Śmigalskim, prezes Górażdże Cement SA **Andrzej Balcerek** i wiceprezydent Opola **Krzysztof Kawalko** – murarzami. Rektor naszej Alma Mater **prof. Stanisław S. Nicieja** wcielił się w postać Józefa Papkina.

Propozycję występu w *Zemście* aktorzy-amatorzy przyjmowali z lękiem. Przy nawale obowiązków już samo podjęcie się takiego zadania przez stale zajętych VIP-ów budzi szacunek. Zawodowi aktorzy poświęcają na przygotowanie tego typu przedstawienia ok.



Specjalny spektakl "ZEMSTA"

w reżyserii Andrzeja Czernika - Prezydenta Lions Club Opolo. Teatr im J. Kochanowskiego w Opolu, 27.04.2013

OBSADA

Cześnik – **JÓZEF SEBESTA** - Marszałek Województwa Opolskiego • Klara – **VIOLETTA POROWSKA** – Wiceprzewodnicząca Rady Miasta Opola (PiS)
 Rejent – **RYSZARD WILCZYŃSKI** – Wojewoda Opolski • Wacław – **TOMASZ GARBOWSKI** – Poseł na Sejm RP (SLD)
 Podstolina – **DANUTA JAZŁOWIECKA** – Europosłanka (PO) • Papkin – **STANISŁAW NICIEJA** – Rektor Uniwersytetu Opolskiego
 Dyndalski **RYSZARD GALLA** – Poseł na Sejm RP (MN) • Śmigalski – **STANISŁAW RAKOCZY** – Wiceminister Spraw Wewnętrznych
 Murarz I – **ANDRZEJ BALCEREK** – Prezes Górażdże Cement S.A. • Murarz II **KRZYSZTOF KAWAŁKO** – Wiceprezydent Miasta Opola



Lions Club Opolo - Organizator przedsięwzięcia charytatywnego • Cel - pozyskanie środków na pomoc dla dzieci niewidomych

Plakat opolskiej *Zemsty*



Violetta Porowska (Klara), Tomasz Garbowski (Wacław) oraz Stanisław S. Nicieja (Papkin) w scenie zbiorowej. Fot. Paweł Stauffer

50 prób! W Opolu – od pojawienia się pomysłu (marzec br.) do spektaklu (27 kwietnia) minęło zaledwie kilkadziesiąt dni. W tym krótkim czasie, w trakcie kilku prób, opolscy notable musieli nauczyć się nie tylko interpretacji swoich ról (niekiedy, jak w przypadku Papkina, bardzo obszernych), ale przede wszystkim współdziałania w kolejnych scenach, „czucia partnera”, jak mówi prof. Stanisław S. Nicieja. Wprawdzie na co dzień pracują w zespołach, kierują nimi, ale gra w teatrze – to materia nowa i niełatwa. Także z racji

specyficznych strojów. Kontusze, XVIII-wieczne frauki, szable u boku, ciężkie suknie Podstoliny – noszą się inaczej niż garsonki i garnitury, do których nawykliśmy. Trudność tym większa, że aktorzy przywdziali je po raz pierwszy podczas próby generalnej, przeprowadzonej w sobotni poranek 27 kwietnia.

Jak regularnie zbierać w jednym czasie i miejscu najważniejsze osoby w województwie? To zapewne zasługa pomysłodawcy i inscenizatora tego wydarzenia – wspomnianego Andrzeja Czernika. Ważna też była motywacja – wszak cały dochód

z imprezy przewidziano na wsparcie dzieci niewidomych i niedowidzących. W ten sposób nasi notable zdobyli nie tylko doświadczenia sceniczne, ale także przypomnieli o chlubnej tradycji angażowania się elit w dzieło pomocy słabszym. Na dochód z przedsięwzięcia (ponad 40 tys. zł), oprócz zysku ze sprzedaży biletów, złożyły się środki pozyskane z aukcji obrazów opolskich artystów oraz cegieł pochodzących z muru wykorzystanego jako element scenografii. Zbierano także datki do skarbonki. Pozyskane środki przeznaczone zostały na zakup maszyn brajlowskich. Należy podkreślić, że większość prac przy spektaklu



Murarze: (od lewej): Krzysztof Kawałko i Andrzej Balcerek. Budowę muru nadzoruje Rejent Milczek (Ryszard Wilczyński). Fot. Janusz Słodczyk

wykonano nieodpłatnie. Na zakończenie przedstawienia, oprócz owacji zachwyconych widzów, jego twórcy otrzymali „Złote Różę Aktorskie”. Spotkanie uświetniły występy Opolskiego Chóru Kameralnego pod dyrekcją **Mariana Bilińskiego** (członek Lions Club) oraz Opolskiego Zespołu TAKE STYLE.

Zemsta w reżyserii Andrzeja Czernika, pomimo specyficznej obsady aktorskiej, była wierna komedii hrabiego Fredry. A ta jest na tyle uniwersalna, że o jej aktualności nie muszą stanowić odwołania do bieżącej polityki. Niemniej – i tych nie zabrakło, co publiczność kwitowała gromkim aplauzem. Niewątpliwie zadziałał kunszt komediopisarza, bo chociaż w tym roku mija 180 lat od powstania utworu, jego percepcja wciąż jest żywa.

Rektor Stanisław S. Nicieja podkreśla znaczenie wsparcia, jakie emanowało z widowni. A ta rzeczywistość – entuzjastycznie i ciepło reagowała zarówno na aktorski kunszt, jak i zdarzające się potknięcia. Dla profesora rola Papkina to wyzwanie, a zarazem zaszczyt porównania do niezapomnianych odtwórców tej kreacji. Tadeusz Kondrat, Wojciech Pokora, Jan Peszek czy wreszcie Roman Polański stworzyli kanon polskiej interpretacji tej teatralnej postaci. To także kolejna wyprawa na ukochane Kresy, z którymi profesor jest kojarzony. Wydaje się, że zgłębianie tekstu z perspektywy

aktora skłania do refleksji ułatwiających wchodzenie w mentalność rodaków sprzed niemal dwustu lat. Dla historyka to dodatkowe doświadczenie, uzupełniające standardowy materiał archiwalny.

Tego wieczoru Uniwersytet Opolski reprezentował nie tylko rektor w brawurowo odtworzonej roli Papkina. Widzów witali członkowie opolskiego Lions Club, a wśród nich **prof. Zenon Jasiński**, **Anna Lysek** oraz **prof. Janusz Słodczyk**. Natomiast **profesor Dorota Simonides** w przebraniu Pytii wróżyła zarówno z przeszłości, jak i przyszłości.

Śpiewający i przygrywający sobie na gitarze rektor Nicieja, radna Porowska z postem Garbowskim w objęciach, wojewoda Wilczyński i marszałek Sebesta kruszący lody niechęci, prezydent Kawalko z prezesem Balcerkiem w roli murarzy – to obrazy i sceny niezapomniane, warte zobaczenia nie tylko z racji charytatywnego celu przedsięwzięcia. Szkoda więc, że to niepowtarzalne zdarzenie odbiło się tak słabym echem w opolskich mediach. Pośród codziennego natłoku sytuacji konfliktowych, taką *Zemstę* – zakończoną gremialnym i wspólnym okrzykiem *Zgoda! Zgoda!* chcielibyśmy oglądać częściej.

Antoni Maziarz



Zgoda! Zgoda! Tak godzili się na scenie wojewoda Ryszard Wilczyński (Rejent Milczek) i marszałek Józef Sebesta (Czesława Raptusiewicz). Fot. Janusz Słodczyk

Włodzimierz Kaczorowski

Dlaczego Jadwiga nie pokochała Jagiełły?

Na początku XVII w. Claudio Rangoni, nuncjusz papieski, w swej *Relacji o Królestwie Polskim* tak przedstawił historię Wielkiego Księstwa Litewskiego¹:

Wielkie Księstwo Litewskie, o którym nic obszernie nie mówią ani pisarze polscy, ani kosmografowie oraz geografowie dawni i nowożytni², jest tak rozległe, iż przechodzi Wielką i Małą Polskę. Rządziło się ono zawsze samo przez się, pozostając pod własnymi książętami, wojując już z Moskwą, już z Polską. Na koniec, gdy zszedł Ludwik³, król węgierski i polski, zostawiając jedyną córkę Jadwigę⁴, i ta została na królową koronowana, ponieważ dla płci swojej i wieku nie była zdolna do rządów, zamyślono jej dać męża. A chociaż Wilhelm, arcyksiążę austriacki, był do tego przeznaczony przez króla Ludwika⁵, który go w tym celu wychował na swym dworze, ten atoli nie podobał się Polakom, zarówno dlatego, iż księstwo jego było dalekie, wskutek czego wypadaloby mu zawsze zanadto się oddalać od Królestwa, jak i dlatego, iż nie miał on bogactw ani też sił dostatecznych do wspierania Królestwa w razie jakowejś potrzeby. Wówczas to Jagiełło⁶, wielki książę litewski, wyprawił posłów do Polski z żądaniem, aby go uczyniono królem i zaślubiono z Jadwigą, obiecując przyłączyć Wielkie Księstwo Litewskie do Królestwa, co Polacy bardzo chętnie przyjęli, zważając na wielkie korzyści, jakie by z tego połączenia musiały wyniknąć. Lecz Jadwiga, brzydząc się Ja-

gięłłą jako poganinem i człowiekiem mającym dziką powierzchowność (nie golił się bowiem), a nadto kochając Wilhelma, z którym za życia ojca żyła tak poufale, że w dziecięcym jeszcze wieku sypiali z sobą razem, i któremu została przyrzeczona pod karą 200 000 skudów, a chociaż posłowie przyrzekali, że ich pan zostanie chrześcijaninem, zapłaci te 200 000 skudów i przeniesie cały swój skarb do Polski – nie przystawiała mimo tego na małżeństwo, które na koniec, gdy Elżbieta, matka, uznała za pożyteczne Królestwu i chrześcijaństwu, przyszło do skutku z pomienionym księciem. Ten, wezwany na zaślubiny przez Polaków, żądających uzupełnienia warunków, aby nie tylko sam chrzest przyjął, ale także jego poddani, tudzież przyłączył Wielkie Księstwo Litewskie do Korony, przybył do Krakowa w 1386 roku. A chociaż Wilhelm, przez wieści czy przez listy Jadwigi, jak się przypuszcza, powiadomiony o tym, co się działo, przyjechał do Krakowa w wielkiej świcie i z przepychem, aby zapobiec temu i przeszkodzić, aczkolwiek go sama młoda królowa nawiedziła w klasztorze franciszkańskim i tam z nim, jak piszą, publicznie tańcowała, nie był bowiem przypuszczony do zamku przez kasztelana i innych senatorów – atoli poznawszy, że przedniejsi panowie mu nie sprzyjają, zmuszony był powrócić do domu, a Jagiełło po chrzcie, przyjętym uroczyście z rąk Bodzanty⁷, arcybiskupa gnieźnieńskiego, z imieniem Władysława, został koronowany na króla i zawarł małżeństwo z Jadwigą. Po czym tenże Jagiełło z cudowną gorliwością i zapalem do religii chrześcijańskiej, udawszy się na Litwę, dopełniając drugiego warunku i stając się apostołem ku nawróceniu jej mieszkańców, ponosił najcięższe trudy, wreszcie kazawszy zagasić ogień uważany za święty przez ową dzicz, pozabijać węże i powycinać lasy, które ona czciła, i dotykalnie jej okazawszy czcze jej przesady przez tę czynność dokonaną, przeciwko jej mniemaniu, bez niczyjej szkody – namówił mieszkańców Litwy do przyjęcia wiary chrześcijańskiej, co też uczynili.

Pozostało więc tylko wcielenie Wielkiego Księstwa Litewskiego do Królestwa Polskiego. To wszakże, nie podobając się ponoć całkiem szlachcie litewskiej, jak to utrzymują niektórzy pisarze, zostało całkowicie dokonane dopiero przez Zygmunta Augusta na sejmie

¹ C. Rangoni, *Relacja o Królestwie Polskim z 1604 roku*, oprac. J. Byliński, W. Kaczorowski, Opole 2013, s. 26–28.

² Dziejami Litwy zajmowało się wielu kronikarzy i historyków. Pierwszym Polakiem, który opisał dzieje Litwy od najdawniejszych czasów, był Maciej Strykowski (1547–1593), autor obszernego dzieła: *O początkach, wywodach, dzielnościach, sprawach rycerskich i domowych sławnego narodu litewskiego, żemoidzkiego i ruskiego, przedtym nigdy od żadnego ani kuszone, ani opisane, z natchnienia Bożego a uprzejmie pilnego doświadczenia*, Królewiec 1583; najnowsza edycja w opracowaniu J. Radziszewskiej – Warszawa 1978.

³ Ludwik I Andegaweński Wielki, zwany Węgierskim (1326–1382), król węgierski i polski.

⁴ Jadwiga Andegaweńska (1374–1399), królowa polska, była trzecią i najmłodszą córką króla Ludwika Andegaweńskiego.

⁵ Leopold III Austriacki zwrócił się pismem z 18 VIII 1374 r. do Ludwika Andegaweńskiego o rękę Jadwigi dla swego najstarszego syna Wilhelma; Ludwik potwierdził ten projekt 4 III 1375 r., a 15 VI 1378 r. zaręczył Jadwigę z ośmioletnim Wilhelmem Habsburgiem; 16 X 1384 r. Jadwiga przybyła do Polski i została koronowana w Krakowie.

⁶ Władysław II Jagiełło (1351–1434), wielki książę litewski, na mocy układu w Krewie z 1385 r. poślubił Jadwigę i zasiadł na tronie krakowskim w 1386 r.

⁷ Bodzanta (ok. 1320–1388), arcybiskup gnieźnieński, wielkorządca krakowski, zwolennik unii polsko-litewskiej, ochrzcił Władysława Jagiełłę.

zwołanym do Lublina w 1569 roku⁸, z pozostawieniem atoli Wielkiemu Księstwu Litewskiemu praw jego własnych, a z urządzeniem urzędników i senatorów krajowych w ten sposób i z takimi nazwami zupełnie jak w Polsce. Unia ta, aczkolwiek nastąpiła za zezwoleniem szlachty, nie podoba się wielu, którzy utrzymują,



Herb Litwy – Pogoń na rewersie karty tytułowej rękopisu łacińskiego przekładu I Statutu litewskiego z 1529 r., reprodukcja z: J. Bardach, *O Rzeczpospolitą Obojga Narodów*, Warszawa 1998, s. 41

iż niemało ujęła sławy krwi litewskiej, dając jej głowę obcą i łącząc ją z innym narodem jakoby dla bojaźni lub słabości. I dla tej przyczyny twierdzą niektórzy, że po jej zawarciu Mikołaj Radziwiłł⁹ i Jan Chodkiewicz¹⁰, najpierwsi i najmocniejsi panowie Wielkiego Księstwa Litewskiego, uciekli z Lublina w nocy z bardzo wielkim podejrzeniem o jakiś przeciwny powód do tego, co przecież nie nastąpiło. Stąd też aż po dziś dzień ujawnia się w mowach niektórych panów, że nie ustąpiło niezadowolenie, szczególnie w Mikołaju Krzysztofie Radziwiłł¹¹, księciu na Ołyce, synu wspomnianego Mikołaja (...).

Proces scalania Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego trwał długo, niemal 185 lat – od

⁸ Sejm obradował w Lublinie od 10 I do 12 VIII 1569 r.

⁹ Był to Mikołaj Radziwiłł zwany „Rudym” h. Trąby (1512–1584), wojewoda trocki i hetman wielki litewski, potem wojewoda wileński i kanclerz; pomimo wezwań nie pojawił się na sejmie unijnym i nie podpisał aktu unii lubelskiej z 1 VII 1569 r.

¹⁰ Jan Hieronim Chodkiewicz h. Gryf z mieczami (ok. 1537–1579), starosta żmudzki; opuścił Lublin 1 III 1569 r.

¹¹ Mikołaj Krzysztof Radziwiłł zwany „Sierotką” h. Trąby (1549–1616), marszałek wielki litewski, potem wojewoda trocki; początkowo odmówił przybycia do Lublina, stosował bierny opór, lecz zagrożony konfiskatą dóbr włączonych do Korony podpisał akt unii lubelskiej.

roku 1385 do 1569. Aby mogła zostać zawarta unia polsko-litewska w Krewie w 1385 r., ofiarę ze swojej dziewczęcej miłości do Wilhelma Habsburga musiała złożyć Jadwiga Andegaweńska (jak głosi legenda – była to jej największa miłość). W wieku pięciu lat została ona zaręczona z Wilhelmem. Polscy możnowładcy, świadomi wagi przyszłego małżeństwa, oponowali przeciwko związaniu Królestwa Polskiego z Habsburgami. Panowie krakowscy mieli własnego kandydata na męża dla młodej Jadwigi. Był nim Jagiełło, władca pogańskiej Litwy. Tuż po zawarciu unii w Krewie, przewidującej małżeństwo litewskiego księcia z Jadwigą, Dobiesław Kurozwęcki (zm. 1397), kasztelan krakowski i jeden z wielkorządców z okresu panowania Ludwika Węgierskiego, zabronił wjazdu na zamek w Krakowie Wilhelmowi, przybytemu w sierpniu



Herb Królestwa Polskiego – Orzeł pod koroną z herbami ziem polskich na skrzydłach, drzeworyt, reprodukcja z: M. Bielski, *Kronika wszystkiego świata* [...], Kraków 1554

1385 r. pod opieką pełnomocnika królowej Elżbiety, Władysława Opolskiego¹². Wilhelm musiał zamieszkać w położonym u stóp Wawelu domu podkomorzego krakowskiego Gniewosza z Dalewic (zm. 1406)¹³.

¹² A. Strzelecka, *Kurozwęcki Dobiesław*, w: *Polski słownik biograficzny*, t. 16, Wrocław 1971, s. 267–269.

¹³ *Eadem*, *Gniewosz z Dalewic*, *ibidem*, t. 8, Wrocław 1959–1960, s. 143–144.

Kiedy zaś mimo to stronnictwo popierające Wilhelma wprowadziło go na zamek 23 sierpnia 1385 r., aby zrealizować małżeństwo nieletniej królowej, znowu panowie, a więc w pierwszym rządzie Kurozwęcki, z Wawelu go usunęli. Jak podaje Jan Długosz, Jadwiga próbowała uciekać za Wilhelmem. Jednak już pół roku później została żoną Władysława Jagiełły, a ceremonia zaślubin odbyła się w katedrze na Wawelu.

Jan Matejko (1838–1893) namalował obraz zatytułowany *Królowa Jadwiga i Dymitr z Goraja*¹⁴. Dymitr z Goraja (ok. 1340–1400), podskarbi koronny i marszałek koronny, był opiekunem Jadwigi. Okazując wnikliwość i znajomość jej charakteru, perswazją zatrzymał ją u bram zamku krakowskiego w chwili, gdy chciała ująć do narzeczonego Wilhelma¹⁵. Obraz Matejki przedstawia właśnie królową Jadwigę z toporem w rękę, próbującą rąbać bramę. Dymitr z Goraja klęczy przed królową, usiłując odwieść ją od tego zamiaru. Podobną scenę przedstawia obraz *Królowa Jadwiga i Dymitr z Goraja* Wojciecha Gersona (1831 – 1901), który w swojej twórczości malarskiej podejmował często te same tematy historyczne, co Matejko¹⁶.

Małżeństwo królowej Jadwigi z Jagiełłą zapoczątkowało unię Korony z Litwą – państw do tej pory skłóconych. Od tego momentu zaczęła się między nimi współpraca, ale związek ten nie był wolny od spięć i nieporozumień między Polakami i Litwinami.

U podstaw związku Polski z Litwą – jak już zaznaczyliśmy – leży akt podpisany w Krewie 14 sierpnia 1385 r., określający ogólne ramy, w jakich miało działać utworzone w ten sposób wspólne państwo. Wszystko zależało od wyegzekwowania przez jedną i drugą stronę tego, co podpisano. Okazało się jednak, że obie strony różniły się w interpretacji uzgodnionych wcześniej postanowień.

Po Krewie została zawarta unia wileńsko-radomska z 1401 r. Treścią aktów tej unii było usankcjonowanie dożywotniej władzy wielkoksiążęcej Witolda na Litwie, z tym, że po jego śmierci miała ona powrócić do Jagiełły i Korony Królestwa¹⁷.

Następnym krokiem w dziejach związku Polski z Litwą była unia horodelska z 2 października 1413 r. zawarta w Horodle nad Bugiem, miasteczku położonym na północny wschód od Hrubieszowa, poniżej ujścia rzeki Ługa. W Horodle znajdował się zamek obronny, którego ruiny istniały jeszcze w 1765 r. Akt unii został uwieczniony na malowidle ściennym, które zdo-

biło zamek horodelski jeszcze w wieku XVI¹⁸. Przy zawieraniu unii wystawiono trzy dokumenty: jeden wspólny obu monarchów – Witolda i Jagiełły, drugi bojarów litewskich – z 45 pieczęciami, trzeci polskiej rady królewskiej – z 47 pieczęciami. Najistotniejszy ich zapis przewidywał utrwalenie państwowości litewskiej. Postanowiono m.in. o odbywaniu w przyszłości wspólnych polsko-litewskich zjazdów dla rozstrzygnięcia spraw obu stron. Unia horodelska nie tylko rozszerzyła uprzywilejowanie litewskiego narodu politycznego, ale sytuowała go – obok wielkiego księcia – jako czynnik współdecydujący o życiu państwa. Wszelkie uprawnienia miały przysługiwać wyłącznie panom i bojarom katolikom, reprezentowanym przez 48 rodów litewskich, które Witold wybrał i przedstawił do zawarcia pobratymstwa z polskimi rodami szlacheckimi¹⁹. Pięćdziesiąt szlacheckich rodów polskich (Leliwa, Zadora, Rawa, Lis, Jastrzębiec, Trąby, Topór, Łabędź, Poraj, Dembno, Odrowąż, Wadwicz, Grzymała, Zaremba, Pierzchała, Nowina, Działosza, Kopacz, Rola, Starykoń, Dołęga, Bogorya, Janina, Bychawa, Świnka, Kołda (Oksza), Sulima, Nałęcz, Łodzia, Jelita, Korczak, Biała, Węzyk, Ciołek, Godziemba, Ośmioróg i in.) zbierało się z najznakomitszymi bojarami Litwy. Pobratymstwo to przyjęło formę adopcji do herbów rodów polskich. Formy rodowe służyły kształtowaniu się w Wielkim Księstwie Litewskim szlacheckiej organizacji stanowej²⁰.

Spośród aktów unii horodelskiej tylko dokument wystawiony wspólnie przez Witolda i Jagiełłę mówił o wcieleniu, zjednoczeniu, przyłączeniu Litwy do Polski. Terminy te występowały jednak równoległe z określeniami takimi jak konfederacja i unia. Istotne znaczenie miały w rezultacie zgodne postanowienia zawarte w pozostałych dwóch dokumentach. Ugruntowały one polityczną samoistność Litwy, ale w trwałym związku z Polską. Postanowienia unii horodelskiej nie powstrzymały jednak dążeń litewskich do pełnej niezawisłości.

Unia polsko-litewska na przemian przybierała charakter personalny i dynastyczny (unia w Krewie z 1385 r., unia wileńsko-radomska z 1401 r., unia horodelska z 1413 r., unia krakowsko-wileńska z 1499 r., unia mielnicka z 1501 r.). Przełomu w relacjach między obu państwami dokonał dopiero Zygmunt II August, doprowadzając do unii realnej w 1569 r. Sejm zwołany przez ostatniego Jagiellona do Lublina obradował ponad pół roku i był drugim co do długości trwania sejmem w dziejach Rzeczypospolitej szlacheckiej, po Sejmie Czteroletnim (1788–1792). Obrady tego sejmiku można podzielić na trzy okresy: wstępny, obrady sejmu polskiego i końcowy okres wspólnych obrad. Po pokonaniu wielu trudności rokowania mię-

¹⁴ Dymitr z Goraja wstrzymujący Jadwigę od wylamania drzwi na zamku królewskim w Krakowie, 1881, olej, Muzeum Narodowe w Warszawie.

¹⁵ Red., Dymitr z Goraja, w: *Polski słownik biograficzny*, t. 6, Kraków 1948, s. 61-62.

¹⁶ E. Łepkowski, *Gerson Wojciech (1831-1901), malarz, ibidem*, t. 7, Kraków 1948-1958, s. 400-401. Obraz Gersona *Królowa Jadwiga i Dymitr z Goraja* (1869), olej na płótnie, znajduje się w zbiorach Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

¹⁷ J. Bardach, *O Rzeczpospolitą Obojga Narodów*, Warszawa 1998, s. 12.

¹⁸ *Wielka encyklopedia powszechna ilustrowana*, t. 29-30, Warszawa 1902, s. 370-371.

¹⁹ J. Bardach, *op. cit.*, s. 12-14.

²⁰ *Wielka encyklopedia powszechna ilustrowana*, t. 29-30, s. 370.

dzy Koroniarzami i Litwinami doprowadziły ostatecznie do kompromisu. Jego wynikiem była uchwalona 27 czerwca 1569 r. unia. Akty unii lubelskiej wystawione zostały przez sejmy koronny i litewski (1 lipca) oraz króla Zygmunta Augusta (4 lipca)²¹.

Unia lubelska była kompromisem między skrajnymi stanowiskami obu stron: modelem inkorporacyjnym – szlachty polskiej i zakładającym luźny związek unijny – Litwinów. Obie strony zrezygnowały ze



Kopiec Unii 1413 r. w Horodle, usypany dla uczczenia jej 500-lecia, rysunek K. Wojciechowskiego, reprodukcja z: J. Bardach, *O Rzeczpospolitą Obojga Narodów*, Warszawa 1998, s. 68

swoich koncepcji i zgodziły się na ustępstwa. Polacy zrezygnowali ostatecznie ze swoich planów inkorporacji Litwy do Polski. Litwini natomiast zgodzili się na wspólne państwo z Polakami pod warunkiem samodzielności zewnętrznej Wielkiego Księstwa Litewskiego w ramach Rzeczypospolitej. Kompromisem była nowa koncepcja federacyjna, oparta na zasadzie równości stron Polski i Litwy: wspólnej władzy ustawodawczej (sejm walny), ale odrębnych władz – wykonawczej i sądowniczej. Odrębne pozostały urzędy centralne (skarż, wojsko), sądy i prawo. Ten podział władz wyraźnie wskazuje na kompromisowy charakter postanowień unii.

Unia lubelska stworzyła w postaci Rzeczypospolitej Obojga Narodów federację złożoną z dwóch odrębnych członków: Korony i Wielkiego Księstwa. Podstawą prawną tej federacji była unia realna, oparta na wspólności władz naczelnych – króla i sejmu. Unia polsko-litewska, która znalazła wyraz w akcie unii lubelskiej, przetrwała przez cztery wieki, a jeszcze znacznie dłużej w świadomości społecznej Polaków i Litwinów. Dziś stanowi ona wspólne dziedzictwo historyczne Po-

laków, Litwinów, Ukraińców i Białorusinów. Można przyjąć, że w połowie XV w. powstał litewski naród polityczny o własnej świadomości narodowej, państwowej i historycznej²².

Na zakończenie powyższej refleksji historycznej warto zacytować jeszcze jeden fragment opisu charakteryzującego Wielkie Księstwo Litewskie, zawarte go w *Relacji o Królestwie Polskim* nuncjusza Claudio Rangoniego, powstałej w niespełna 200 lat od zawarcia unii horodelskiej i 35 lat od podpisania unii lubelskiej: *Kraj obfituje nadzwyczaj w ryby, owoce, (...) podobnież w miód, a do tego biały, w bydło i zwierzynę, a szczególnie w losie (...). Żubry, zwane też bizonami, zwierzęta podobne do wołu, lecz czarne i z grzywą długą na karku i pod szyją, a ogonem podobnym do lwiego, także się tu znajdują po lasach, jak również łanie leśne, ładne i zgrabne, drobne, które chodzą stadami osobliwie po lasach i borach w okolicy Grodna. Widzieć się też dają niektóre gromostaje, rysie, bobry, sobole i inne zwierzęta, z których skór robią się futra, chociaż ilość tychże potrzebna do wyrobu odzieży sprowadza się z Moskwy (...). Kraj litewski, acz jest pełen lasów i borów ogromnych oraz zbywa mu na wielu przedmiotach natury i sztuki,*

wszędzie się w Polsce znajdujących, nie jest przecież tak lesisty i dziki, jak niektórzy myślą. Owszem – ma w sobie niektóre okolice tak dobrze położone ze wzgórzami, strumieniami, płaszczynami i gajkami, iż przyjemność sprawiają patrzącym, a w lasach wydaje natura cudowne mnóstwo różnych kwiatów, goździków i konwalii, o piękności oraz woni szczególnej, które w ogrodach we Włoszech występują. A już obfitość tam ma zwykłą siedzibę, tak iż tym, którzy z Polski wchodzi, zdaje się, iż wchodzi do bajecznego kraju (...).

Językiem litewskim mówią tylko wieśniacy i jest rzeczą osobliwą i jakoby śmieszną, aby go umiał szlachcic, jest to bowiem poniekąd język barbarzyński; między szlachtą zwykle nie używa się do mówienia innego języka niż polski. Znają atoli niektórzy język ruski, za pomocą którego przygotowywane bywają wyłącznie pisma urzędowe w kancelarii Wielkiego Księstwa Litewskiego²³.

Włodzimierz Kaczorowski

²¹ G. Błaszczyk, *Litwa na przełomie średniowiecza i nowożytności 1492-1569*, Poznań 2002, s. 146-160; M. Kosman, *Z polsko-litewskiej przeszłości. Studia i szkice*, Warszawa 2012, s. 13-22; J. Bardach, *O dawnej i niedawnej Litwie*, Poznań 1988, s. 1-67.

²² G. Błaszczyk, *op. cit.*, s. 314-315; J. Bardach, *O Rzeczpospolitą...*, s. 68.

²³ C. Rangoni, *op. cit.*, s. 28, 34.

Anna Pobóg- Lenartowicz

Bolesław I opolski – wytrawny polityk czy niepoprawny marzyciel?

W maju tego roku minęła 700. rocznica śmierci jednego z najwybitniejszych władców opolskich – Bolesława I. Mimo iż zawdzięczamy mu dwa najbardziej znane symbole Opola – Wieżę Piastowską i kaplicę św. Anny w kościele Franciszkanów, to jednak jest ciągle władcą mało znanym, żeby nie powiedzieć – zapomnianym.

Urodził się około roku 1256, prawdopodobnie jako trzeci syn księcia opolskiego Władysława i księżniczki wielkopolskiej Eufemii. Imię, które otrzymał, ewidentnie nawiązywało do tradycji „wielkich królów Bolesławów”, żywe też było w wielkopolskiej linii Piastów. Mimo iż nie był najstarszym dzieckiem księżęcej pary, to jednak od początku stał się faworytem swojego ojca. Towarzyszył mu między innymi w politycznych zjazdach we Wrocławiu i Wiedniu. Jemu też przypadły rządy w stołecznym Opolu.

Od początku przejęcia samodzielnych rządów w księstwie włączył się w wir aktualnych wydarzeń politycznych. Był to burzliwy okres transformacji politycznej – po przeszło stu latach następował proces przewycięzania rozbicia dzielnicowego i odbudowy zjednoczonego państwa polskiego. W dziele tym aktywną rolę odgrywali książęta śląscy, którzy uważali się za naturalnych spadkobierców tronu krakowskiego (wywodzili się bowiem z linii wygnanego seniora – Władysława II, zwanego potem Wygnańcem). Bolesław I związał się w tym czasie z księciem wrocławskim Henrykiem IV Prawym (Probusem), prywatnie wówczas także jego szwagrem, który jako jeden z pierwszych podjął zamysł zdobycia królewskiej korony. Ceną za udzielone wsparcie miała być koronacja nieznanego z imienia (Grzymisławy? Konstancji?) księżniczki opolskiej, Bolesławowej siostry, na królową. Wprawdzie wkrótce małżeństwo Henryka z księżniczką opolską rozpadło się, mimo to Bolesław pozostał wierny swojemu sojusznikowi aż do jego śmierci w 1290 r. Według opinii prof. Tomasza Jurka, w podzięk za udzieloną pomoc, książę Henryk Prawy zapisał Bolesławowi prawa do Krakowa i ziemi krakowskiej (znany z podręczników „testament” Probusa, przekazujący władzę w Krakowie Przemysłowi II miał być późniejszym falsyfikatem). Prawdą jest, że w pogrzebie Henryka we Wrocławiu uczestniczył nie Przemysław II, ale właśnie nasz Bolesław opolski, wspólnie z drugim beneficjentem – Henrykiem głogowskim. Po

władzę w Krakowie Bolesław wówczas nie ruszył, wsparł natomiast działania Waclawa II Przemyśłidy, późniejszego króla Czech i Polski w walce o to miasto. Bolesław należał do najbardziej oddanych sojuszników Waclawa w Polsce. Ten odwzajemniał mu się nie tylko częstymi wizytami w Opolu – to w naszym mieście miało się odbyć uroczyste pasowanie na rycerza młodego księcia czeskiego – ale także misjami dyplomatycznymi i urzędami. Z ramienia Waclawa został bowiem Bolesław pierwszym starostą krakowskim – urząd ten wprowadził Waclaw do Polski na wzór czeski. Książę opolski uczestniczył też w posiedzeniach politycznych w Moguncji, Ostrawie czy Ołomuńcu. Był obecny na obu koronacjach Waclawa – w Pradze i w Gnieźnie (w 1300 r.). Wspierał go, rzecz jasna, w jego akcjach zbrojnych przeciwko Władysławowi Łokietkowi, był świadkiem upokorzenia tego ostatniego pod Sieradzem. Prawdopodobnie to on zaaranżował małżeństwo swej bratanicy Wioli z synem i następcą Waclawa II – Waclawem III, który wkrótce został zamordowany w Ołomuńcu (1306 r.). Również Bolesławowi przypisałabym inicjatywę małżeństwa drugiej bratanicy Marii z królem węgierskim Karolem Robertem. Manewr ten, po śmierci księżniczki bytomskiej, powtórzy Władysław Łokietek (żeniąc tego samego Karola ze swą córką Elżbietą). Najwięcej kontrowersji budzi ostatnia akcja polityczna Bolesława I, związana z jego marszem na Kraków i opanowaniem miasta w czasie buntu wójta Alberta. Historiografia polska, zwłaszcza ta dziewiętnastowieczna, wykreowała opolskiego księcia na zdrajcę, wysługującego się obcemu władcy. Badacze czescy nigdy nie podzielali tego punktu widzenia. Wyraźnie wskazują oni na fakt, że Jan Luksemburski był w tym czasie zajęty walką o utrzymanie władzy w Czechach i szykował się na wyprawę mającą na celu opanowanie Moraw. Nie miał ani środków, ani możliwości, by wesprzeć działania Alberta. Mówiąc szczerze, władza w Krakowie leżała wtedy na przysłowiowej ulicy. I Bolko postanowił po prostu po nią sięgnąć. Zastosował ten sam manewr, który 100 lat wcześniej udał się jego pradziadowi – Mieszkowi Laskonogiemu (zwanemu do niedawna Płatnogim) – przybył do Krakowa i starał się do siebie przekonać tamtejszych mieszczan. Przez kilka miesięcy sprawował faktyczną władzę w mieście – nie w imieniu króla czeskiego, ale swoim własnym. Niestety, wzo-

rem swego pradziada nie dane mu było zostać pochowanym na wawelskim wzgórzu, z niewyjaśnionych do dzisiaj przyczyn, dogadał się z Władysławem Łokietkiem, oddał mu miasto za określoną rekompensatę, zabierając dodatkowo ze sobą buntowniczego wójta, za którego miał zamiar uzyskać dodatkowy okup.

Jak należy ocenić działania opolskiego władcy? Czy była to nieprzemyślana awantura polityczna starzejącego się księcia, a może ukoronowanie jego długoletnich starań i zabiegów? Pisałam już kiedyś w innym miejscu, że porównanie charakterów obu pretendentów do władzy w Krakowie, a więc Bolesława opolskiego i Władysława Łokietka, przemawia zdecydowanie na korzyść tego pierwszego. Trzeba wyjść od tego, że obaj byli bardzo blisko ze sobą spokrewnieni. Matką Łokietka była bowiem księżniczka opolska, siostra ojca Bolesława – Eufrozyna. Księstwo opolskie tak pod względem terytorialnym, jak i gospodarczym, znacznie przewyższało władztwo Łokietkowe (które zresztą w ciągu nieustannych walk tracił). Bolesław cieszył się dobrą opinią w Małopolsce. Pamiętano jego rządy jako starosty krakowskiego, wspierał hojnie tamtejsze instytucje kościelne, rozwijał kult krakowskiego biskupa – męczennika św. Stanisława. Łokietek kojarzony był z awanturnictwem, łupiestwem, wysługiwaniem się obcymi wojskami (krzyżackimi, węgierskimi itp.), wielokrotnie znajdował się pod ekskomuniką, nic dziwnego, że ani Kraków, ani później Poznań (ale i inne miasta) nie chciały przed nim otworzyć swoich bram. Czego więc zabrakło Bolesławowi, że nie został królem zjednoczonego państwa polskiego? Czy rzeczywiście książęta śląscy byli „korony niegodni” – jak sugerował to już w XV wieku Jan Długosz? Patrząc z dzisiejszego punktu widzenia, wydaje się, że zabrakło im po prostu dobrego PR-u. Na dworze księcia opolskiego ani w jego otoczeniu (np. u opolskich franciszkanów) nie powstały żadne utwory propagujące działania księcia, dające podstawy pod określoną akcję polityczną. A bez tego, nawet w średniowieczu, trudno było o sukces.

Nie sposób nie docenić działań księcia na forum jego księstwa. Nie były one może tak spektakularne, jak w przypadku jego ojca, którego słusznie określa się mianem „ojca miast górnośląskich”, ale i tak dość znaczne. Przypisuje mu się lokację Niemodlina, Strzelca Opolskich, Krapkowic, Białej, Olesna i Lublińca (lokacje miejskie) oraz Lasowic, Tarnowa Opolskiego, Falkowic i Domaradza (lokacje wiejskie).

Dokończył także budowę zamku na Ostrówku – jemu przypisuje się powstanie Wieży Piastowskiej, do której to lochów wtrącił nieszczęsnego wójta Alberta. Na zamku powstała też nowa kaplica zamkowa p.w. św. Jana Ewangelisty, św. św. Piotra i Pawła oraz św. Marii Magdaleny.

Opole za jego czasów stało się prawdziwym miastem stołecznym. Odwiedzało je wielu znakomitych gości: wspomniany kilkakrotnie król Czech i Polski – Wacław II z dworem, książę brandenburski Otto V



Książę Bolesław I – rzeźba ze studni św. Wojciecha, stojącej na dziedzińcu Collegium Maius UO (dzieło opolskich rzeźbiarzy: prof. Mariana Molendy i dr. Wita Pichurskiego). Fot. Jerzy Mokrzycki

Długi, który prawdopodobnie brał udział w zaślubinach Bolesława ze swoją córką (?)/krewną margrabianką Agnieszką, inni książęta śląscy, znani biskupi: Jakub Świnka (arcybiskup gnieźnieński), Paweł z Przemankowa (biskup krakowski), biskupi wrocławscy: Tomasz I, Tomasz II, Jan III Romka, Henryk z Wierzbnej i wielu, wielu innych wpływowych ludzi tamtych czasów.

To właśnie za panowania Bolesława doszło do powstania rady miejskiej Opola, a w otoczeniu władcy zaczynają pojawiać się mieszczenie (nawiązując do przykładów z innych miast, można by złośliwie skomentować, że ktoś te wizyty musiał finansować). Zbudowane także zostało zaplecze administracyjne księcia w postaci sprawnie działającego dworu książęcego.

Bolesław I był także hojnym darczyńcą: to on był fundatorem klasztoru Dominikanów na opolskiej górze (osadził ich prawdopodobnie wiosną 1287 r.), ponownym fundatorem opactwa Cystersów w Jemielnicy oraz wielkim dobrodziejem opolskich franciszkanów, którym pomógł podnieść się materialnie po pożarze w 1307 r. Jego największym dziełem było zapoczątkowanie budowy kaplicy p.w. św. Anny (zwanej dzisiaj Piastowską), w której w maju 1313 r. został pochowany. Ufundował też kolejną prebendę dla opolskiej kolegiaty św. Krzyża (dzisiejsza katedra).

Niewiele dziś zostało dowodów pamięci po księciu Bolesławie. Jak wielu innych władców tej dzielnicy nie doczekał się ani ulicy, ani placu, ani szkoły swojego imienia. Zachowała się jego tumba w kościele Franciszkanów, dzieło jego wnuka Bolka III. Jego miniaturę znajdziemy także na szczycie odtworzonej studni Wojciechowej na wzgórzu uniwersyteckim, gdzie stoi w rycerskim stroju jako „książę marzyciel”. Całe bowiem życie marzył o królewskiej koronie, której nie dane mu było zdobyć.

19 kwietnia 2013 r. w ramach Dni Opola w Muzeum Śląska Opolskiego odbyła się konferencja popularno-naukowa pt. *Książę Bolko I opolski (+1313) – postać, epoka, dziedzictwo*, zorganizowana przez Muzeum Śląska Opolskiego oraz opolski oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego, pod patronatem prezydenta Opola Ryszarda Zembaczyńskiego. W konferencji wzięli udział najwybitniejsi specjaliści zajmujący się postacią księcia opolskiego i jego epoką: **prof. dr hab. Marek Cetwiński** (Akademia im. Jana Długosza w Częstochowie, referat: *Elity Księstwa Opolskiego u schyłku XIII wieku*), **dr Marek L. Wójcik** (Uniwersy-

tet Wrocławski, referat: *Kancelaria księcia Bolesława I*), **dr hab. Wojciech Mrozowicz** (Uniwersytet Wrocławski, referat: *Korony niegodni? Bolko I opolski i inni książęta śląscy jako pretendenci do tronu polskiego*), **prof. dr hab. Antoni Barciak** (Uniwersytet Śląski, referat: *Bolesław I opolski w czeskich źródłach narracyjnych*), **prof. dr hab. Jerzy Rajman** (Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie, referat: *Kontrowersje wokół fundacji opactwa w Jemielnicy i roli księcia Bolka I w powstaniu tego klasztoru*), **prof. dr hab. Anna Pobóg-Lenartowicz** (Uniwersytet Opolski, referat: *Polityka fundacyjna Bolka I – dominanie i franciszkanie w Opolu*) oraz **dr hab. Bogusław Czechowicz** (UO, Uniwersytet Hradec Kralove, referat: *Śladami Bolkowego dziedzictwa. Nośniki idei sukcesji władzy w Opolu od XIV do XX wieku*). Niestety, w konferencji nie wzięła udziału najlepsza obecnie specjalistka od postaci Bolesława I, dr Anna Grabowska, autorka obronionej z wyróżnieniem pracy doktorskiej na jego temat, stypendystka marszałka województwa opolskiego, która nie znalazłszy zatrudnienia w Opolu, pojechała szukać pracy w Anglii...

Anna Pobóg-Lenartowicz

Antoni Maziarz

Kasaty zakonów

W 2010 r., z racji przypadającej wówczas dwusetnej rocznicy kasaty zakonów na Śląsku, we Wrocławiu zorganizowano międzynarodową konferencję *Pruskie kasaty klasztorne na Śląsku na tle procesów sekularyzacyjnych w Polsce i Europie*. Sukces tego spotkania skłonił jego inicjatora – **prof. dr hab. Marka Derwicha** do podjęcia badań nad kolejnymi kasatami zakonów na ziemiach polskich. Stworzony został zespół niemal dwustu osób (w tym kilkunastu naukowców z Uniwersytetu Opolskiego), którzy jako pierwsi w Europie podjęli się prześledzenia genezy, przebiegu, a przede wszystkim skutków kasat klasztornych. Badaniu poddawana jest pełna spuścizna poklasztorna – od archeologii (po niektórych obiektach pozostały tylko fundamenty) po dziedzictwo duchowe. O ogromie przedsięwzięcia świadczy fakt, że do przeanalizowania jest ok. 1000 zsekularyzowanych klasztorów, a tylko zasoby źródłowe Państwowego Archiwum w Poznaniu dotyczące tej kwestii obejmują ponad tysiąc jednostek archiwalnych.

Właśnie w Poznaniu, w dniach 4–7 kwietnia br., odbyła się kolejna konferencja w ramach projektu *Dziedzictwo kulturowe po klasztorach skasowanych na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej i Śląsku w XVIII i XIX*

w.: *losy, znaczenie, inwentaryzacja*. W Pałacu Działyńskich oraz w obiektach Archiwum Archidiecezji Poznańskiej zebrali się specjaliści różnych profesji – historycy, archiwiści, bibliotekoznawcy, muzykolodzy, konserwatorzy, muzeolodzy – łącznie 44 przedstawicieli ośrodków naukowo-badawczych z całej Polski, a także z Niemiec, Czech, Włoch i Francji. Pretekstem do spotkania była 180. rocznica ogłoszenia decyzji likwidującej klasztor w Wielkopolsce, obrady koncentrowały się wokół tematu *Losy i znaczenie dziedzictwa po klasztorach skasowanych w Wielkopolsce pod rządami pruskimi (do 1871 r.)*.

Likwidacja klasztorów wielkopolskich, podobnie jak pozostałe kasaty przełomu XVIII i XIX wieku, motywowana była względami ideologicznymi. W przypadku zaboru pruskiego równie istotne były aspekty natury politycznej. Już po 1793 r., kiedy Wielkopolskę włączono do Prus, zakonników oskarżono o sprzyjanie polskiemu nurtom narodowym. Jednak, by nie drażnić Polaków, nie ogłoszono wówczas dekretu sekularyzacyjnego, ale przyjęto rozwiązanie, w myśl którego zanik życia zakonnego miał odbywać się stopniowo. Służyły temu horrendalnie wysokie podatki (w wymiarze 50 proc. dochodu) oraz zakaz przyjmowania nowicju-

szy. Poszczególne konwenty poddano ścisłej kontroli urzędniczej. Opodatkowanie, konfiskaty wojenne, a w niektórych przypadkach także niegospodarność mnichów, pozbawiły klasztory wcześniejszych zasobów, tak więc ekonomiczne przesłanki kasat miały tam słabe uzasadnienie.

Wybuch powstania listopadowego wpłynął na zmianę polityki pruskiej. Funkcję naczelnego prezesa prowincji poznańskiej powierzono wówczas Eduardowi Flottwellowi, który okazał się nieprzejednanym germanizatorem ludności Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Jednym z głównych celów prezesa stało się zlikwidowanie podupadających zakonów, postrzeganych jako istotny element trwania polskości. W 1831 r. posypały się oskarżenia kwestarzy o szerzenie myśli powstańczej w Wielkopolsce. Kiedy opadły emocje związane z wydarzeniami w Królestwie Polskim, na bazie planu opracowanego przez Flottwella, 31 marca 1833 r. król Fryderyk Wilhelm III ogłosił rozkaz gabinetowy kasujący wszystkie zakony na terenie Wielkopolski. Powołane komisje szybko i skutecznie przystąpiły do realizacji woli monarchy. Do 1840 r., kiedy to wraz ze śmiercią Fryderyka Wilhelma III zakończyła się misja Flottwella, dzieło zostało sfinalizowane (zlikwidowano 24 klasztory męskie i 5 żeńskich, tyle samo uległo sekularyzacji wcześniej, tj. w latach 1815–1830).

Podobnie, jak to miało miejsce na Śląsku, zsekularyzowanym zakonnikom przyznano minimalne uposażenia; mężczyźni mieli zasilić kler diecezjalny, a kobiety kumulowano w klasztorach centralnych, gdzie miały doczekać końca swego żywota. W wyjątkowych przypadkach tolerowano pobyt zakonników starszych i przeważnie już osamotnionych (reszta konwentu wy-

marła) do końca życia w klasztorze. Taki „przywilej” spotkał ostatniego bernardyna poznańskiego – o. Juliana Fajarskiego (1778–1850). Podczas konferencji omawiano też losy innych osób konsekrowanych (w 1840 r. w klasztorze w Ołoboku, gdzie skierowano ostatnie żyjące zakonnice, przebywało 17 mniszek).

Wiele obiektów poklasztornych rozebrano, liczne przekazano na cele państwowe związane z administracją, bądź oświatą (bywało, że instalowano w nich szkoły protestanckie). W niektórych ulokowano więzienia i magazyny. W Poznaniu, Bydgoszczy, Gołańczu, Środzie Wlkp. obiekty klasztorne oddano wspólnocie protestanckim. W Poznaniu wraz z kasatą odsunięto od prowadzenia seminarium ojców misjonarzy św. Wincentego. Z racji decydującego znaczenia duchowieństwa w procesie uświadamiania narodowego mas plebejskich, władze pruskie dążyły do przekazania seminariów duchownych niemieckim wykładowcom. W szkole poznańskiej cel ten realizowano wraz z odsunięciem ojców misjonarzy św. Wincentego, co było kolejnym elementem sekularyzacji na tym terenie.

Zasoby konwentów, podobnie jak majątek nieruchomości, zostały przejęte przez skarb państwa pruskiego. Cenne dokumenty i księgozbiory były przejmowane na poczet bibliotek pruskich (m.in. berlińskiej Biblioteki Królewskiej), stamtąd część z nich sprzedano do prywatnych kolekcji niemieckich, czy angielskich. Wiele cennych woluminów wystawiono na aukcje. Część bezcennych inkunabułów uratowano dla kultury polskiej dzięki przedsiębiorczości hrabiów Edwarda Raczyńskiego i Tytusa Działyńskiego. Przed wkroczeniem do klasztorów pruscy urzędnicy jeździli po Wielkopolsce i przekonywali zakonników do oddania im księgozbiorów. Do Biblioteki Raczyńskich i kolekcji Działyńskich w Kórniku trafiły też materiały, które w zamyśle pruskich likwidatorów miały ulec zniszczeniu jako masa zbędnej makulatury.

Władze pruskie tłumaczyły decyzje kasacyjne m.in. potrzebami Kościoła katolickiego. Rzeczywiście, niektóre obiekty przekazano na cele kościelne (np. seminarium katolickie umieszczono w klasztorze pacysterskim w Paradyżu). Z części przejętego majątku poklasztornego stworzono fundusz, z którego dofinansowano najuboższe parafie wielkopolskie. Mniej zamożne parafie mogły też zabiegać o obrazy, utensyilia liturgiczne, ławki, dzwony – majątek przez wieki gromadzony w klasztorach uległ więc rozproszeniu.



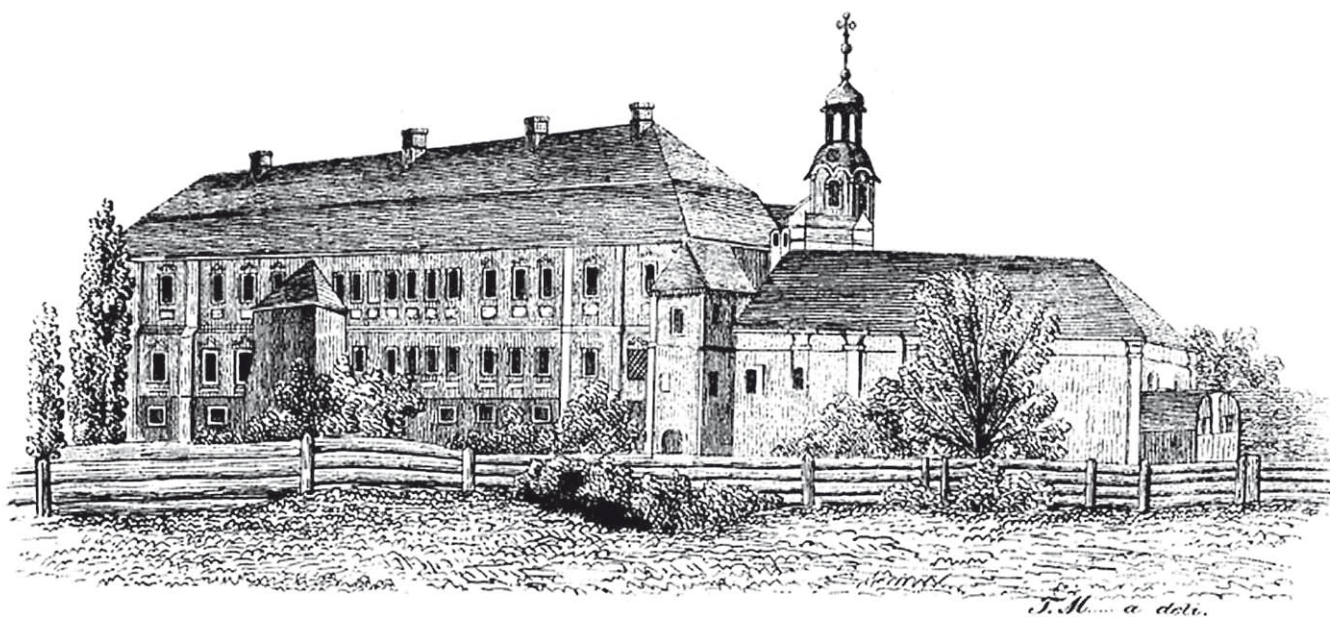
Prof. Marek Derwich w trakcie konferencji

Dlatego też zadaniem uczestników projektu *Dziedzictwo kulturowe po klasztorach skasowanych* jest m.in. inwentaryzacja spuścizny poklasztornej, jako istotnego elementu dziedzictwa narodowego. Podczas poznańskiej konferencji wiele miejsca poświęcono losom poszczególnych księgozbiorów, niektórzy prelegenci podjęli próbę rekonstrukcji rozproszonych zbiorów. Wyzwanie to ogromne, gdyż księgozbiory klasztorne liczyły po kilkanaście tysięcy tomów, wśród nich były cenne manuskrypty i pierwodruki z XVI-XVII wieku. Czasem detektywistyczne działania historyków zmierzają do odtworzenia losów pojedynczych dzieł sztuki, jak np. XVI-wiecznej srebrnej kadielnicy z opactwa paradyskiego. Badaniem objęto również klasztorne założenia ogrodowe, wszak drzewa rosnące na terenach kompleksów poklasztornych to ostatni żywi świadkowie sekularyzacji.

Oficjalnie władze pruskie uzasadniały kasaty względami natury ekonomicznej. Mniej eksponowanym podłożem były przyczyny polityczne. Likwidacja zakonów wielkopolskich (analogicznie do sytuacji w Królestwie Polskim po upadku powstania styczniowego), wpływała negatywnie na kondycję polskości. Klasztory, czę-

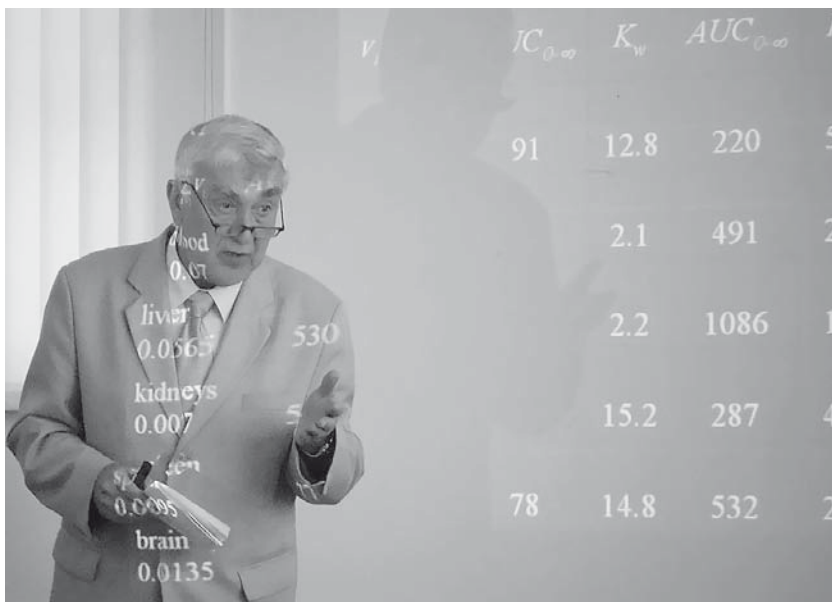
sto rozrzucone po prowincji, były ważnymi nośnikami polskich tradycji – przypominały o swych fundatorach, którymi często byli władcy Polski, kultywowały polskie obyczaje, gromadziły spuściznę kulturową. Niewątpliwie stanowiły więc zagrożenie dla polityki zaborców i jako takie miały zniknąć z przestrzeni społecznej. W 1846 r. Ludwik Plater pisał, że w Wielkim Księstwie Poznańskim *klasztory, domy i kolegia tylko co do murów istnieją, co do zgromadzeń zaś albo całkiem są zniesione albo bardzo niewielu w nich pozostało księży*. Nie minęło jednak nawet pięć lat, a w zmienionych realiach społeczno-politycznych Wielkopolska uczestniczyła w dziele odnowy życia konsekrowanego. W formule odmienionej, jednak nawiązującej do spuścizny poprzedników, powstały tam dwa rodzime zgromadzenia zakonne: sióstr służebniczek i sióstr pasterek. Do 1939 r. dynamicznie rozwijały się także wspólnoty przeszczepione z innych regionów, wśród nich nyskie elżbietanki. Wróciły niektóre uprzednio skasowane zakony, jak choćby lubińscy benedyktyni.

Antoni Maziarz



Klasztor cysterek w Ołoboku (rycina z „Przyjaciela Ludu”, 1841 r.)

Prof. dr hab. Volodymyr Zinkovskyi (1951–2013)



Prof. Volodymyr Zinkovskyi (fot. Grzegorz Ołoś)

Moje uszanowanie Pani/Panu – ten zwrot Profesora Volodymyra Zinkovskyiego wielu z nas będzie pamiętało zawsze.

Profesor Volodymyr Zinkovskyi przyjechał do Opola w czerwcu 2001 roku i jak często wspominał, już na dworcu pokochał to miasto.

Przed związaniem się z Opolem, a konkretnie z Katedrą Biotechnologii i Biologii Molekularnej Uniwersytetu Opolskiego, był cenionym naukowcem Uniwersytetu Odeskiego. Gdy dowiedział się o możliwości pracy w Uniwersytecie Opolskim, decyzję o przeprowadzce podjął bardzo szybko. Wpływ na to miała najprawdopodobniej babcia Polka, z domu Matwiejczuk, która pomagała mamie w wychowaniu dwóch małych budrysów, bliźniaków, urodzonych 28 listopada 1951 roku w Winnicy.

Po przyjeździe do Opola Profesor od razu poprosił o znalezienie mu nauczyciela języka polskiego, uważał bowiem, że jego znajomość języka jest zbyt słaba, aby prowadzić wykłady dla studentów. Oczywiście mówił całkiem dobrze po polsku, ale

dopiero po roku intensywnej nauki, gdy odmiana liczebników przestała być dla Niego tajemnicą, poczuł się komfortowo.

Profesor Zinkovskyi był zakochany nie tylko w Polsce i Opolu, ale przede wszystkim w swoich studentach. Nie wyobrażał sobie, że mógłby nie przyjść na zajęcia – przecież tam na niego czekają jego studenci, nie można ich zawieść. Szczególną opieką otaczał swoich magistrantów, spędzał z nimi wiele czasu i był szczęśliwy, że może im przekazać część swojej wiedzy, a wiedzę posiadał olbrzymią.

Profesor był człowiekiem bardzo czytającym. Znajomość literatury naukowej to rzecz oczywista, ale Jego także pasjonowała literatura piękna, historia, muzyka i malarstwo. Sam wprowadził nie malował, to była domena brata bliźniaka, ale bardzo ładnie rysował.



Park w Odessie na akwreli prof. Volodymyra Zinkovskyiego

Jednym ze szczęśliwszych dni w życiu Profesora był dzień, w którym kupił mieszkanie w Opolu przy ulicy Wandy, w przedwojennej kamienicy, takie, jakie sobie wymarzył. Drugi wspaniały dzień, to dzień, w którym otrzymał kartę stałego pobytu. Powiedział wtedy, że wprawdzie ma paszport ukraiński, ale czuje się Polakiem i wprawdzie nie lubi podróżować, ale może pojechać do każdego kraju w Unii Europejskiej i to go w pełni satysfakcjonuje.

Pasją Profesora były kuchnie świata. Lubił gotować i robił to wspaniale. W przygotowywane potrawy wkładał całe serce, bo robił je głównie dla swych przyjaciół. Jego wołowina w sosie morelowo-piernikowym lub zupa z owoców morza to dania godne najszlachetniejszego podniebienia.

Rok temu dowiedział się o strasznej chorobie. Odszedł do nowej sytuacji, jak zawsze w swym życiu, z wielką godnością. Walczył z chorobą heroicznie do końca, co nie wykluczyło jednoczesnego pełnego angażowania się w pracę i pomoc innym. Najważniejsze dla niego było bowiem zakończenie promowanych prac doktorskich. Swych doktorantów traktował jak najbliższych i było to uczucie w pełni odwzajemnione, byli z nim do ostatniej chwili.

Profesor Wołodymyr Zinkovskiy był człowiekiem szlachetnym – niespotykane spokojnym, otwartym na wszelkie ludzkie potrzeby i problemy. Odszedł w spokoju, tak jak na to zasłużył.

Nasze uszanowanie Panie Profesorze!

Teresa Farbiszewska

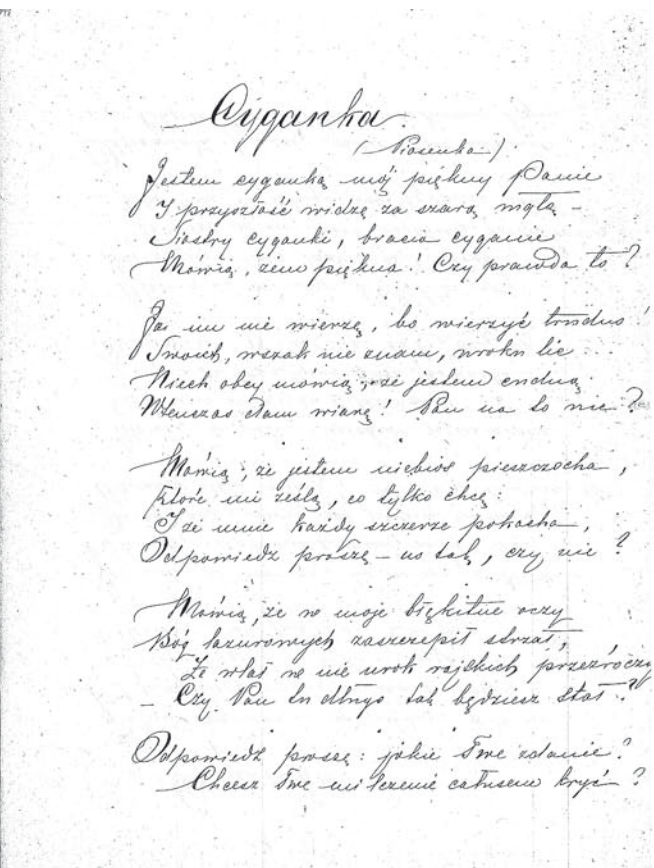
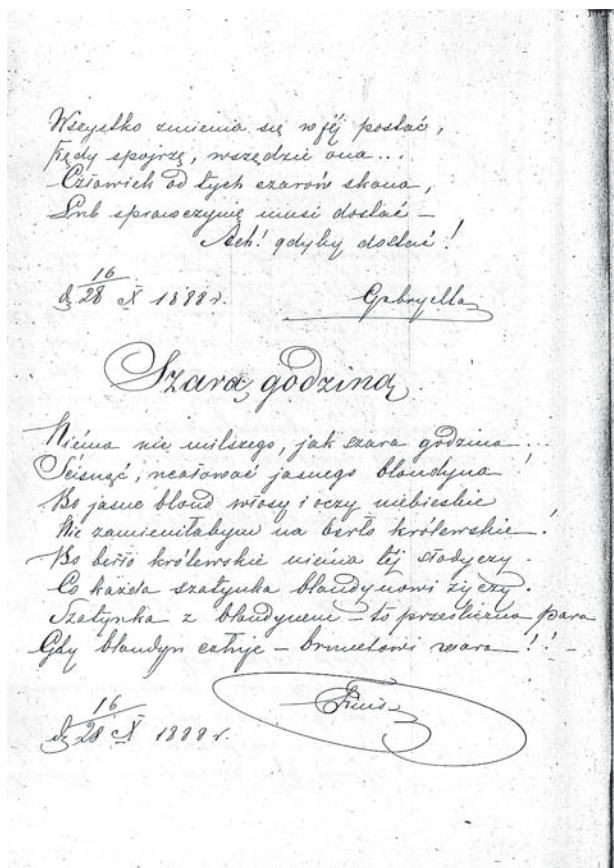
Lekcja kaligrafii

W 1900 r. nieznana z nazwiska nauczycielka języka polskiego ze Smoleńska opracowała w zwykłym szkolnym zeszycie *Historyję polskiej literatury* dla klasy V i VI. Drugi zeszyt, z 1888 r., zawiera przepisane przez nią wiersze.

Zeszyty trafiły do zbiorów **Harrego Dudy**, opolskiego poety, absolwenta opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej.

Te zeszyty to niezwykła lekcja literatury, historii, a przy okazji – dawno zapomnianej sztuki kaligrafii.

(b)



Agnieszka Wojcieszek

Perwersyjny laureat Nobla

Okazuje się, że wyszukane eksperymenty cieleśne, seanse magiczne, obrzędy krwawego biczowania, okultystyczne ceremonie, bezlitosne morderstwa, zbiorowe samobójstwa czy wysublimowane praktyki seksualne mogą stać się przedmiotem poważnych, niebanalnych refleksji naukowych.

Z tak sugestywnymi obrazami perwersji w literaturze mieli bowiem okazję zetknąć się uczestnicy ogólnopolskiej konferencji naukowej zatytułowanej *Perwersja w literaturze, literatura w perwersji*, 9 maja br. w Słupsku. Tematyka spotkała się z zainteresowaniem badaczy z 26 ośrodków akademickich całego kraju, którzy przez kilka godzin dyskutowali z nieukrywającym podekscytowaniem.

W wystąpieniach wspominali nie tylko o sposobach literackiego obrazowania, ale również o roli perwersji w kulturze. Stąd rzut oka na rzymską seksualność, fatalne kobiety Leopolda von Sacher-Masocha, perwersyjne pożądania Józefa K. czy homoerotyzm zawarty w twórczości Michała Choromańskiego. Pewnym zaskoczeniem okazały się rozważania na temat obsesji śmierci, jaka zdominowała życie Per Yngve Ohlina – wokalisty blackmetalowej grupy *Mayhem*. Nie zabrakło spodziewanej *Lolity* Nabokova, osławionych *120 dni Sodomy* Markiza de Sade czy analizy rytuału przejścia obecnego u Iana McEwana, zwanego – skądinąd całkiem słusznie – „Janem Makabrą”.

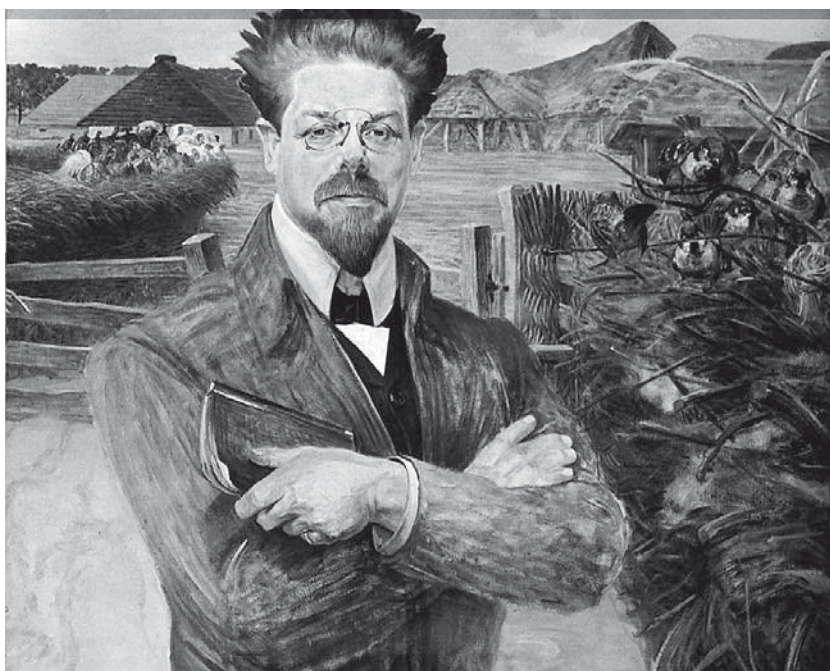
Wydawać by się mogło, że w tym przepelnionym aurą wynaturzenia środowisku (mówię, rzecz jasna, o analizowanych pisarzach, a nie o analizujących badaczach), nie ma miejsca dla mistrza prozy realistycznej – Władysława Stanisława Reymonta. Teksty z pogranicza parapsychologii, które zwykło się sytuować na obrzeżach pokazanego dorobku prozatorskiego pisarza, wskazują jednak na coś zgoła odwrotnego.

Najlepszym dowodem jest powieść *Wampir*, uznawana zarazem za apogeum i epicentrum spirytystycznej części literackiego dziedzictwa autora. Na marginesie wspomnieć należy, że tekst ten – doskonale wpisujący się zresztą w enigmatyczny charakter epoki – pisany był na zamówienie. Oznacza to, że przynajmniej po części zgodny był on z oczekiwaniami

wydawcy oraz rygorystycznymi prawami rynku czytelniczego. Z całą świadomością trzeba jednak powiedzieć, że jest on również owocem autentycznych fascynacji światem mediumizmu oraz efektem ulegania młodopolskiej modzie na „latające stołki”. To wszystko sprawia, że wielokrotnie przerabiany i długo dopracowywany *Wampir* do dziś stanowi najlepsze świadectwo istnienia metafizycznych zainteresowań pisarza.

Władysław Stanisław Reymont w nieco innej odsłonie proponuje swoim czytelnikom niezapomnianą podróż po szarym i mglistym Londynie – miejscu przeklętym na mapie Europy. Przerażający moloch staje się przestrzenią triumfu instynktu, hołdu wobec zepsucia, wyrazem moralnego upadku i znakiem wciąż postępującej degrengolady. Tym, którzy bez lęku przyjmą obraz nieznośnego chaosu podyktowanego bezprawiem działalności sekt, uliczną prostytutką czy narkotycznymi wizjami społeczeństwa, Reymont ukazuje swoje niepoprawne, perwersyjne oblicze. Z dala od Lipiec i ziemi obiecanej niezwykle obserwator rzeczywistości odsłania tajemnice podziemia spirytystycznego, które uruchamiając niezwykle potężną maszynę manipulacji i obsesji – w fenomenalny sposób obnaża sferę ludzkich słabości.

Podczas jednego z seansów między uczestnikami pogrążonymi w spazmatycznym tańcu dochodzi do rytuału krwawego biczowania. Wokół słychać jedynie przerażające jęki zgromadzonych i uderzania różg po



Władysław S. Reymont na portrecie Jacka Malczewskiego (obraz w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie)

nagich ciałach. Jedni grzeją się w ogniu świętego męczeństwa, drudzy szukają spełnienia w erotycznej nędzy, a jeszcze inni tracą przytomność wskutek niekontrolowanego uderzenia głową o ścianę. Krew tryska. W takiej atmosferze dochodzi do postępującej reifikacji – uprzedmiotowienia ciała człowieka, które staje się obiektem perwersyjnego pożądania, obietnicą zaspokojenia zwierzęcej chuci, narzędziem cierpienia. Niestety, pod maską *sacrum*, świętej gorączki i męczeńskiego szału, kryje się gnijąca przestrzeń *profanum*. Jest ona znakiem obecności potrzeb cielesnych, które w obliczu tradycji i etycznych norm tętnią niczym podskórny wrzód, domagając się zaspokojenia za wszelką cenę. Cieleśność staje się tu cierniem na nieskalanej płaszczyźnie moralności – cierniem, który w sposób niekontrolowany rozrasta się pod wpływem niezdrowej hipertrofii pożądania.

W tym seksualnym imperium okultyzmu króluje Bafomet – bóstwo, którego Reymont świadomie nie odziera z erotycznego kontekstu. Ku czci rogatego bożka dochodzi więc do wymownego mordy białego baranka, którego następnie rzuca się na pożarcie panterze. Pośród korowodu przerażających zjaw, krwiożerczych wampirów czy oślizgłych płazów poświęca się zwierzęciu również rozkrzyżowane ciało rudowłosej Daisy – lubieżnej kobiety fatalnej. Całość kończy się momentem orgiastycznego uniesienia, które nosi wyraźne znamiona profanacji.

Po wszystkim, zamiast zapowiadanego spełnienia, pozostaje jednak gorycz rozczarowania i smak wstydu. Okultystyczne obrzędy o charakterze sakralno-seksualnym rozmywiają bowiem perspektywę ludzkich dążeń, ambicji i marzeń. Wszechobecna mgła zdaje się spowijać horyzont racjonalizmu, powodując tym samym niemoc umysłów i brak zdolności działania. Obietnica odnalezienia alternatywnej rzeczywistości okazuje

się całkowicie złudna, albowiem jest wynikiem świadomej mistyfikacji. Cenę za chwilową ucieczkę od codzienności stanowi moralny upadek społeczeństwa i jego wewnętrzne zniewolenie. Na poły somnambuliczni londyńczycy, patrząc z nadzieją w światło mądrości Wschodu, nieświadomie podążają ścieżką perwersji wprost ku zbiorowej zagładzie.

Twórczość Władysława Stanisława Reymonta zawiera także elementy kontrowersyjne, które do tej pory na forum dociekań naukowych traktowane były w sposób marginalny. Być może zmianę takiego stanu rzeczy przyniesie ze sobą, zauważalne w ostatnich latach, otwarcie na zjawiska metafizyczne, wzrost akceptacji wobec literackich obrazów patologii i osobliwe zapotrzebowanie na transgresję.

W tym kontekście Reymont interesująco wypada na tle wspomnianych już guru literackiej perwersji. Nieco szkodzi mu jedynie stereotyp mistrza-realisty, przechodzący niekiedy w obraz wiejskiego gawędziarza czy nudnego poczciwiny. Druga twarz młodopolskiego twórcy, będąca pochodną autentycznych doświadczeń, jest równie prawdziwa jak wizerunek naturalisty. Przewrotnie można nawet powiedzieć, iż ów dualizm ścieżki pisarskiej autora wynika z jego podwójnego życia.

Ten autentyzm wciąga. Okazuje się więc, że Reymont świadomie zaraża czytelników magicznym wirusem wysokiego ryzyka. Jedno zetknięcie z jego spirytystycznym dorobkiem może rozbudzić wyobraźnię czytelnika i spowodować u niego osobliwą lawinę całkiem nowych pragnień. W tej perspektywie jednak niezwykle ryzykowne wydaje się już samo obcowanie z literaturą. Nie od dziś wiadomo przecież, że pasja literacka to ten rodzaj choroby, na którą – przy dostępie do dobrych powieści – nie umiera się szybko, ale z którą – w konsumpcyjnym świecie XXI wieku – niełatwo żyć.

Encyklopedia, album i gawęda w jednym

W „Gazecie Wyborczej” z 29 kwietnia br. („Ale historia”) ukazała się recenzja drugiego tomu *Kresowej Atlantydy* Stanisława S. Niciej. Jej autor, Mirosław Maciorowski, pisze m.in.:

„Kresowej literatury ukazują się dużo, a dominują wspomnienia, opowieści idealizujące utraconą arkadię, gdzie ziemia była żyźniejsza, powietrze czystsze, a widoki piękniejsze. W *Kresowej Atlantydzie* nie brak tych klimatów, ale to zupełnie inna książka (...).

W wydanym właśnie drugim tomie *Atlantydy* Niciej zajął się galicyjskimi kurortami, opisując miasta i miasteczka na najbardziej na południe wysuniętych

kresach, czyli Worochtę i Jaremce, ale też położone bardziej na północ – Morsztyn, Skolei i Truskawiec. W opowieści o Worochcie i Jaremczu – huculskich kurortach wschodnich Karpat – najbardziej fascynuje historia budowy malowniczej linii kolejowej, którą przez te miejscowości zbudowano u schyłku XIX w. To właśnie ona zdecydowała o turystycznym sukcesie obu kurortów.

Trasa miała blisko 100 km długości i łączyła Galicję Wschodnią z Królestwem Węgier, a konkretnie Stanisławów z Marmaros-Sziget. Biegła między górskimi szczytami, nad głębokimi dolinami, czterokrotnie przecinając bystre wody Prutu. Projekt i budowę żela-

znej trasy austriackie ministerstwo kolei żelaznych powierzyło słynnemu polskiemu inżynierowi Stanisławowi Rawicz-Kosińskiemu.

Architektonicznymi perłami tej kolejowej drogi były dzieła inż. Zygmunta Kulki, którego Kosiński zaprosił do współpracy. To m.in. przypominający rzymskie akwenu kamienny most nad Prutem w Jaremczu (205 m długości i 31 m wysokości) oraz kilkusetmetrowy wiadukt w Worochcie. Niestety, tylko ten drugi, mniej okazały, przetrwał wojny światowe.

Z drugiego tomu *Atlantydy* dowiemy się też, że to nie Białowieża była w II RP mekką myśliwych, ale Skole i obfitujące we wszelaką zwierzynę okoliczne lasy. A także, że w II RP wyjazd do wód nie musiał oznaczać podróży do kujawskiego Ciechocinka albo litewskich Druskiennik, ale wyprawę do galicyjskiego Morsztyna, *polskiego Karlsbadu*.

Bardzo mocną stroną dzieła Niciei jest ikonografia – w zasadzie same ilustracje z opisami można by wydać jako odrębny album. Profesor przez 30 lat zgromadził unikatowy zbiór zdjęć z albumów rodzinnych, fotografii prasowych, pocztówek, dokumentów i reprodukcji obrazów. Niektóre wzruszają sielskością, inne cieszą oko urodą przedstawionych miejsc, jeszcze inne zadziwiają, jak np. reklamówka błotnych kąpeli borowinowych w Truskawcu z 1903 r., na której dwie

gołe panie pakują się do wanny wypełnionej leczniczym błotkiem.

Kresowej literatury ukazuje się dużo, a dominują wspomnienia, zwykle sentymentalne opowieści idealizujące utraconą arkadię. Niciei udało się połączyć nostalgiczny ton z wynikami swoich wieloletnich badań naukowych. Z tego mariażu powstała książka będąca kresowym almanachem, encyklopedią, słownikiem biograficznym, historyczną gawędą, przewodnikiem turystycznym, esejem kulturalnym, etnograficznym zbiorem mitów i legend, i w końcu zbiorem anegdot i ciekawostek.

Profesor podróżuje po kresowej Atlantydzie z południa na północ. W trzecim tomie, który ma się ukazać pod koniec czerwca, opisze Zaleszczyki, Kosów, Kolumbia, Żabie i – jeśli się zmieszczą – Chodorów i Kałusz.

A potem Wołyń, Polesie, Podlasie i Grodzieńszczyzna. A jak już dotrze do Wileńszczyzny (*Atlantyda* ma mieć 15–20 tomów po mniej więcej 300 stron!), powstanie dzieło wyjątkowe – najbardziej wyczerpujący, kompletny i fascynujący fresk o dawnej wschodniej Polsce”.

Mirosław Maciorowski

Jerzy Duda

Lekarstwo na amnezję

Doktor Tadeusz Kukiz Kustoszem Pamięci Narodowej

Serca były ściśnięte. Każdy, patrząc na owe mury, myślał sobie w duszy: „Miły domie, zali cię zobaczę jeszcze w życiu?”. Wyjechać łatwo, ale wrócić trudno. A przecież każdy część jakowąś duszy w tych miejscach zostawiał i pamięć słodką. Wszystkie oczy zwracały się po raz ostatni na zamek, na miasto, na wieże kościołów i kopuły cerkwi, i dachy domów. Każdy wiedział, co tu zostawiał, a nie wiedział, co go tam czekało w owej sieniej dali, ku której dążył tabor...

Henryk Sienkiewicz – „Ogniem i mieczem”

Tak Henryk Sienkiewicz opisał wyjście z Łubniów oddziałów rycerskich Jeremiego Wiśniowieckiego. Działo się to w połowie XVII wieku. Niemal dokładnie trzysta lat później – w czasie trwania drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu – setki tysięcy Polaków zostało wypędzonych z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej, ze swojej ojcowizny. Towarzyszył im bezmierny żal za tym, co zostawiali, za tą ziemią, gdzie przeminęło ich dzieciństwo i młodość. Wyjeżdżając w nieznaną, zabierali z sobą do wagonów towarowych i na lory, to co udało się uchronić przed wojenną pożogą. Niewiele tego było. O jednym pamiętali zawsze – o tym, by w swoją drogę krzyżową zabrać, to co dla nich najświętsze, co im i ich przodkom towarzyszyło

w codziennych zmaganiach z losem, a także podczas świąt i uroczystości – o świętych obrazach, a szczególnie o darzonych wielką czcią obrazach swojej Matki Bożej, zwykle królujących w głównym ołtarzu.

Większość tych obrazów trafiających do Polski w nowych jej granicach, przywiezionych właśnie przez wiernych i ich duszpasterzy odnalazł – nierzadko w odległych zakątkach kraju – a następnie z benedyktyńskim trudem zbadał i opisał ceniony opolski lekarz Tadeusz Kukiz. W ten sposób powstał cykl wielotomowy *Madonnom Kresowym* poświęcony. Każdy rozdział książek, pod ogólnym tytułem *Madonny Kresowe*, to minimonografia obejmująca historię obrazu Maryjnego, jego kultu (czasem związanej z nim legen-

dy), dzieje miejscowości, z której pochodzi, wzmianki o mieszkańcach, współuczestnikach historii związanych z obrazem (zwłaszcza o tych, którzy zadbali o przewiezienie wizerunku do nowego miejsca osiedlenia, co nierzadko było związane z dużym ryzykiem, wręcz z niebezpieczeństwem). Autor podaje również aktualne informacje o tamtejszym kościele.

O narodzinach swojej pasji Tadeusz Kukiz tak opowiadał we wrocławskim Ossolineum:

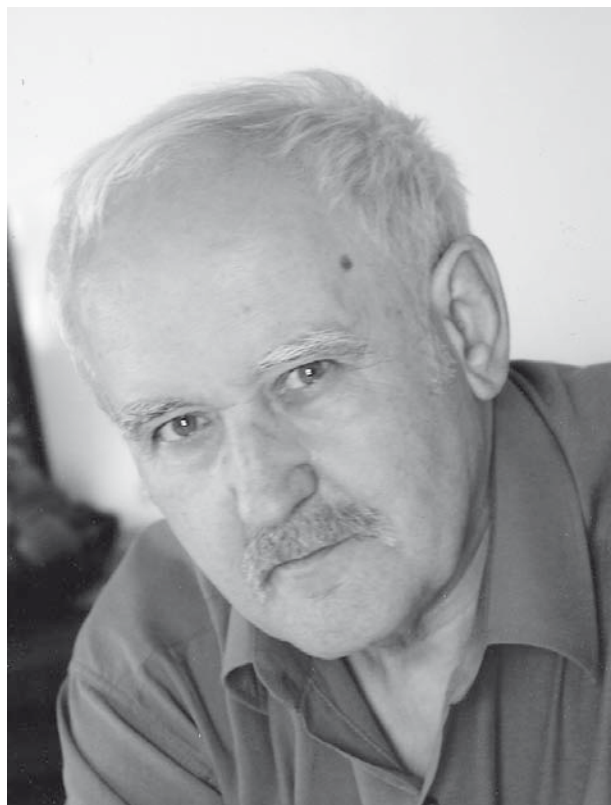
– Kiedy w połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku kustosz sanktuarium w Wójcicach koło Otmuchowa, gdzie przechowywany jest cudowny obraz Matki Boskiej Łopatynskiej z Łopatyna, przygotowywał uroczystość koronacji tego wizerunku i zwrócił się do mnie o napisanie dla wiernych popularnego tekstu o jego dziejach, jako dawny mieszkaniec Łopatyna, interesujący się historią tego miasteczka, odmówić nie mogłem. Rozpytując dawnych mieszkańców i dokonując kwerend w kościelnych archiwach i bibliotekach, zorientowałem się, że obrazów Maryjnych przewiezionych z kresowych świątyń jest więcej. Prawie w każdy weekend i podczas urlopów jeździłem – często z żoną – do miast i wsi, o których już wiedziałem, że znajdują się tam obrazy z Kresów, i poszukiwałem osób, które mogłyby znać okoliczności przeniesienia. Zebrane i opracowane wywiady, uzupełnione danymi historycznymi, przepisywała żona. W wyniku tych prac w latach 1997–2002 wyszła sześciotomowa seria, licząca blisko 1500 stron i zawierająca setki ilustracji, opisująca losy około 140 wizerunków Madonn...

Tadeusz Kukiz jest lekarzem. Swoją pracę zawodową zawsze traktował jako służbę, pełnił ją z wielkim oddaniem, traktował ludzi chorych jako osoby potrzebujące nie tylko profesjonalnej porady, ale także serdecznego, życzliwego słowa. Wszędzie tam, gdzie pracował – w Warszawie, Paczkowie, Niemodlinie – pozostał w pamięci ludzi jako szlachetny, zawsze śpieszący z pomocą lekarz.

Ale wcześniej było dramatyczne dzieciństwo i niełatwa młodość, tak charakterystyczne dla wielu pochodzących z Kresów Wschodnich.

Tadeusz Kukiz urodził się 9 maja 1932 roku w Dębownicy, w powiecie radziechowskim (woj. tarnopolskie), w rodzinie Anny z Tomaszewskich i Mariana Kukiza, komendanta posterunków Policji Państwowej kolejno w kilku okolicznych miejscowościach, a w ostatnich latach przed wojną w Narajowie i Zborowie. 10 kwietnia 1940 roku Marian Kukiz został aresztowany przez NKWD i po przewiezieniu do Lwowa osadzony w Brygidkach. 26 czerwca 1941 roku zginął podczas znanych sowieckich mordów w więzieniach na Kresach, tuż przed wkroczeniem Niemców. Miejsce jego spoczynku nie jest znane.

Trzy dni po aresztowaniu ojca, Tadeusz wraz z matką i siostrą Janiną, podzielił los setek tysięcy mieszkańców kresowych miejscowości – zostali zesłani do obwodu pawłodarskiego, w północno-wschodnim Kazachstanie. Matka pracowała fizycznie w kopalni żło-



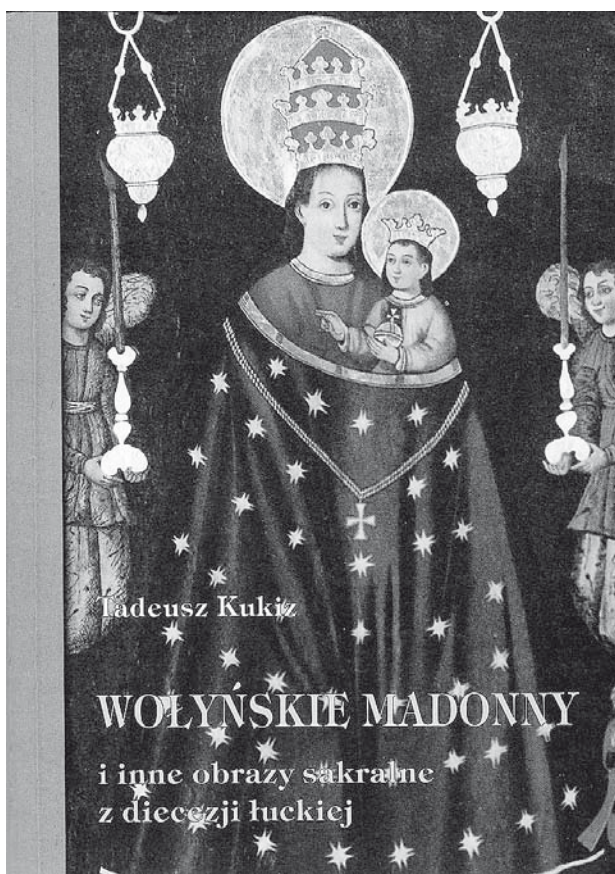
Tadeusz Kukiz

ta w Majkainie, niepełnoletnia siostra w cegielni, a on najczęściej stał w kolejkach, by zdobyć cokolwiek do jedzenia. Z powodu częstych chorób do szkoły uczęszczał z dużymi przerwami – najpierw do rosyjskiej, później krótko do polskiej i znowu do rosyjskiej (po zerwaniu przez Sowieców stosunków dyplomatycznych z polskim rządem emigracyjnym).

W czerwcu 1946 roku rodzina powróciła do Polski i zamieszkała w Jesionie koło Prudnika. W 1951 roku w Liceum Ogólnokształcącym w Prudniku Tadeusz złożył egzamin dojrzałości i w tym samym roku podjął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Pałackiego w Ołomuńcu. Od 1952 roku studiował w kraju, kolejno w Akademii Medycznych w Zabrze-Rokitnicy, Lublinie i w Warszawie, gdzie należał do Studenckiego Towarzystwa Naukowego – Koło przy Zakładzie Epidemiologii. Dyplom lekarza uzyskał w 1957 roku.

Pracę zawodową rozpoczął jeszcze w okresie studiów, w Zakładzie Epidemiologii Akademii Medycznej w Warszawie, kierowanym przez prof. Jana Kostrzewskiego (w przyszłości prezesa Polskiej Akademii Nauk). Równocześnie jako stypendysta Studium Doskonalenia Lekarzy specjalizował się w chorobach zakaźnych (1960–1962). Z powodu braku mieszkania wyjechał z Warszawy.

Od 1962 roku związany ze Śląskiem Opolskim, początkowo z Paczkowem, gdzie od 1965 roku pracę w Oddziale Chorób Wewnętrznych łączył z kierowaniem Przychodnią Rejonową, w której zorganizował gabinety rentgenodiagnostyki i elektrokardiografii, a także wzorowo wyposażone laboratorium analityczne.



Okładka jednej z książek Tadeusza Kukiza

W 1969 roku uzyskał II stopień specjalizacji w zakresie chorób wewnętrznych. Po wygraniu konkursu objął stanowisko ordynatora Oddziału Chorób Wewnętrznych Szpitala Powiatowego w Niemodlinie. W mieście tym przez kilka lat pełnił również obowiązki kierownika Oddziału Terenowego ZOZ. W 1971 roku utworzył tu Koło Polskiego Towarzystwa Lekarskiego i prowadził je ponad dwadzieścia lat. Kierował specjalizacją kilkunastu lekarzy; jako członek Opolskiego Oddziału Towarzystwa Internistów zorganizował kilka konferencji naukowo-szkoleniowych. W tym czasie opublikował w czasopiśmie medycznych kolejne prace poświęcone sprawom leczenia chorób zakaźnych. W 1990 roku wchodził w skład grupy inicjatywnej, powołującej Opolską Izbę Lekarską.

Począwszy od lat siedemdziesiątych minionego wieku należał do Towarzystwa Przyjaciół Książki i przez dwie kadencje był prezesem Oddziału Opolskiego.

W 1998 roku współtworzył Opolski Oddział Związku Sybiraków oraz aktywnie uczestniczył w pracach Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, popularyzując w radiu i w czasopiśmie wiedzę o historii i kulturze ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej.

Po wydaniu serii książek o *Madonnach Kresowych* i dopełniających tę tematykę *Wołyńskich Madonnach* (wszystkie miały po dwa wydania) opublikował obszernie prace o kresowych miejscowościach, z którymi związane były dzieje jego rodziny: *Łopatyn. Dzieje i zabytki* (2004); *Ziemia radziechowska i ludzie stam-*

tań (2008); *Uhnów. Kresowe miasteczko nad Sołokiją* (2010); *Kukizów. Miasteczko koło Lwowa* (2010). Swoje badania dotyczące pochodzenia nazwiska „Kukiz” przedstawił w książce *Kukizowscy i Kukizowie. Poszukiwanie rodowego gniazda* (2011). Jego artykuły (ponad 200) dotyczące tematyki kresowej są rozproszone w kilkunastu czasopiśmie krajowych i polonijnych.

Za swoje osiągnięcia zawodowe i publicystyczne Tadeusz Kukiz odznaczony został Srebrnym Krzyżem Zasługi, kilkoma medalami, odznakami i nagrodami. Z nich najbardziej sobie ceni tę „Za Wzorową Pracę w Służbie Zdrowia”, „Zasłużonemu Opolszczyźnie” i „Nagrodę im. dr. Stefana Kuczyńskiego” przyznaną w 2011 roku przez Stowarzyszenie Lekarzy Dolnośląskich i Wychowanków Medycyny Wrocławskiej. Ostatnio radość sprawił mu medal „Zasłużonemu Kulturze Gloria Artis”, a zwłaszcza nagroda i tytuł „Kustosza Pamięci Narodowej”, wręczona 22 maja 2013 roku na Zamku Królewskim w Warszawie. Zgodnie z regulaminem Kapituła Nagrody wyróżnia tytułem „Kustosz Pamięci Narodowej” organizacje, instytucje i osoby fizyczne, które w sposób szczególny angażują się w proces upamiętniania dziejów narodu w latach 1939–1989, albo których działalność zbieżna jest z zadaniami wyznaczonymi przez ustawodawcę Instytutowi Pamięci Narodowej.

Twórczość Tadeusza Kukiza spotykała się i spotyka z uznaniem, świadczą o tym nie tylko słowa wdzięczności, kierowane do niego przez dawnych mieszkańców Kresów Wschodnich, ale także liczne adresy okolicznościowe.

Wielkim i niezawodnym wsparciem w realizacji pasji doktora Kukiza była rodzina: wielokrotnie towarzysząca w wyprawach badawczych żona Marianna z Nowakowskich – śpiewaczka i nauczycielka muzyki, a także córka Grażyna – lekarz stomatolog i syn Paweł – kompozytor, piosenkarz i aktor.

Dr Adam Wierciński najpiękniej i najserdeczniej scharakteryzował jego dokonania: *Tadeusz Kukiz – lekarz, bibliofil, kolekcjoner, znawca dziejów Galicji Wschodniej, wie wszystko o tych Podkamieniach, Radziechowach, Żółkwiach, Brodach, Buskach, Monasterzyskach, Kamionkach... i o głośnych postaciach stamtąd. O mniej głośnych też... Z tyłu przestrzeni geograficznych i duchowych pochodzi: z Łopatyna, Uhnowa, Kukizowa, z pawłodarskiej oblasti, z Prudnika, Ołomuńca, Niemodlina.... i z Wrocławia. Wyleczył zapewne kilka tysięcy osób, napisał (...) m.in. wielostronny poświęcony Madonnom Kresowym i prawie dwieście tekstów rozrzuconych na łamach czasopism i gazet. Łączy z powodzeniem cechy, wydawałoby się, nie do pogodzenia, za rzadko chodzące u nas w parze: rzeczowość i fantazję, solidność i marzycielstwo, pragmatyzm i szacunek dla imponderabiliów...*

Bytomska pamięć o prof. W. Studenckim

Niezwykły patron niezwykłej biblioteki

W 20. rocznicę nadania bytomskiej bibliotece imienia prof. Władysława Studenckiego Urząd Miejski w Bytomiu opublikował specjalne, okolicznościowe wydawnictwo pod **red. Piotra Obrączki**, który nie tylko był doktorantem profesora, ale również wieloletnim współpracownikiem i profesorem w Katedrze Historii Literatury Polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu.

W publikacji znalazł się między innymi pełny tekst uchwały Rady Miasta, nadającej Patrona bibliotece. Z dokumentu wynika, że inicjatywa uczczenia pamięci profesora Studenckiego wyszła od jego byłych wychowanków, absolwentów Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Smolenia. I tak oto okazało się, że placówka oświatowa, odwołująca się do tradycji męskiego Gimnazjum Polskiego w Bytomiu, które powstało w 1932 roku w ówczesnych granicach Rzeszy niemieckiej za sprawą działaczy Związku Polaków Niemczech z rejencji opolskiej, symbolicznie spłótła się z tradycją stosunkowo młodego akademickiego Opoła. Wszak to z Bytomia trafił do nowo przeniesionej z Wrocławia uczelni pedagogicznej wyróżniający się nauczyciel, który wypromował niezliczone grono absolwentów uczelni, przekształconej z czasem w Uniwersytet Opolski. Zresztą profesor Studencki przez blisko 30 lat dojeżdżał na zajęcia do Opoła, a z kolei do Bytomia dojeżdżali opolscy naukowcy i nauczyciele, między innymi na spotkania literackie i naukowe.

W tomie znajdują się wzruszające wspomnienia wychowanków i współpracowników Profesora. Nieżyjący już **prof. Zdzisław**

Piasecki omawia dorobek naukowy Profesora oraz snuje własne refleksje, podkreślając zwłaszcza jego niezwykłą życzliwość, serdeczność i opiekuńczość okazywaną młodzieży studenckiej. **Edward Polanowski**, również już nieżyjący, był rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, kreśląc szkic do portretu profesora, wyeksponował jego *profesorską godność* i dążenie do kompromisu: *Lubił otaczać się osobami zdolnymi do tworzenia atmosfery sympatii i pogody.*

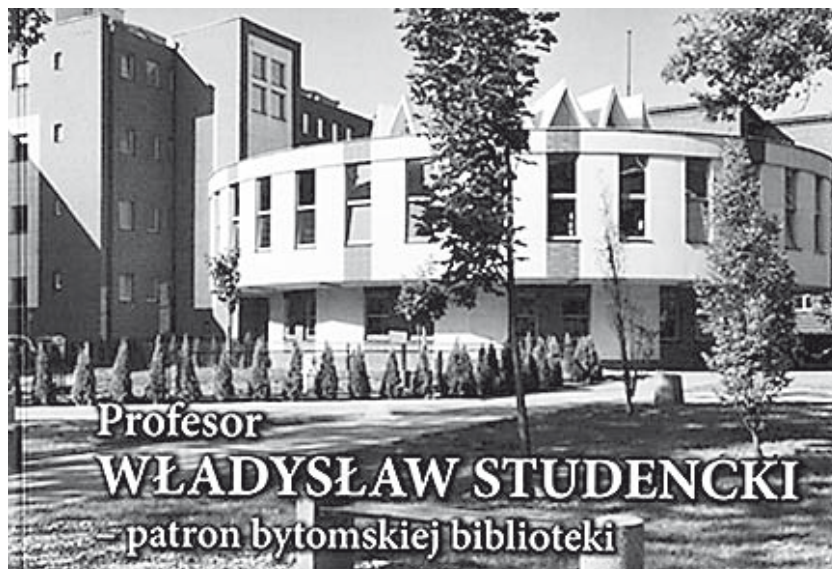
Był typem przedwojennego inteligenta z Galicji, jak to z sympatią określił jeden z najmłodszych jego uczniów **dr Adam Wierciński**. Z krótkich i dłuższych wspomnień (**prof. Feliksa Pluty**, **bp. Jana Kopca**, byłego ucznia bytomskiego liceum), z myśli „nieuczczonych” (choćby **prof. Władysława Hendzla**), ciepłych refleksji (**prof. Adeli Pryszczewskiej-Kozolub**), precyzyjnych ustaleń wielu drobnych faktów (**prof. Piotra Obrączki**) wyłania się postać wyjątkowa,

niezwykły patron biblioteki miejskiej w Bytomiu. Biblioteki równie wyjątkowej, bo jej początki sięgają końca XIX wieku (1899 roku), *kiedy to powstało w Bytomiu Niemieckie Stowarzyszenie Miłośników Książek. Zbiory tej instytucji wraz z księgozbiorem Biblioteki Ludowej stały się podstawą Miejskiej Biblioteki w Bytomiu (1923), przejętej w kwietniu 1945 roku przez polskie władze cywilne – dopowiada na skrzydełku okładki Sebastian Woźniak.*

Publikacja jest niezwykle starannie wydana, bogata w fotografie przywołujące postacie naukowców, tworzących podwaliny opolskiego środowiska akademickiego.

(j)

Profesor Władysław Studencki – patron bytomskiej biblioteki (oprac. Piotr Obrączka), wyd. Urząd Miejski w Bytomiu, Bytom 2012



Muzyka bez tłumacza

11 maja br. w pięknej scenarii dziedzińca Brunnenhof, w pobliżu sławnej antycznej bramy rzymskiej Porta Nigra w Trewirze, miał miejsce wspaniały koncert w wykonaniu studentów niemieckich i polskich z zaprzyjaźnionych miast Trewiru i Opoli, który zakończył trwające cały tydzień warsztaty muzyczne *Musik braucht keinen Dolmetscher*.

Projekt zakładał, że studenci z uczelni w Trewirze i studenci z uniwersytetu w Opolu, poprzez wspólną pracę artystyczną, a także poprzez przebywanie ze sobą lepiej się poznają i rozumieją. Idea takich spotkań młodzieży polskiej i niemieckiej narodziła się przed siedemnastu laty pomiędzy ówczesnym kanclerzem Uniwersytetu Opolskiego **mgr. inż. Andrzejem Kimlą** a organizacją Studirendewerk Trier. Wspólnie realizowane przez lata projekty dotyczyły wielu bardzo różnych aspektów studenckiego i akademickiego życia.

W tym roku gospodarzem projektu była strona niemiecka, a przeprowadzenia warsztatów ponownie podjął się **dr Marian Bi-**



Uczestnicy polsko-niemieckich warsztatów w Trewirze

liński, wykładowca przedmiotów muzycznych w Instytucie Studiów Edukacyjnych UO. Doboru utworów muzycznych dokonali wspólnie studenci polscy i niemieccy (utwory te zostały następnie przygotowane w trakcie żmudnych i intensywnych prób w czasie jednego tygodnia).

W całym przedsięwzięciu uczestniczyło siedmioro studentów niemieckich reprezentujących wszystkie uczelnie Trewiru oraz ośmioro studentów Instytutu Studiów Edukacyjnych UO, który był

także współkoordynatorem projektu.

Mimo ciężkiej pracy artystycznej studenci znaleźli czas na zwiedzanie pięknego Trewiru i okolic, a także na jednodniowy wyjazd do pobliskiego Luxemburga. Dzięki doskonałej atmosferze panującej na warsztatach, dobrej organizacji zajęć, a także uzdolnionym uczestnikom, zostały osiągnięte wszystkie założone wcześniej cele artystyczne i integracyjne, a sobotni plenerowy koncert kończący



Wspólne muzykowanie na dziedzińcu Brunnenhof. Przy fortepianie – dr Marian Biliński

projekt można uznać za wspaniałe artystyczne wydarzenie.

Na scenie dziedzińca w Brunnenhof wystąpili: **Adriana Iszczyńska, Linda Wencel, Agata Olszewska, Aleksandra Thomas, Klaudia Budner, Kamila Lenart, Patrycja Ressel, Teresa Szkanedrova, Markus Tilichi, Evelyn Fi-**

scher, Nicola Gabriel, Lisa Heinrich.

W koncercie, poza uczestnikami warsztatów, wzięła także udział rokowa grupa muzyczna *Monkey Ranch* prowadzona przez **Markusa Tilichi**, który jako wokalista brał również udział w pracach nad tym polsko-niemieckim projektem.

Wszystkim wykonawcom akompaniowali: na fortepianie – **dr Marian Biliński**, na perkusji – **Antje Brandt**, na instrumentach klawiszowych – **Przemysław Ozga**, na trąbce – **Miran Wartenberg**, a na gitarze – **Tobias Kranz**.

Marian Biliński

Dni Kultur Słowiańskich 2013

Filolog przedsiębiorczy

Jak nauczyć humanistę, a konkretnie filologa, tak często ostatnio postulowanej przedsiębiorczości? Pozwolić mu realizować jego zainteresowania. Tegoroczne Dni Kultur Słowiańskich, organizowane przez Studenckie Naukowe Koło Sławistów i Naukowe Koło Kultury Rosyjskiej, były wypadkową pasji i operatywności studentów Katedry Sławistyki Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa oraz Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej.

Dni Kultur Słowiańskich mają już kilkunastoletnią tradycję, zapoczątkowane zostały przez **mgr. Gorana Injaca**, lektora języka serbskiego, i przez wiele edycji utrzymywały podobną formułę. W ramach Dni odbywały się wykłady zaproszonych z akademickich ośrodków polskich i zagranicznych wybitnych sławistów, wystawy, koncerty oraz przeglądy filmów słowiańskich, a ciężar organizacyjny kilkudniowej imprezy spoczywał na barkach wykładowców Katedry Sławistyki.

Formuła zaczęła zmieniać się od ubiegłego roku, kiedy Studenckie Naukowe Koło Sławistów zaczęło bardzo prężnie działać dzięki włączonym w jego prace doktorantom – **mgr Martynie Ecler** i **mgr Agacie Kocot**. Program został ułożony z inicjatywy studentów i przy ścisłej ich współpracy z nauczycielami akademickimi. Jednak radykalną przemianę Dni Kultur Słowiańskich przeszły w bieżą-

cym roku, gdyż za jego organizatorów mogą się uważać wyłącznie studenci – przy wsparciu (przede wszystkim moralnym) wykładowców.

To trwające trzy dni – od 10 do 12 kwietnia br. – wydarzenie obfitowało w różnorodne imprezy, których większość (po raz pierwszy) toczyło się poza uczelnią. Jedynie warsztaty pisania twórczego w językach kierunkowych, prowadzone przez wykładowców z Czech – **dr. Antonína Kudláča** i **dr. Jiřego Studenego** oraz z Serbii – **mgr. Srđana Papicia-Jugicia** i **mgr. Srđana Opicia** miały miejsce w salach wykładowych. Organizatorzy Dni nawiązali współ-

pracę z placówkami kulturalnymi i oświatowymi – w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. E. Smółki w Opolu odbyły się: wystawa **Agaty Malec** *Autostopem przez Rosję* oraz *Spotkanie z podróżnikami*, którego gośćmi byli **Paweł Lickiewicz**, prezentujący temat *Jekaterynburg – sukces centralnie planowany* oraz **Wojciech Śmieja**, który opowiedział wyprawach do Kosowskiej Mitrovicy i o ludziach z gór.

Współpraca nawiązana z Zespołem Szkół Zawodowych nr 4 w Opolu zaowocowała warsztatami kulinarnymi *Slavik Kičn Revolucja*, podczas których pod okiem zawodowego kucharza studen-



Grupa wokalnno-teatralna *Slaviki*

ci i wszyscy zainteresowani uczyli się przyrządzać tradycyjne dania czeskie i rosyjskie. Degustacja potraw miała miejsce w Narodowym Centrum Polskiej Piosenki, które było też miejscem tradycyjnego koncertu słowiańskiego. Tegoroczny koncert miał szczególnie charakter, gdyż obok profesjonalnego zespołu *Satisfaction*, grającego muzykę bałkańską, zaprezentowała się grupa wokalnno-teatralna *Slaviki*, składająca się z członków sekcji artystycznej Studenckiego Naukowego Koła Słowistów, prowadzonej przez doktorantkę **mgr Martynę Ecler** i lektorkę języka czeskiego **mgr Zuzanę Bušíkovą**.

W ramach Dni Kultur Słowiańskich odbył się też finał Konkursu Recytatorskiego Poezji Słowiańskiej oraz został wyłoniony laureat Ogólnopolskiego Konkursu Twórczości Słowiańskiej. Imprezom towarzyszyły projekcje filmów słowiańskich.

W przygotowanie wszystkich imprez najwięcej pracy włożyli prezesi kół naukowych – **Adrian Zasina** i **Damian Fercho**, którzy także – wraz z grupą studentów sławistyki i filologii wschodniosłowiańskiej – realizują zakrojony na szeroką skalę unijny projekt *Slavic Inspirations* – czyli *Lech, Czech i Rus*, współfinansowany przez UE w ramach programu „Młodzież w Działaniu”. Dzięki właśnie temu projektowi mogły się odbyć warsz-



Warsztaty kulinarne *Slavik Kičn Revolušn*

taty kulinarne, konkurs recytatorski oraz konkurs twórczości słowiańskiej.

O wyjątkowości tegorocznych Dni świadczy też objęcie patronatem wydarzenia przez konsula honorowego Republiki Czeskiej i konsula honorowego Republiki Serbii z Katowic, **Ranko Tomovicia**, który zaszczylił nas swoją obecnością i zaproponował różne formy współpracy ze studentami i absolwentami serbistyki – między innymi opiekę nad niszczącym pomnikiem serbskich jeńców z I wojny światowej na cmentarzu w Łambinowicach. A o przedsiębiorczości studentów niech świadczy fakt, że Dni Kultur Słowiańskich swoim patronatem medialnym objęły wszystkie opolskie – profesjonalne i studenckie – media.

W Dniach Kultur Słowiańskich wzięło udział ponad 300 osób, w tym goście z Wrocławia – grupa licealistów z IX Liceum Ogólnokształcącego pod opieką **mgr Anny Chruścielskiej**, która pracuje w tej szkole jako nauczycielka m.in. języka czeskiego. Uczniowie byli pod wielkim wrażeniem tego, co robią opolscy studenci – mamy nadzieję, że wrażenie to zaowocuje także zwróceniem się w stronę Opola podczas wyboru studiów.

To krótkie sprawozdanie może sprawiać wrażenie listu pochwalnego napisanego na cześć studentów. Jeżeli nawet tak jest, list ten jest w pełni zasłużony. Zapał, z jakim studenci zajmowali się przygotowaniami, upór, z którym zwalczali wszystkie biurokratyczne przeszkody i pomysłowość w znajdowaniu wsparcia w różnorodnych instytucjach zasłużyły na dodatkowy wpis w indeksie. Ale przede wszystkim udowodniły, że utożsamianie pojęcia „humanista” z niezaradnością i brakiem pomysłu na samego siebie, co od pewnego czasu jest modnym tematem medialnym, to daleko idąca nadinterpretacja.

To krótkie sprawozdanie może sprawiać wrażenie listu pochwalnego napisanego na cześć studentów. Jeżeli nawet tak jest, list ten jest w pełni zasłużony. Zapał, z jakim studenci zajmowali się przygotowaniami, upór, z którym zwalczali wszystkie biurokratyczne przeszkody i pomysłowość w znajdowaniu wsparcia w różnorodnych instytucjach zasłużyły na dodatkowy wpis w indeksie. Ale przede wszystkim udowodniły, że utożsamianie pojęcia „humanista” z niezaradnością i brakiem pomysłu na samego siebie, co od pewnego czasu jest modnym tematem medialnym, to daleko idąca nadinterpretacja.



Wernisaż wystawy Agaty Malec *Autostopem przez Rosję*

Beata Gaj, Magdalena Ujma

Cultura Animi

XXII Dni Kultury Antycznej i II Dni Kultury Nowożytnej

W dniach 15–17 kwietnia br., w Opolu i na zamku w Rogowie Opolskim, miało miejsce nietypowe wydarzenie naukowo-kulturalne. Z inicjatywy **dr hab. Beaty Gaj** i **dr hab. Magdaleny Ujmy, prof. UO**, w Instytucie Historii UO po raz pierwszy połączone zostały obchody XXII Opolskich Dni Kultury Antycznej i II Dni Kultury Nowożytnej pod wspólnym tytułem *Cultura animi*. Ten pomysł, czyli połączenie ogólnokrajowej (a w przyszłości międzynarodowej) konferencji naukowej, konferencji studenckiej, interesujących warsztatów naukowych oraz atrakcyjnych wydarzeń kulturalnych, będzie w kolejnych latach kontynuowany.

Walory tego przymierza epok podkreślił otwierający sesję studencką rektor UO, **prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja**, który pochwalił przede wszystkim ideę połączenia sesji starożytnej z nowożytną w czasach, gdy tak często *szatkuje się historię*, nie doceniając dorobku przeszłości i nie zawsze rozumiejąc, jak wiele dziś znaczy korzystanie z jego bogactwa. Wraz z prodziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego **dr Anną Bokszezanin** podziękował organizatorom za włączenie studentów do organizacji konferencji oraz towarzyszących im imprez, a tym samym niezawężanie ich jedynie do kręgu specjalistów. Rektor podkreślił, jakże istotną w przeszłości, rolę ruchu studenckiego i pilną potrzebę jego odrodzenia obecnie: *Studia to czas szczególnie w życiu człowieka, tu nawiązują się przyjaźnie, często na całe życie, zaś koła naukowe to miejsca szczególnej konfrontacji myśli, z nich wywodzą się najbardziej kreatywni studenci,*

późniejsi często wybitni obywatele. Ruch studencki winien być zatem miejscem rozwijania pasji, wymiany myśli pomiędzy uczelniami i to nie w izolacji od aktualnych wydarzeń naukowych, od ustaleń doktorów i profesorów, ale we współpracy różnych środowisk.

Idea wydarzenia zatytułowanego – w nawiązaniu do słów Cyceirona – *Cultura animi*, cenna jest przede wszystkim dlatego, że łączy wykładowców i studentów, uczy, a zarazem wzajemnie inspirowuje obie te grupy. Dla zilustrowania tezy, do czego może doprowadzić brak takiej współpracy, rektor przytoczył anegdotę o przypadkowym, towarzyskim spotkaniu ze studentką dość prestiżowego kierunku, która do tego stopnia nie utożsamiała się ze swoją uczelnią, że nie tylko nie znała nazwisk swego rektora czy dziekana, ale nawet dokładnej nazwy uczelni, na której już dłuższy czas studiowała...

Z pewnością większą wiedzę o swej uczelni mieli studenci historii, romanistyki i pedagogiki, którzy zaprezentowali ciekawe referaty i komunikaty badawcze podczas sesji w Centrum Kultury Studenckiej w godzinach popołudniowych (15 kwietnia). A byli to: **Paulina Pasierbek, Marta Krzyżków, Agnieszka Przelor, Mirela Loch, Karolina Nikula, Dominika Baciocha, Adam Wołoszyn, Elżbieta Porada, Marek Panuś, Bartłomiej Kowczyk, Malwina Barczycka i Michał Fulneczek**. Tematyka sesji była bardzo zróżnicowana – od problematyki miłości do chłopców w antyku greckim po nowożytne zamki nad Loarą.

Tego samego dnia, po południu, w *Villa Academica*, studenci I i II roku historii mieli okazję wystąpić w specjalnie przygotowanym pod kierunkiem dr hab. Magdaleny Ujmy, prof. UO, przedstawieniu teatralnym zatytułowanym *Dziec-*



Prof. Joanna Rostropowicz i studentki pedagogiki w strojach antycznych pod pomnikiem Bojowników o Polskość Śląska Opolskiego



Na zdjęciu od lewej: prof. Magdalena Ujma i prof. Beata Gaj ze studentkami uczestniczącymi w happeningu

ko w krainie przeszłości. Podstawą scenariusza była proza i poezja staropolska oraz nowożytna literatura francuska. Wśród aktorów znaleźli się: **Jarosław Jagielski** jako Zegar (I r. historii), **Katarzyna Listwan** jako Dziecko (II r. historii), **Krystian Wdowiak** jako Jan III Sobieski (II r. historii), **Piotr Wolski** jako Stanisław Stadnicki zwany „Diabłem Łańcuckim” (I rok historii), **Martina Mander** jako Joanna d’Arc (I r. historii), **Arkaadiusz Maksim** jako Satyr albo dziłki mąż (I r. historii), **Przemysław Nocek** jako Lord Mortimer (I r. historii), **Karin Dorn** jako Izabela Francuska zwana Wilczycą z Francji (I r. historii), **Piotr Węglarz** jako Mikołaj Rej (I r. historii), **Piotr Zawadzki** jako Jan Kochanowski (I r. historii). Oprawą wizualną oraz muzyczną zajął się student II roku historii **Marek Panuś**, który był ponadto pomysłodawcą scenariusza, a autorem rekwizytów – student I roku historii **Grzegorz Kowal**. Kostiumy i uzbrojenie zostały wypożyczone przez Opolskie Bractwo Rycerskie.

Studenckie przedstawienie teatralne było doskonałym uzupełnieniem prawdziwej uczty staropolskiej – niecodziennego wydarzenia naukowo-kulinarne- go, podczas którego można było spróbować przepysznej zupy z bo-

rowików, pęczaku z przyprawami, staropolskiego chleba na prawdziwym zakwasie, rozmaitych serów wytworzonych według starych receptur oraz legendarnego kapłona i półgęska. Świetne wprowadzenie naukowe do staropolskiej tematyki kulinarnej i późniejszej wspólnie degustacji stanowił wykład **prof. Jarosława Dumanowskiego** z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, autora kilku książek poświęconych kuchni staropolskiej.

Uczętę zaś przygotowała restauracja Zespołu Pałacowo-Hotelowego Jedlinka w Jedlinie-Zdroju.



Przechodnie mieli okazję poznać antyczne sentencje i fragmenty poezji nowożytnej

Dzień drugi *Cultura animi* był z kolei stawą przede wszystkim dla ducha i umysłu. Już od rana na zamku w Rogowie Opolskim rozbrzmiewał język łaciński: po łacinie wygłoszono powitalną mowę (dr hab. Beata Gaj), wykład *De fortuna Hannibalis, viri fortissimi ducisque Carthaginiensium* wygłosiła **prof. dr hab. Joanna Rostropowicz**, wysłuchano także utworów uczonej z Niemiec – współczesnej poetki nowołacińskiej – Anny Elisy Radke, zwanej „Safoną z Marburga”. W przerwach pomiędzy wykładami studenci II roku historii, od pewnego czasu zorganizowani w chór łaciński, śpiewali nie tylko pieśni tak znane jak *Gaudeamu igitur, iuvenes dum sumus*, ale także światowy hymn latynistów: *Ave Latinitas perennis* oraz pieśni biesiadne jak *Szła dziewczeczka (Virgo vaga)* czy *Hej, sokoły (Viridis Ukraina)*. Przyznano, jak co roku, nagrody studentom, którzy zwyciężyli w dorocznym konkursie na najlepsze zrozumienie łacińskiego wykładu. Sesja łacińska zakończyła się przypomnieniem jubileuszu XXII Opolskich Dni Kultury Antycznej: **dr Marta Hatałska** mówiła o tej jakże ciekawej idei – będącej później wzorem dla wielu innych opolskich dni kultury – a dwadzieścia dwa lata temu wprowadzonej w życie przez prof.

Joannę Rostropowicz, której złożono z tej okazji gratulacje. Regionalna Telewizja Opole przeprowadziła wywiad z uczestnikami konferencji na temat roli łaciny we współczesnym świecie.

Sesja popołudniowa poświęcona była epoce nowożytnej. Jej wysoki poziom naukowy był wynikiem zaproszenia na obrady młodych naukowców z różnych ośrodków krajowych, zajmujących się bardzo różnorodnymi aspektami kultury. Tradycją dni kultury jest zapraszanie do współpracy bibliotek posiadających zbiory specjalne. W tym roku zasoby źródłowe Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu zaprezentowała kustosz **Mirosława Koćwin**. Różnorodną tematykę referatów, pozwalającą na zaprezentowanie w równej mierze kwestii mecenatu kulturalnego, zabytkowych pomników nagrobnych, znaczenia hodowli psów rasowych w osiemnastowiecznym Gdańsku czy recepcji zasad staropolskiej sztuki kulinarnej w XIX wieku, wzbogacił referat wygłoszony przez **Magdalenę Żmudę**, tancerkę zespołu muzyki dawnej „Cracovia Danza”. Zaprezentowanie rzadkich źródeł historycznych pozwalających na rekonstruowanie

dawnych tańców pozwala lepiej zrozumieć ich znaczenie w kulturze. Jeszcze tego samego dnia, po powrocie do Opola, Magdalena Żmuda poprowadziła warsztaty tańeczne dla studentów, które uatrakcyjniły trzeci dzień obchodów dni kultury.

Ostatni dzień poświęcony kulturze ducha, łączącego starożytność i nowożytność, zaplanowany został jako swoisty happening przed pomnikiem Bojowników o Polskość Śląska Opolskiego, w miejscu, które codziennie mijają wielu opolan i przyjezdnych. Studentki I roku pedagogiki, odziane w szaty reprezentujące obie epoki, rozdawały przechodniom antyczne sentencje z polskim tłumaczeniem oraz fragmenty poezji nowożytnej. Akcja spotkała się zainteresowaniem przechodniów, którzy traktowali ją z sympatią, jako miłą alternatywę wobec ulotek reklamowych nagminnie rozdawanych na ulicach miasta. Można było także poprosić o zrobienie fryzury z epoki, a co kilka minut studentki wykonywały tańce starożytne do antycznej muzyki rekonstruowanej z *Orchestra antiqua* oraz do majestatycznej, renesansowej pawany. Staranne, stylowe wykonanie – zgodne

z wiedzą zdobytą na warsztatach tanecznych, podobnie jak całe widowisko, zainteresowało zarówno przechodniów, jak i opolskie media. Pozwoliło to na zaprezentowanie naszej uczelni, zgodnie z reklamowanym na banerze hasłem, jako bardzo dobrego miejsca do studiowania historii. Nie możemy zatrzymać czasu, ale udało się nam choć na chwilę zatrzymać wielu ludzi w ich codziennym biegu, aby mieli szansę na refleksję nad przesłaniem: *przeszłość przyszłości*. A łacińskie hasło *Cultura animi* być może przekona wielu, że o *uprawy na polu ducha*, czyli humanistykę, trzeba dbać, aby pole to nie zarosło chwastami barbarzyństwa, które mogą pozbawić współczesność piękna, jakim jest wielowiekowy dorobek polskiej i europejskiej kultury. Przemysłana współpraca między różnymi dziedzinami wiedzy pozwoli pomóc lepiej określić to, kim jesteśmy i komu to zawdzięczamy.

A równie ważne jest przecież posiadanie wpływu na to, dokąd podążamy.

Beata Gaj
Magdalena Ujma

Spotkania ze sztuką

W dniach 22 i 23 marca br. Studenckie Naukowe Koło Literackie (SNKL), działające przy Instytucie Polonistyki i Kulturoznawstwa UO, zorganizowało wyjazd edukacyjny do Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie oraz Muzeum Sztuki w Łodzi. Głównym celem wyprawy było zwiedzenie wystawy *Władysław Sebyła. Nokturny 1940*, poświęconej wybitnemu poecie międzywojnia, żołnierzowi Wojska Polskiego, zgładzonemu (wraz z 3 tysiącami innych jeńców) przez sowieckie NKWD w Piatichatkach pod Charkowem w kwietniu 1940 roku. Ponadto członkowie SNKL z opiekunem dr. Bartoszem Małczyńskim mieli okazję zwiedzić ekspozycję stałą *Adam Mickiewicz 1798–1855* (obejmującą ponad 500 eksponatów takich jak rękopisy, fragmenty korespondencji czy rzeczy osobiste poety), a także wystawę *Lustra ciszy. Malarstwo i poezja Grzegorza Morycińskiego*.

Z kolei do odwiedzenia Muzeum Sztuki w Łodzi za-

chęciła studentów polonistyki wystawa *Korespondencje. Sztuka nowoczesna i uniwersalizm*, w ramach której można było podziwiać dzieła m.in. Magdaleny Abakanowicz, Louise’a Bourgeois, Georges’a Braque’a, Tytusa Czyżewskiego, Douglasa Daviesa, Paula Klee, Jerzego Nowosielskiego, Romana Opalki, Pabla Picassa, Władysława Strzemińskiego, Stefana Themersona, Billa Violi, Andy’ego Warhola i Witkacego (w sumie ok. 400 dzieł pochodzących z dwu kolekcji, łódzkiej i szwajcarskiej). Wszystkie one korespondowały ze sobą, wchodziły w symetryczne relacje, mimo że były tworzone w odrębnych warunkach i wynikały z różnych motywacji. Dzieła współczesne, zaprezentowane w łódzkim muzeum, nie tylko wyzwały przeżycia estetyczne, ale stawały się też przyczynkiem do rozważań na temat pozycji i statusu sztuki w nowoczesnym świecie.

Nokturn†1940

Władysław Sebyła urodził się w 1902 roku w Kłobucku k. Częstochowy. Pierwszy wiersz napisał w wieku 8 lat. Studiował polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Na przełomie lat 20. i 30. redagował społecznikujące pismo literackie „Kwadryga”. W okresie 1927–1939 reprezentował jako poeta najpierw postawę altruistyczną, otwarcie zaangażowaną w podejmowanie problematyki społecznej (*Pieśni szczurołapa*), a następnie lirykę tzw. ciemnego nurtu, odznaczającą się apokaliptyczną, ekspresyjną nastrojowością i złowróżbną, symboliczną perspektywą o zasięgu kosmicznym (np. *Młyny. Sonata niehumanitarna, Ośiem nokturnów, Ojciec nasz*). Sebyła był nie tylko poetą, ale także utalentowanym skrzypkiem (komponował własną muzykę) i rysownikiem oraz – co szczególnie godne podkreślenia – powstańcem śląskim, obrońcą Rzeczypospolitej przed bolszewikami w 1920 roku i oficerem Wojska Polskiego w stopniu podporucznika rezerwy, który we wrześniu 1939 roku ruszył na front wschodni, obierając tym samym kurs na śmierć. Sebyła został zamordowany przez NKWD w Piatichatkach pod Charkowem 11 kwietnia 1940 roku. Opublikował tomy wierszy: *Pieśni szczurołapa* (1930), *Koncert egotyyczny* (1934), *Obrazy myśli* (1938). Był ponadto tłumaczem (m.in. poezji rosyjskiej).

W *Traktacie poetyckim* Czesław Miłosz napisał:

*Ostatni wiersz epoki był w druku.
A jego autor, Władysław Sebyła,
Lubił wieczorem wyjąć z szafy skrzypce,
Kładąc futerał przy tomach Norwida.
Haftki munduru miał wtedy rozpięte
(Bo na kolei pracował, na Pradze).
W tym swoim wierszu, jakby w testamencie,*

*Do Światowida przyrównał ojczyznę.
Zbliża się do niej świst i werbli trzask
Od równin wschodu i równin zachodu,
A ona śni o brzęku swoich pszczół,
O popołudniach w hesperyjskich sadach.
Czy za to strzelą w tył głowy Sebyle
I pochowają go w smoleńskim lesie?*

Żoną Władysława Sebyły była pisarka, Sabina Sebyłowa, autorka m.in. *Okladki z Pegazem* (dziennika prowadzonego w okresie 1929–1939) oraz *Notatek z prawobrzeżnej Warszawy*, zapisków z lat 1939–1945, których dramatycznym leitmotiwem są słowa o przeżywającej na wskroś treści: *Władysław nie daje znaku o sobie; Władysław nie wraca. Jeżeli żyje i znowu będziemy razem...*

Wystawa *Władysław Sebyła. Nokturn†1940* ukazywała tragiczną biografię poety w szerokiej i przejmującej perspektywie. Poszczególne ekspozyty były związane z różnymi momentami życia Sebyły. W pierwszej, silnie rozświetlonej sali można było obejrzeć ekspozycję dotyczącą okresu, w którym studiował na Uniwersytecie Warszawskim i redagował „Kwadrygę”. W gablotach umieszczono rękopisy, liczne fotografie, rozmaite dokumenty, fragmenty korespondencji... Po przejściu przez zaciemniony korytarzyk napotykało się wypisane na ścianie cytaty, pochodzące z katastroficzno-symbolicznego cyklu poetyckiego z 1932 roku, zatytułowanego *Młyny. Sonata niehumanitarna*. Oto jeden z nich:

*Młyny szły bezszelestnie, zakopane w mroku,
w szumie skrzydeł aniołów, lecących przez światy,
i spał się piach gwiazdny z daleka, z wysoka
na zalane czerwienią łopaty.*

Na podłodze ostatniego pomieszczenia ułożono tory kolejowe, złowieszczo odbijające się w zwierciadle. Powyżej napisy: *Władysław nie wraca!*, *Wigilia bez Władysława*. Po drugiej stronie sali rozwieszono zostały fotografie, które, rozmazując się, tworzyły złudzenie ruchu, a zarazem – co warto podkreślić w kontekście losów Sebyły i tysięcy innych zamordowanych – znak szybko przemijającego życia. W ostatnim wnętrzu panował niepokojący półmrok. Pośród szyn, symbolizujących drogę ku zagładzie, rozrzucono kopie listów do bliskich – świadectwa tęsknoty i nadziei, przysypane grudami ziemi. Życie i śmierć spłotyły się tutaj w okrutnym tańcu. W gablotach zaprezentowano również listę wywozową z obozów w Sta-



Fragment wystawy *Władysław Sebyła. Nokturn†1940* (fot. Kamila Bartek)

robielsku i Kozielsku. Pod numerem 3168 widniało nazwisko Władysława Sebyły.

Wyjątkowym i dającym do myślenia elementem wystawy był krótki film wyświetlany wciąż od nowa w ciemnej sali, ukazujący start samolotu, który w kwietniu 2010 roku przewoził z Warszawy do Krakowa trumny z ciałami prezydenta Lecha Kaczyńskiego i jego małżonki Marii.

Całość wystawy dopełniała ekspozycja *Lustra. Sabina i Witold*. To właśnie żona i syn Sebyły dbali o spuściznę poety, gdy jego nie było już wśród żywych. Trzy lata po śmierci męża Sabina Sebyłowa zapisała w swoim notatniku, w dzień kolejnej samotnej rocznicy ich ślubu: *Potworny czas nie zatrze, nie oddali wspomnienia oczekiwania na trył, gdy Władysław grał «Źródło» na skrzypcach* [chodzi o *Źródło Aretuzy* Karola Szymanowskiego – przyp. red.]. Ostatni list Sebyły, jaki dopiero pod koniec kwietnia 1940 roku dotarł do Warszawy z więzienia w Starobielsku, zawierał takie oto słowa: *Czasem słucham muzyki przez radio, która tu jest dobra, ale – dziwne to dosyć – bardzo mi ciężko słuchać, choć, jak wiesz, bardzo lubię muzykę. Następną kartkę napiszę, prawdopodobnie, w kwietniu*. Jak wiadomo, na początku tego okrutnego kwietnia poeta już nie żył.

Ważniejsze wydania poezji Władysława Sebyły:

Wiersze wybrane, przedmowa S. R. Dobrowolski, Warszawa 1956.

Poezje zebrane, wstęp i oprac. A. Z. Makowiecki, Warszawa 1981.

Dialog w ciemności, wybór i postłowie W. Bonowicz, Wrocław 2012.

Ukryta prawda, wstęp i oprac. biografii W. Szelaąg, Warszawa 2012.

O naszym Kole

Studenckie Naukowe Koło Literackie wznowiło działalność w 2011 roku. W jego skład weszli głównie studenci filologii polskiej, a opiekę nad nimi objął dr **Bartosz Malczyński**. Aktualny zarząd tworzą: **Kamila Byrtek** (przewodnicząca), **Monika Ferenc** (z-ca przewodniczącej) i **Lidia Urbańczyk** (sekretarz). Pozostali aktywni członkowie to: **Karina Ćwirzeń**, **Paula Karabanowicz**, **Magdalena Koziół**, **Karol Maluszczyk**, **Olaf Pajęczkowski**, **Dawid Piwek**, **Pamela Szczerbik**. Wszyscy oni związani są z Instytutem Polonistyki i Kulturoznawstwa UO.

SNKL organizuje seminaria, dzięki którym uczestnicy mogą poszerzać swą wiedzę na temat literatury XX i XXI wieku, a także poszukiwać związków między literaturą a innymi sztukami. Członkowie Koła zajmowali się dotychczas badaniem twórczości Bolesława Leśmiana, Tadeusza Różewicza, Anny Kamieńskiej, Anny Świrszczyńskiej, Jarosława Iwaszkiewicza, Allena Ginsberga, Rolanda Barthes'a, Georga Trakla – ze szczególnym uwzględnieniem tematyki śmierci obecnej w piśmarstwie tych autorów. SNKL organizowało również otwarte spotkania z cyklu *Literatura i film*, podczas których odbywały się projekcje filmów połączone z prelekcją i dyskusją (*Sanatorium pod*



Studenckie Naukowe Koło Literackie w warszawskim Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza

Klepsydrą, Pętla, Karpowicz, Jaśniejsza od gwiazd, Dzień czwarty, Mechaniczna pomarańcza, Brzezina). Celem wieczornych seansów w Collegium Maius Uniwersytetu Opolskiego było promowanie zainteresowania literaturą poprzez medium filmowe oraz animowanie dyskusji na tematy z zakresu szeroko rozumianej kultury.

Podsumowanie dwuletniej działalności SNKL stanowi studencka sesja naukowa *Śmierć w literaturze i kulturze XX i XXI wieku* z udziałem doktorantów Wy-

działu Filologicznego UO, zaplanowana na 15 maja 2013 roku.

Warto zaglądać na strony Studenckiego Naukowego Koła Literackiego:

www.snkluo.wordpress.com www.facebook.com/StudenckieNaukoweKoloLiterackieUO

Kamila Byrtek
Bartosz Małczyński

Bartosz Małczyński

Kładka nad śmiercią

(słowo wstępne do konferencji studencko-doktoranckiej *Śmierć w literaturze i kulturze XX i XXI wieku* w Instytucie Polonistyki i Kulturoznawstwa UO)

Przez tyle wieków umierania nie nauczyliśmy się tej sztuki.

Anna Kamieńska

Nie sposób nauczyć się umierania.

Vladimir Jankélévitch

Równo sto lat temu, w 1913 roku Maurycy Maeterlinck opublikował esej pod jakże wymownym tytułem *Śmierć*. W punkcie wyjścia stwierdzał:

W całym naszym życiu, w całym wszechświecie istnieje jedna tylko ważna rzecz: śmierć własna. Jest to punkt centralny, do którego zmierzają i spiskują przeciw szczęściu to wszystko, co wymyka się baczności naszej. Im bardziej usiłujemy odwrócić myśli od śmierci, tym mocniejszym i zwartszym ją obejmujemy kręgiem. Im większą przed nią uczuwamy trwogę, tym jest straszniejsza, bowiem czerpie życie z tego strachu. Ten, kto chce zapomnieć, przepaja ją myśli swoje, ten, kto przed nią ucieka, niczego prócz niej nie napotka. Na wszystko rzuca swój cień. Myślimy o niej ciągle, ale bezwiednie, nie rozumiejąc zgoła, czym jest.

Jaki obraz śmierci kreśli autor *Ślepców* w tym krótkim fragmencie? Przede wszystkim przypisuje jej atrybut przekory. Śmierć jest

przekorna. Karmi się ludzkim lękiem, który sama podsycza, panoszy się – nieproszona – po myślach, „spiskuje przeciw szczęściu”. Koncentruje na sobie uwagę, ale zarazem „wymyka się baczności”. Śmierć jest „niezłym graczem” – tak mówi ona o sobie w *Siódmej pieczęci* Ingmara Bergmana, będąc, jak pamiętamy, upostaciowieniem szachisty, dysponenta czarnych figur.

Autorami intrygujących uwag na temat śmierci są dwaj niemieckojęzyczni poeci XX-wieczni: Rainer Maria Rilke i Paul Celan. Pierwszy z nich napisał w jednym z wierszy, że „Śmierć jest wielka” (*Der Tod ist Groß*), drugi ogłosił w słynnej *Fudze Śmierci* – opublikowanej po drugiej wojnie światowej – że „Śmierć jest Mistrzem z Niemiec” (*Der Tod ist ein Meister aus Deutschland*). Na czym polega wielkość śmierci? W czym przejawia się jej maestria?

Towarzyszy ona człowiekowi sumiennie i wcześniej czy póź-

niej porywa go do tańca, kołysze do nieprzespanego snu, poddaje swej woli, autorytarnie, bez pytania o zgodę. Z wierszy Bolesława Leśmiana dowiadujemy się między innymi, że śmierć stawia człowieka w prawdzie, odziera z wszelkich tajemnic, obnaża go, jego wnętrze wywleka na zewnątrz, rozstraja instrumenty życia. Woła człowieka po imieniu. Właściwie to samo stwierdza Edmond Jabès w *Księdze pytań*: „Dla śmierci nie ma tajemnic”.

Strategia Tanatosa jest więc bezwzględnie obliczona na triumf. Partia szachów, rozgrywana ze śmiercią, jest w ostateczności nie do wygrania, ponieważ mistrzyni ta (zmyślna, precyzyjna, przewidująca, ale także samotna, jak wiemy od Baczyńskiego) zadowala się wyłącznie zwycięstwem i zmierza ku niemu dosłownie po trupach. W dzienniku zatytułowanym *Kartusze* Jacques Derrida ujął to w następującej formule: „ostatnie słowo należy do niemej trumny”.



Uczestnicy konferencji studencko-doktoranckiej Śmierć w literaturze i kulturze XX i XXI wieku. Na zdjęciu od lewego górnego rogu: Bartosz Małczyński, Kamila Byrtek, Monika Ferenc, Agnieszka Dyś, Magdalena Kozieł, Bartosz Suwiński, Karina Ćwirzeń, Pamela Szczerbik, Paula Karabanowicz, Lidia Urbańczyk, Karol Maluszczyk, Olaf Pajączkowski, Jarosław Kiszka (fot. Jarosław Kiszka)

Cytowany powyżej Jabès postrzega śmierć jako artystkę-hafciarkę, której „motywy są znane, ale kolor nici zwykle sprawia niespodziankę”, dlatego właśnie śmierć „zawsze nas zdumiewa”. Być martwym to według Jabès’a zdumiewać śmiertelnych, a także „wymykać się wyobraźni”.

Aby jednak nie popaść w melancholijny nastrój – zebraliśmy się tutaj kierowani nadzieją poznawczą, a nie jakąś żalobną koniecznością ceremoniału – warto podbudować się słowami Vladimira Jankélévitcha, wskazującymi na istotną rolę działania jako możliwego, choć oczywiście tymczasowego, remedium na śmierć:

Działanie to jedna z form, w których przejawia się nasza beztraska wobec śmierci, wprawdzie nie pomaga nam jej zaakceptować, ale pozwala śmierć zbagatelizować.

Działanie to przerzucanie kładki nad śmiercią (...).

Warto też przypomnieć, że pociechą w tej niezbyt pociesznej sytuacji może być obcowanie ze sztuką. Z literaturą, malarstwem, teatrem, filmem i oczywiście z muzyką, która jako jedyna, wedle Zbigniewa Bieńkowskiego, w sposób absolutny „towarzyszy naszej przemijalności” i „daje dramatowi przemijania pełny wymiar”.

Bo co to jest nasze życie? – pytuje patetycznie Jerzy Nowosielski – *Życie to jest wyczekiwanie w celi śmierci, w celi tortur. Te tortury są odraczane, stopniowane, potem jest ich coraz więcej, aż przychodzi moment egzekucji... No i w tym procesie wyczekiwania w celi śmierci człowiekowi potrzeba pociechy. (...) Bo właściwie cóż ludzie mają innego oprócz sztuki? Naprawdę to sztuka zawsze była,*

jest i będzie w środku ludzkiej uwagi, ludzkiej świadomości. Tyle że tej świadomości rozwiniętej, dojrzałej zawsze było i jest bardzo mało.

W związku z powyższym życząc Państwu (i samemu sobie) owocnego działania, skutecznego, wspólnego „przerzucania kładki” nad własną przemijalnością, a przede wszystkim rozwinięcia świadomości podczas dzisiejszej sesji, nawet mimo dość oczywistej konstatacji Jankélévitcha, mówiącej, że „świadomość nie ratuje przed śmiercią”.

Przywoływane wiersze:

Baczyński K. K., *Śmierć samotna*
 Celan P., *Todesfuge*
 Kamieńska A., *O śmierci*
 Leśmian B., *Dusza w niebiosach*
 Leśmian B., *Głuchoniema*
 Leśmian B., *Niedopita czara*
 Rilke R. M., *Der Tod ist Groß*

Wykaz pozostałych odwołań:

- Bieńkowski Z., *O słuchaniu*, [w:] tegoż, *Poezje zebrane*, postłowie P. Kuncewicz, Warszawa 1993, s. 248.
- Derrida J., *Kartusze*, [w:] tegoż, *Prawda w malarstwie*, przeł. M. Kwietniewska, Gdańsk 2003, s. 245.
- Jabès E., *Księga pytań*, t. I, przeł. A. Wodnicki, postłowie J. Derrida, Kraków 2004, s. 100-101.
- Jabès E., *Księga pytań*, t. VI: *Aeli*, przeł. A. Wodnicki, postłowie M. Cohen, Kraków 2006, s. 85.
- Jankélévitch V., *To, co nieuchronne. Rozmowy o śmierci*, przeł. i wstępem opatrzył M. Kwaterko, Warszawa 2005, s. 30-31, 44.
- Listy z pustyni. Z Jerzym Nowosielskim rozmawia Krystyna Czerni*, [w:] J. Nowosielski, *Sztuka po końcu świata. Rozmowy*, wybór i układ K. Czerni, Kraków 2012, s. 168.
- Maeterlinck M., *Śmierć*, przeł. F. Mirandola, Warszawa 1993, s. 8.
- Siódma pieczęć*, scen. i reż. I. Bergman, 1957.

Poezja u lekarza

7 maja br. w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu rozpoczęło się spotkanie z poetą Tomaszem Różyckim, na które zapraszali studenci z Koła Naukowego Onomastów Uniwersytetu Opolskiego wraz z opiekunką, dr Danutą Lech-Kirstein, zdradzając, że poezja spotka się tu z... medycyną. Szybko przekonaliśmy się, że literatura uzależnia w takim stopniu, w jakim choroba obezwładnia.

Najnowsza książka Tomasza Różyckiego pt. *Tomi. Notatki z miejsca postoju* – jak pisze autor: *owoc natręctwa chodzenia po obcych miastach* – to istotnie podróż... Podróż po stronach samej książki; wojaże ze Wschodu (z Lwowa, skąd przyjechał dziadek autora) na Zachód (do Opola, którego chlubą jest dziś nagradzany Poeta); ekskursje, w których na *Tajemniczej wyspie* spotykają się *Winnietou* i *Ostatni Mohikanin*, *Hrabia Monte Christo* i *Lord Jim*, *Wojak Szwejk* i *Trzej Muszkieterowie*, nie

brakuje też damskich przechadzek *Pani Bovary* z *Anną Kareniną*... Razem z prowadzącą spotkanie Kingą Markowską piliśmy kawę w Wiedniu, by chwilę później odurzać się winem z *Winowa*. Tropiąc choroby, wędrowaliśmy po całej Europie – uciekając przed chorobą francuską, zapadaliśmy na chorobę niemiecką, ale chwilę później okazywało się, że to chyba jednak hiszpanka...

Jak mawiali starożytni – *festina lente*, toteż zatrzymywaliśmy się na *chwile postoju* – między innymi w... uniwersyteckich murach, o których autor mówił, że *zasługują wciąż na osobny poemat*. Niegdyś bowiem na korytarzach odnowionego budynku na *Mons Universitatis* ostatnie tchnienie wydawało życie, a dziś podobno słychać tam „ostatnie tchnienia” wiedzy (jak mawiają złośliwi).

Beata Śliwińska



Spotkanie z Tomaszem Różyckim, które prowadziła Kinga Markowska, zorganizowali studenci z Koła Naukowego Onomastów (fot. Beata Śliwińska)

Tydzień z krajami niemieckojęzycznymi

Instytut Filologii Germańskiej UO zorganizował po raz kolejny *Tydzień Germanistyki Opolskiej*, mający na celu promocję kierunku kształcenia filologicznego w zakresie języka, literatury i kultury krajów niemieckojęzycznych.

W ramach Tygodnia odbyła się IV Olimpiada Interpunkcyjna (koordynator: **dr Daniela Pelka**), realizowane też były następujące projekty:

* *Wspólna Europa – przeszłość i teraźniejszość w stosunkach polsko-niemieckich* (koordynator: **dr Justyna Dolińska**);

* *Studenci opolskiej germanistyki z wizytą w Parlamencie Europejskim w Strasburgu – reminiscencje w słowie i obrazie* (koordynatorzy: **dr Gabriela Jelitto-Piechulik**, **mgr Dorota Barcik**, **Karolina Wróbel** i **Lukasz Twardawa**);

* *Tureccy imigranci w oczach współczesnych Niemców* (koordynatorzy: **dr Gabriela Jelitto-Piechulik**, **mgr Agnieszka Garufo**, **dr Daniela Ploch**; współpraca Biblioteka Austriacka w Opolu);

* *zwizualizowana podróż przez kraje niemieckojęzyczne, zakończona interaktywnym quizem* (projekt realizacyjny *N.A.S. TROJE*, koordynator: **mgr Klaudia Gabryel**);

* *Malowanie wierszy* (kreatyw-

ne analizowanie i interpretowanie wybranych utworów poezji niemieckiej (koordynator: **dr Daniel Pietrek**);

* *Bajeczna Kraina Opolskich Germanistów, czyli znane baśnie po faceliftingu* (uwspółcześniona inscenizacja znanych baśni).

W ramach Tygodnia swój kunszt literacki zaprezentowała współczesna pisarka austriacka **Sabine Gruber**.

Przedsięwzięcie opolskich germanistów cieszyło się dużym zainteresowaniem opolskich szkół średnich.

Gabriela Jelitto-Piechulik

Granice są w głowach

Przekraczanie granic i ruchy migracyjne. Doświadczenie obcości i zjawisko integracji w literaturze oraz w życiu codziennym Austrii, Niemiec, Szwajcarii i Polski – wspólny projekt Instytutu Filologii Germańskiej i Biblioteki Austriackiej w Opolu

Instytut Filologii Germańskiej UO realizuje, wraz z Biblioteką Austriacką w Opolu (obchodząc jubileusz 20-lecia), projekt studencko-badawczy. Tematyka oscyluje wokół szeroko pojętej migracji. To jedno z najstarszych doświadczeń człowieka, które nie straciło i nadal nie traci aktualności, co więcej – stało się ono wyzwaniem dla wielu europejskich społeczeństw. W Austrii, podobnie jak w Niemczech i w Szwajcarii, problemy związane z migracją należą do najbardziej kontrowersyjnych.

Współcześnie szczególnie młodzi ludzie masowo emigrują, aby tymczasowo lub na stałe żyć i pra-

cować za granicą. W społeczeństwach przyjmujących migrantów debata publiczna dotycząca migracji ulega poszerzeniu o problematykę przemian demograficznych, podziałów społecznych i sprawiedliwości społecznej, uzależnienia od pomocy społecznej w środowisku migrantów, migracji elit, samoizolacji drugiego pokolenia migrantów, islamofobicznych zakazów budowy meczetów czy zagadnienia tolerancji religijnej.

Austria, Niemcy i Szwajcaria określiły tzw. kryteria integracji, obejmujące m.in. znajomość języka państwa (w mowie i w piśmie) przyjmującego migrantów. W Austrii – podobnie jak w Niemczech

i Szwajcarii – istotne staje się pytanie: jak wyglądałaby historia, współczesność i przyszłość tychże państw bez emigrantów? Również Polska, w konsekwencji przemian po roku 1989 oraz wzrastającej atrakcyjności gospodarczej i naukowej, jako członek porozumienia z Schengen zetknęła się z fenomenem legalnej i nielegalnej migracji. Projekt składa się z trzech etapów.

Pierwszy etap to symposium naukowe, które odbyło się 5 kwietnia br. Tematyka dotyczyła zagadnień literacko-historycznych związanych z migracją i pojęciem obcości w literaturze Niemiec, Austrii i Szwajcarii.



Uroczyste otwarcie 13. Wiosny Austriackiej, jubileusz 20-lecia Biblioteki Austriackiej w Opolu

Prof. Andrea Rudolph (UO), na przykładzie dramatu *Gyges und sein Ring* (*Gyges i jego pierścień*) Friedricha Hebbla, omówiła poglądy nowoczesnych społeczeństw Wschodu i Zachodu dotyczące tendencji w przystanianiu i odsłanianiu ciała. Przeobrażenia mają dwojaki charakter: wyznawczywie Islamu dopasowują swoje chusty i długie płaszcze do trendów mody zachodniej, a Europejki preferują modę podkreślającą atrybuty ciała.

Łukasz Twardawa (UO) nawiązał do problematyki noszenia chusty jako symbolu integracji czy braku integracji. Odniósł się tym samym do pytań: czy Islam należy do kultury europejskiej, czy państwo może identyfikować się z wybraną religią?

Dr Gabriela Jelitto-Piechulik (UO) przybliżyła przeżycia Theodora Opitza i Ricardy Huch, emigrantów, którzy przybywają do Szwajcarii w drugiej połowie XIX wieku, by urzeczywistnić swe ideały, móc tworzyć niezależnie oraz kształcić się w wolnym kraju Wilhelma Tella. Ten wymagany obraz Szwajcarii i Szwajcarów nie odzwierciedla jednak rzeczywistości polityczno-społecznej.

Mgr Izabela Kurpiela (UO) omówiła, na przykładzie powieści alzackiego pisarza René Schickele *Der Fremde* (*Obcy*), proces wyobcowania – w sferze mentalnej i fi-

zycznej – ze środowiska rodzinnego.

Dr Daniela Ploch (ZSO nr II w Opolu) zajęła się dydaktyzacją – w odniesieniu do zajęć szkolnych na poziomie liceum – problematyki związanej z migracjami. Prelegentka przedstawiła wyniki analizy wybranych przez siebie podręczników. Chodziło o sposób prezentacji tematyki migracyjnej w kontekście aktualnych wytycznych ministerialnych dotyczących programów nauczania języków obcych. W dyskursie związanym z tematyką migracyjną dominuje obecnie termin *transkulturowość*.

Mgr Monika Wójcik-Bednarz (Biblioteka Austriacka w Opolu) przedstawiła pejzaż współczesnej literatury austriackiej, tworzonej przez autorów obcego pochodzenia. Nawiązując do dzieł uznanych twórców dwudziestowiecznych, takich jak Paul Celan, Ödön von Horvath czy Elias Canetti, referentka przedstawiła sylwetki młodych pisarzy publikujących obecnie w Austrii, a pochodzących z różnych krajów, m.in. Dimitré Dineva, Julya Rabinowich, Vladimira Vertlib i Michaela Stavarica. Omówiła też sposoby promowania wspomnianych autorów przez instytucje kulturalne, serie wydawnicze czy też nagrody literackie.

Referat **dr Małgorzaty Jokiel** poświęcony był specyficznie niemieckojęzycznej twórczości literackiej autorów polskiego pochodzenia: Grzegorza Kielawskiego i Radka Knappa. Poruszona została kwestia literackiej transpozycji językowej oraz intersemiotycznego przekładu elementów tożsamości narodowej wspomnianych pisarzy, z uwzględnieniem kluczowej roli metafory przekładu w opowiadaniach Kielawskiego oraz próby przezwyciężenia stereotypowego wyobrażenia o Polakach w utworach Knappa.

Referat **mgr Marka Sitka** to próba charakterystyki polsko-nie-



Pisarka austriacka Sabine Gruber była gościem Tygodnia Germanistyki Opolskiej



W trakcie warsztatów

mieckiej komunikacji interkulturowej realizowanej na płaszczyźnie tzw. grzeczności językowej. Jej użycie wiązać się może z licznymi zagrożeniami wynikającymi z formalnych oraz funkcjonalnych różnic w odniesieniu do językowego oraz kulturowego kodu, stanowiących immanentną cechę danego społeczeństwa. Świadomości różnic oraz wzajemny szacunek to warunki udanej komunikacji pomiędzy przedstawicielami różnych kultur.

Drugim etapem projektu były warsztaty (10–11 kwietnia), które skupiły młodzież gimnazjalną, licealną i studentów germanistyki.

Mgr Agnieszka Garufo i dr Daniela Ploch przygotowały temat *Doświadczenia obcości i próby integracji na przykładzie austriackich i niemieckich książek dla dzieci i młodzieży*. Był on realizowany w ramach lekcji języka niemieckiego w klasach 1 i 3 bilingualnych II LO w Opolu. Uczniowie zapoznali się najpierw z lekturą *Seidenhaar (Jedwabny włos)*, którą opracowali wspólnie ze studentami germanistyki, posiłkując się wcześniej zebranymi wiadomościami dotyczącymi Islamu. Przeprowadzili również rozmowę przez skype z autorką książki Aygen-Sibel Çelik, będącą dzieckiem tureckich migrantów w Niemczech. Rozmowa ta posłużyła uczniom li-

ceum za punkt wyjścia do rozważań nad problematyką tolerancji w odniesieniu do obcokrajowców.

Drugi segment warsztatowy – przygotowany przez uczniów Publicznego Gimnazjum nr 7 w Opolu, pod kierunkiem **mgr Daniela Maciōła** i opieką naukową **mgr Marka Sitka** – nosił tytuł *Ty, oni, ja... bo przecież chodzi o Nas* i został poświęcony tematyce interkulturowości oraz jej znaczenia dla konkretnych ludzi w konkretnych sytuacjach codziennego życia.

Głównym celem trzeciej składowej warsztatów (opracowanej przez **mgr Izabelę Kurpiele** wraz ze studentami germanistyki oraz uczniami gimnazjum ze Strzeleczonek) było oswojenie młodzieży gimnazjalnej z fenomenem obcości. Poprzez zabawy edukacyjne przygotowane przez studentów uczniowie mieli możliwość praktycznej konfrontacji swoich wizji obcego, swoich obaw związanych z obcością i swoich reakcji na odmienność.

Związane z projektem migracyjnym były też przedsięwzięcia w Studenckim Centrum Kultury UO. 10 kwietnia w odbyło się tam spotkanie autorskie **Grzegorza Kielawskiego**, artysty pochodzącego z Wałbrzycha, a obecnie mieszkającego i tworzącego w Wiedniu, publikującego zarówno w języku polskim, jak i niemieckim. Przed-

stał on m.in. swoją najnowszą powieść, powstającą równolegle w języku polskim i niemieckim. Tego samego dnia w SCK gościł również **dr Alexander Burka**, politolog i kulturoznawca z wiedeńskiego oddziału CIVIC Institut für internationale Bildung, były dyrektor Instytutu Austriackiego w Krakowie, specjalizujący się w tematyce interkulturowości. Wygłosił – ilustrowany multimedialnie – wykład pt. *Migracja do i z Austrii – wczoraj i dziś*, w którym przedstawił Austrię jako kraj wielojęzyczny i wielokulturowy, będący od wieków celem migrantów z różnych krajów, z uwzględnieniem śladów obecności przybyszów z Polski od czasów odsieczy wiedeńskiej po czasy współczesne.

Trzecim etapem projektu będzie publikacja naukowa, jako pokłosie warsztatów, sympozjum naukowego, a także badań tematycznych prowadzonych przez historyków, socjologów oraz ekonomistów. Planowany tom ukaże się w serii wydawniczej *Transkulturelle Forschungen an den Österreich-Bibliotheken im Ausland (Badania interkulturowe prowadzone w Bibliotekach Austriackich za granicą)*, w wydawnictwie LIT-Verlag w Wiedniu.

Gabriela Jelitto-Piechulik
Małgorzata Jokiel

Opolscy hydrologicy nad Łabą

W semestrze zimowym roku akademickiego 2012/2013 pięcioro studentów kierunku ochrona środowiska Uniwersytetu Opolskiego miało możliwość studiowania (wymiana studencka w ramach programu Erasmus) na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie.

Współpraca Uniwersytetu Opolskiego z Uniwersytem Technicznym w Dreźnie trwa od 2006 roku. Osobą odpowiedzialną za współpracę ze strony niemieckiej jest **prof. dr hab. Peter Wolfgang Gräber** z Instytutu Gospodarki Odpadami i Obciążeń Środowiska (Institut für Abfallwirtschaft und Altlasten) Wydziału Nauk o Środowisku, a ze strony polskiej **dr hab. inż. Mirosław Wiatkowski**

z Samodzielnej Katedry Ochrony Powierzchni Ziemi Wydziału Przyrodniczo-Technicznego UO. Współpraca dotyczy wymiany pracowników i studentów. Merytorycznie obejmuje aspekty szeroko pojętej inżynierii, kształtowania i ochrony środowiska ze szczególnym uwzględnieniem gospodarki wodnej i odpadowej. Współpraca została podpisana w ramach programu Erasmus, obejmuje jednak i inne, wspólnie realizowane programy, jak choćby program Tempus IV.

Drezno jest pięknym miastem z bogatą historią. Przemierzając ulice starówki i przechadzając się słynnym mostem Augusta nad Łabą, trudno dziś wyobrazić sobie, że w 1945 r. była to jedna wielka ruina: całe śródmieście zostało doszczętnie zniszczone podczas bombardowania przeprowadzonego przez lotnictwo brytyjskie i amerykańskie. Zginęło wtedy około 25 tys. ludzi, a zabytkowe stare miasto zostało zrównane z ziemią. Z czasem postanowiono odbudować starówkę przy użyciu fragmentów murów, tak aby jak najlepiej odwzorować jej dawny wygląd. W efekcie powstało nowe – stare miasto, z imponującymi budowlami, których ściany przypominają mozaikę: wśród nowych, jasnych materiałów budowlanych widocznie odznaczają się pocerniałe fragmenty płonących niegdyś, po bombardowaniu, cegieł.

Dla nas, miłośników hydrologii (jesteśmy członkami Studenckiego Koła Naukowego Hydrologów UO), Drezno stało się obiektem zainteresowania ze względu na dobrze rozwinięty system ochrony przeciwpowodziowej, który został udoskonalony po dotknięciu miasta przez powódź latem 2002 roku. Wtedy to śródmieście i stare miasto zostały niejako odcięte przez dwie, występujące z brzegów rzeki: dużą – Łabę i mniejszą – Weißeritz. Poziom wód podziemnych podniósł się



Na zdjęciu (od lewej): Martyna Słowik (TU Dresden), Tomasz Szoldrowski, Anna Zając i Paulina Kabała (UO) na placu Teatralnym, przy operze Semper, w Dreźnie

do gigantycznego poziomu, woda występowała także z kanalizacji deszczowej. Zjawiska te spowodowały zniszczenia na terenie miasta Drezno o szacowanej wartości 1,35 miliardów euro. Zalane były między innymi: dworzec główny, znane zabytki, takie jak: pałac Zwinger, opera Semper, katedra św. Trójcy (niem. Hofkirche) i wiele innych.¹

Po tym tragicznym wydarzeniu władze miasta zarządziły nie tylko naprawienie szkód wyrządzonych przez powódź, ale także zwiększenie ochrony przeciwpowodziowej do $HQ_{1\%}$ dla rzeki Łaby, a dla Weißeritz $HQ_{0,2\%}$. Oznacza to, że różnego rodzaju budowle, umocnienia, uszczelnienia czy ruchome systemy ochrony przeciwpowodziowej zostały zaprojektowane tak, by chronić miasto przed zalaniem w przypadku, gdy na rzece Łabie będzie miał miejsce przepływ o prawdopodobieństwie wystąpienia raz na 100 lat, na Weißeritz raz na 500 lat.

Możliwość pobytu w Dreźnie i zapoznanie się z miejscami szczególnie zniszczonymi podczas powodzi 2002 roku pozwoliło nam wyobrazić sobie skalę zniszczeń spowodowanych przez tę powódź, a także zapoznać się z obecnie zastosowanymi metodami ochrony przeciwpowodziowej.

Historia Technische Universität Dresden sięga 1828 roku, kiedy to powstał w Dreźnie Instytut Techniczny. W ciągu prawie 200 lat istnienia uczelnia przechodziła szereg modernizacji, ciągle rozwijając swoją działalność, stając się ośrodkiem multi-dyscyplinarnym. Potęgę uniwersytetu odzwierciedla nie tylko jego powierzchnia, ale przede wszystkim liczba uczących się

¹ <http://www.dresden.de/media/pdf/umwelt/FaltblattHWSenglich.pdf>



Widok na Łabę (most Augusta) oraz drezdeńskie stare miasto

studentów – w 1871 roku na uczelni studiowało 281 studentów, obecnie – 36 500. Uczelnia zatrudnia 5319 osób, wśród nich 507 profesorów. W gronie pracowników i studentów można spotkać przedstawicieli około 120 państw z całego świata. Drezdeński ośrodek jest największym uniwersytetem na terenie Saksonii, jest też jednym z jedenastu niemieckich uniwersytetów określanych jako uniwersytet doskonały (wynik konkursu biorący pod uwagę rozwój i badania naukowe)². Uczelnia, znana ze swojej inżynieryjno-naukowej tradycji, obecnie jest ośrodkiem oferującym różnorodne możliwości rozwoju – na 14 wydziałach, prowadzonych jest około stu różnych kierunków.

Jako studenci kierunku ochrona środowiska, z bogatej oferty kierunków kształcenia drezdeńskiego uniwersytetu na swoją kilkumiesięczną naukę wybraliśmy Wydział Nauk o Środowisku. Tam uczestniczyliśmy w zajęciach z zakresu kierunku studiów magisterskich, prowadzonych w języku angielskim: *Hydro Science and Engineering* (zarządzanie naturalnymi zasobami wodnymi oraz inżynieria wodna). Studia na tym kierunku przeznaczone są szczególnie dla studentów z krajów rozwijających się ze względu na specyficzne problemy, pojawiające się w gospodarce wodnej tych krajów. Stąd też w zajęciach uczestniczą osoby zarówno z Europy, jak i z najdalszych zakątków świata – Wyspy Salomona, Tajlandia, Tobago. Przedmiotami, które nas szczególnie zainteresowały, były hydrologia, klimatologia oraz gospodarka ryzykiem powodziowym. Podczas tych ostatnich zajęć specjaliści uniwersytetu, ale też z różnych instytucji z całego kraju szczegółowo omawiali problemy związane z powodzią – zarówno pod względem osłony hydrologicznej, jak również kwestii prawnych czy ubezpieczeń. Wiele zagadnień omówiono na przykładzie wspomnianej wcześniej powodzi w Dreźnie z 2002 r. Ważnym elementem zajęć z gospodarki ryzykiem powodziowym były weekendowe ćwiczenia, podczas których mieliśmy możliwość poszerzenia swojej wiedzy m.in. z zakresu modelowa-

nia hydroinformatycznego.

Na drezdeńskiej uczelni wszystko jest świetnie zorganizowane, a szeroko rozbudowana oferta uniwersytetu daje możliwości rozwoju w naprawdę różnych specjalnościach. Wybór przedmiotów nawet w ramach jednego kierunku studiów jest duży, a zajęcia prowadzone są przez wysokiej klasy specjalistów w bardzo interesujący sposób. Studenci drezdeńskiej uczelni mają do dyspozycji świetne zaplecze oraz szerokie możliwości i zdają się wykorzystywać je, jak najlepiej potrafią. Duże wrażenie robią nowoczesne

sale wykładowe, laboratoria, akademiki i uniwersyteckie stołówki, a także kilkupiętrowe, świetnie wyposażone (również w literaturę polskojęzyczną) biblioteki, w których studentów spotkać można prawie całą dobę. Podobnie jest z pracowniami informatycznymi, gdzie młodzi naukowcy mają dostęp do nowoczesnych programów związanych z kierunkiem ich studiów. W przypadku *Hydro Science and Engineering* w pracowni można pracować na programach hydroinformatycznych Mike 11 czy HEC-RAS. Ważną cechą studentów drezdeńskiego uniwersytetu jest ich dociekliwość – nie oszczędzają wykładowców podczas zajęć, zadając mnóstwo pytań.

Uczelnia umożliwia także inne sposoby aktywności. Nam szczególnie spodobały się zajęcia sportowe,



Mur oporowy zwiększający ochronę przeciwpowodziową wzdłuż rzeki Łaby w Dreźnie. Część górna dobudowana po wydarzeniach z 2002 roku

² <http://tu-dresden.de/internationales/welcome>

w których uczestniczyliśmy. Mówiąc o życiu studenckim, nie można pominąć wielu imprez organizowanych przez różne akademickie stowarzyszenia. Bardzo ciekawą inicjatywą są spotkania przy kawie, na których każdego tygodnia dominuje inny język oraz imprezy organizowane przez cudzoziemców, podczas których można spróbować tradycyjnych potraw danego kraju, pobawić się przy muzyce, oczywiście w międzynarodowym towarzystwie. Trzeba nadmienić, że polskie pierogi cieszą się wśród obcokrajowców wielkim powodzeniem.

Kilkumiesięczny wyjazd był wielką i być może jedyną w swoim rodzaju okazją do przekonania się, jak się żyje i studiuje za granicą, do poznania osób różnych narodowości, a przede wszystkim do rozwijania swojej wiedzy i poszerzania horyzontów. Dlatego też

chcielibyśmy serdecznie podziękować koordynatorowi programu Erasmus w Katedrze Ochrony Powierzchni Ziemi – dr. hab. inż. Mirosławowi Wiatkowskiemu za propagowanie idei studiów zagranicznych, zachęcenie nas do wyjazdu oraz pomoc podczas kolejnych etapów realizacji wyjazdu. Chcemy też podziękować pracownikom Działu Nauki i Współpracy z Zagranicą Uniwersytetu Opolskiego za profesjonalną pomoc przed rozpoczęciem, w trakcie i po odbyciu stypendium, a także naszym wykładowcom, władzom wydziału i pracownikom dziekanatu za okazaną pomoc i wyrozumiałość. Na koniec chcielibyśmy wszystkich studentów gorąco zachęcić, by odważyli się posmakować studiów na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie.

Anna Zajac, Paulina Kabala, Tomasz Szoldrowski

Opolska Konferencja Biblioterapeutyczna

Lek na niepogodę duszy

Na Opolskiej Konferencji Biblioterapeutycznej pod hasłem *Książka lekiem na niepogodę duszy* spotkało się 10 kwietnia 2013 r. blisko 200 nauczycieli, bibliotekarzy i terapeutów naszego regionu. Inicjatywa Miejskiego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli oraz Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej, spotkała się z olbrzymim zainteresowaniem środowiska oświatowego. Organizatorzy przygotowali bardzo bogaty program oparty o prezentacje referatów i komunikatów oraz warsztaty biblioterapeutyczne i zajęcia otwarte. Na sympozjum zaproszono specjalistów – badaczy i praktyków, m.in.: **dr Małgorzatę Siemież** z Dolnośląskiej Szkoły Wyższej we Wrocławiu, jedną ze współzałożycielek Polskiego Towarzystwa Biblioterapeutycznego; **dr Lidę Ippoldt** z Pedagogicznej Biblioteki w Skawinie, związaną z Polskim Towarzystwem Biblioterapeutycznym od początku jego istnienia, obecnie jego wiceprezes; **dr Iwonę Konopnicką** z Instytutu Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu Opolskiego, a także **dr Ewelinę Konieczną** z Instytutu Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Opolskiego. Doświadczeni

propagatorzy idei terapeutycznej roli książki dokonali rzeczowej i dogłębnej analizy rozwoju polskiej biblioterapii, ukazali jej dotychczasowe osiągnięcia, jak i aktualną sytuację. Podali przykłady dobrych praktyk i interesujących rozwiązań, które mogły znaleźć licznych naśladowców wśród uczestników konferencji. Przybliżyli tematykę czytelnictwa i terapii czytelnicy

czey wśród dzieci zdrowych oraz w środowiskach młodzieży niepełnosprawnej, narażonej na wykluczenie społeczne. Komunikaty, dotyczące działalności PBW w Opolu i jej filii terenowych w zakresie stymulowania kompetencji czytelnicy i przedsięwzięć o charakterze biblioterapeutycznym, wygłosiły nauczycielki-bibliotekarki – **Barbara Pająk, Monika Mat-**



Zajęcia otwarte *Dobłą rzeczą jest pomagać innym* z uczniami SP nr 1 w Opolu prowadzą panie: Barbara Błyszczakowska (MODN w Opolu) i Bożena Jeluków (PG nr 6)

kowska i Joanna Baran.

Szczególnym zainteresowaniem publiczności cieszyły się warsztaty biblioterapeutyczne: *Poznaję siebie, Kobiecość, magia słowa...*, *Pomóż mi pokonać nocne potwory* oraz *Czarodziejskie ziarenka*. Interesujący koncept edukacyjny przedstawiły **Barbara Błyszczakowska** z Miejskiego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli w Opolu i Bożena Jeluków z Publicznego Gimnazjum nr 6 w Opolu – w formie zajęć otwartych zrealizowały scenariusz lekcji bibliotecznej z elementami biblioterapii *Dobrą rzeczą jest pomagać innym*. Zajęcia z udziałem uczniów IV klasy PSP nr 1 w Opolu przeprowadziły w obecności licznej widowni.

Opolska Konferencja Biblioterapeutyczna była przedsięwzięciem interaktywnym. Uczestnicy żywiołowo reagowali na szereg projektów towarzyszących. Pretekstem do kontaktu z żywym słowem była

inscenizacja bajki terapeutycznej *O drzewie, które umiało dawać* w wykonaniu **Alicji Morawskiej-Rubczak** – pedagoga Opolskiego Teatru Lalki i Aktora im. A. Smolki. Można też było obejrzeć ekspozycję materiałów piśmienniczych z zasobów PBW podejmujących przedmiotową problematykę – *W drodze ku biblioterapii*. Zorganizowano też prezentację ponad 150 rysunków i rzeźb przedszkolaków, którzy wzięli udział w Międzyprzedszkolnym Konkursie Plastycznym *Jaką postacią z bajki chcę zostać?*, zorganizowanym przez Przedszkole Publiczne nr 18 w Opolu i PBW w Opolu. Odbył się także wernisaż wystawy obrazów uczniów Publicznego Gimnazjum nr 2 w Namysłowie, tworzących pod kierunkiem **Alicji Danuty Okularczyk**. Wiele osób zwróciło uwagę na ofertę kiermaszu wydawnictw Miejskiego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli w Opolu. Dużym za-

interesowaniem cieszył się specjalny numer kwartalnika „Modelowe Nauczanie”, w którym zawarto materiały konferencyjne, publikacje i scenariusze zajęć oraz obszerne zestawienie bibliograficzne poświęcone biblioterapii.

Konferencję uświetnili swoją obecnością goście specjaliści, m.in.: **Krzysztof Grzęda** – wicedyrektor Departamentu Edukacji i Rynku Pracy Urzędu Marszałkowskiego w Opolu, **Bronisława Ogonowski** – kierownik Referatu Wspomagania i Strategii Edukacyjnej Wydziału Oświaty Urzędu Miasta Opola, **Aurelia Stępień** – dyrektor Wydziału Wspomagania i Strategii Edukacyjnej Kuratorium Oświaty w Opolu, **prof. Bogdan Cimała** z Instytutu Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Opolskiego, a także **Elżbieta Kampa** – dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Opolu.

Dagmara Kawoń-Noga

W 150. rocznicę wybuchu powstania styczniowego

Patriotyczny wybuch

Z okazji 150. rocznicy powstania styczniowego, w dniach 14–15 maja br., w Instytucie Historii UO, odbyła się dwudniowa konferencja naukowa zatytułowana *Powstanie Styczniowe. Motywacja-walka-dziedzictwo*. Główni organizatorzy tego spotkania to Instytut Historii UO, Polskie Towarzystwo Historyczne oddział w Opolu, Urząd Miasta Opola, Kuratorium Oświaty w Opolu, Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana w Opolu oraz Koło Naukowe Historyków UO. Patronat medialny objęły Radio Opole oraz „Nowa Trybuna Opolska”.

Konferencję otworzył jej inicjator **dr Antoni Maziarz** z Uniwersytetu Opolskiego. Obrady rozpoczęli: rektor Uniwersytetu Opolskiego **prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja**, dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego **dr hab. Janusz Dorobisz**, **prof. UO**, oraz dyrektor Instytutu Historii **dr hab. Tomasz Ciesielski**, **prof. UO**. Sympozjum zostało podzielone na trzy bloki tematyczne: *motywacje, walkę i dziedzictwo powstania styczniowego*.

W pierwszym dniu konferencji uczestnicy mieli okazję wysłuchać wykładu goszczącego właśnie w Opolu **prof. dr hab. Tomasza Szaroty** z Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, który

przybliżył postać wybitnego historyka i znawcy tematyki powstania styczniowego, prof. Stefana Kieniewicza (1907–1992). Kolejne wystąpienia dotyczyły genezy powstania, a także jego percepcji poza terenami objętymi walkami. **Prof. dr hab. Edward Czapiewski** z Dolnośląskiej Szkoły Wyższej przedstawił stanowisko kluczowych postaci w tym okresie (margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, prezesa Towarzystwa Rolniczego Andrzeja Zamoyskiego oraz pisarza Józefa Kraszewskiego); wskazał też analogie w sytuacji Królestwa Polskiego i Finlandii – wówczas, podobnie jak Polska, uzależnionej od Rosji. **Prof. dr hab. Dan Gawrecki** przybliżył obraz powstania styczniowego w historiografii czeskiej, natomiast dr Antoni Maziarz scharakteryzował postawę wybranych przedstawicieli Kościoła poznańskiego wobec wydarzeń w Królestwie Polskim z lat 1861–1865.

W części drugiej **dr Mariusz Patelski** zaprezentował rolę rodziny Jordan Rozwadowskich w walkach powstańczych. Generał Tadeusz Rozwadowski to szef Sztabu Generalnego podczas bitwy warszawskiej 1902 r. Jego imiennik 19 maja 1863 r. zginął w bitwie pod Tuczapami, co wskazywać może na znaczenie powstania dla tradycji wojskowych w polskich śro-

dowiskach patriotycznych przełomu XIX i XX wieku. Doświadczenia konfrontacji źle przygotowanych do walki partyzantów z regularną armią rosyjską skłaniały Rozwadowskich do angażowania się w służbę armii zaborczych (w ich przypadku – austriackiej), by tam zbierać szlify potrzebne podczas kolejnej wojny o wolność Polski. Z kolei **dr hab. Marek Dutkiewicz**, **prof. UJK** z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, omówił słabo rozpoznany w dotychczasowej literaturze przedmiotu temat opieki medycznej w trakcie powstania. Pokazał słuchaczom unikatowe wzory mundurów przygotowanych dla służby medycznej. Zrywy powstańcze miały wpływ także na losy polskich kobiet. Po śmierci mężów, ojców – to na ich barki spadał ciężar odpowiedzialności za dom. W takich okolicznościach kształtował się dziś często trywializowany etos matki Polki. Kobiety odgrywały też istotną rolę w samym powstaniu. O wątkach tych mówiła **prof. dr hab. Teresa Kulak**.

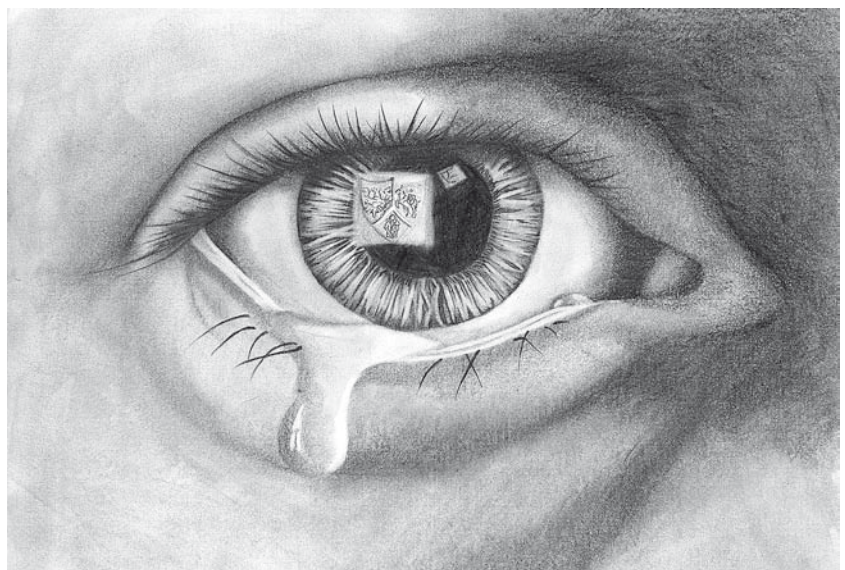
Wydaje się, że we współczesnej perspektywie najczęściej miejsca zajmuje refleksja nad dziedzictwem zrywu 1863 roku, co znalazło odzwierciedlenie w omawianej konferencji – najczęściej wystąpien poświęcono konsekwencjom powstania styczniowego. Reprezentujący Katolicki Uniwersytet Lubelski **o. dr hab. Roland Prejs** i **prof. dr hab. Eugeniusz Niebelski** przybliżyli popowstaniowe losy polskiego duchowieństwa. Z kolei **dr hab. Tomasz Ciesielski** nakreślił ramy rosyjskiej polityki wobec drobnej szlachty, którą po 1863 r. dotknęła jeszcze większa presja polityczna – wielu uczestników przyplącało swój udział w powstaniu deklacją.

Tak dramatyczne wydarzenie, jak zakończona klęską insurekcja, znalazła niezwykle bogate odzwierciedlenie w materiale pamiętnikarskim. Niektóre ze wspomnień przybliżyła **dr hab. Barbara Kubis**, **prof. UO**. Refleksja nad współczesnym kierunkiem wychowania obywatelskiego młodego pokolenia Polaków każe postawić pytanie o znaczenie edukacji historycznej w tym procesie. Doktorant **Marcin Wietrzniok** pokazał to zagadnienie na przykładzie programów historii realizowanych w II RP. W swym wystąpieniu (*Konstruowanie obrazu Romualda Traugutta i Aleksandra Wielopolskiego w narracjach podręczników szkolnych do nauczania historii okresu II Rzeczypospolitej*) wskazał na uzależnienie obrazu dwóch głównych postaci powstania od bieżącej polityki oświatowej. Współczesnym odniesieniem do tej kwestii był referat **dr. Marka Białokura z UO**, który nakreślił możliwości wykorzystania treści powstańczych w nowym kształcie nauczania historii

(*Wokół sporu o ocenę dziewiętnastowiecznych polskich insurekcji. Powstanie styczniowe w ramach przedmiotu historia i społeczeństwo-dziedzictwo epok jako wyzwanie współczesnej edukacji historycznej*).

Pierwszy dzień obrad zakończyła dyskusja: *Czy powstanie styczniowe zasługuje na upamiętnienie?* Odniesiono się do nieraz skrajnych ocen – zarówno tych, które bezkrytycznie bronią decyzji Komitetu Centralnego Narodowego o wywołaniu powstania, jak i diametralnie odmiennych – wskazujących powstanie styczniowe jako przejaw nieodpowiedzialności i głupoty. Zgodzono się, że niezależnie od motywacji inicjatorów zrywu podkreślić należy szacunek dla Polaków, którzy nie kierując się osobistymi korzyściami, ale w oparciu o służbę ojczyźnie, poświęcili jej to, co najważniejsze: zdrowie i życie. Przed nami nie ma takich wyzwań, niemniej kolejne pokolenia polskich powstańców wskazują nam, jaka była cena naszej wolności, a w związku z tym, jak ważnym wyzwaniem jest włączanie się w ducha obywatelskim w życie społeczne i narodowe. W dyskusji odwołano się też do odgłosów powstania styczniowego w jego setną rocznicę wybuchu. **Dr Adriana Dawid** wskazała na brak takich odniesień zarówno w prasie opolskiej (pojawiały się tylko przedruki z czasopism warszawskich), jak i w materiale archiwalnym opolskiego Komitetu Wojewódzkiego PZPR, który decydował o kształcie obchodów wszelkich rocznic.

W drugim dniu konferencji wyniki swych badań prezentowało młodsze pokolenie historyków, wywodzących się ze studenckich kół naukowych Uniwersytetu Opolskiego, Wrocławskiego oraz Śląskiego w Katowicach. Moderatorem tej części spotkania był **Łukasz Malkusz**, na co dzień kierujący pracami Studenckiego Koła Naukowego Historyków UO. Po przywitaniu gości, wręczono nagrody laureatom konkursu *Motywy i symbole powstania styczniowego*. Jury naj-



Nagrodzona w konkursie plastycznym praca Katarzyny Olszewskiej, uczennicy II LO w Opolu

wyżej oceniło pracę **Katarzyny Olszewskiej**, uczennicy II LO w Opolu.

Podobnie jak w pierwszym dniu, także obrady śródo-
we zostały ujęte w trzy bloki: *motywacje*, *walka*, *dziedzictwo*. Prelegenci prezentowali tematy penetrujące
mniej znane wątki powstańcze; poddawano analizie ma-
teriał źródłowy pozostawiony przez uczestników zrywu.

Konferencja potwierdziła, że pomimo upływu 150
lat od wybuchu powstania styczniowego, zdarzenie

to wciąż zawiera treści wymagające zbadania, a długi
czas dzielący nas od tego zrywu narodowego nie ostu-
dził emocji dyskutantów. Współcześnie, w dobie pro-
mowania modelu patriotyzmu opartego na etosie pra-
cy, stawiane są na nowo pytania o sens walki zbrojnej,
o znaczenie takich wartości jak poświęcenie dla ojczy-
zny.

Magdalena Zawadzka

Paula Szabat

Złapani w siatkę

Jestem studentką trzeciego roku kulturoznawstwa
uniwersytetu w Opolu, tu mieszkam od trzech lat. Lu-
bię tutejszą atmosferę, ludzi, moją uczelnię... Pochodzę
jednak z Bełchatowa. Oprócz kopalni i elektrowni
mamy w Bełchatowie wspaniałą siatkarski klub spor-
towy, który niejednokrotnie promował nasze miasto
i był dumą wszystkich mieszkańców. W szkołach na
zajęciach wychowania fizycznego największy nacisk
kładzie się w Bełchatowie na siatkówkę. Kiedy tylko
nastają ciepłe dni, na osiedlach słychać odbicia piłki –
od trawników pod oknami, po profesjonalnie przygo-
towane boiska plażowe dla młodzieży. Siatkówka to-
warzyszyła mi od zawsze. Nie byłoby tak, gdyby nie
Skra, która na przestrzeni kilku lat wywalczyła sobie
tak mocną pozycję na sportowym rynku.

Chociaż mistrzostwa Polski w sezonie 2012/2013
dawno się skończyły, a czołówki największych portali
sportowych zdominowały informacje o nowych trans-
ferach, wróć do tegorocznych rozstrzygnięć, bo nie
tylko mnie męczy pytanie: Dlaczego moja Skra Beł-
chatów zakończyła rozgrywki bez medalu?! A jeśli nie
Skra, to dlaczego ZAKSA Kędzierzyn-Koźle nie zdo-
łała złota?!

Kiedy w 1999 r. Skra awansowała do serii A I li-
gi, a zaraz potem z hukiem spadła do serii B, nikt nie
spodziewał się większych sukcesów. Jednak po rocz-
nej grze na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej
zespół we wspaniałym stylu ponownie awansował do
serii A i sprawił największą niespodziankę kibicom i
samym sobie, zdobywając brązowy medal mistrzostw
Polski.

Następne lata sukcesów ugruntowały pozycję klu-
bu w rozgrywkach o mistrzostwo Polski. W sezonie
2003/2004 Skra znalazła się w pierwszej czwórce roz-
grywek oraz była finalistą Pucharu Polski, co uprawni-
ło ją do trzeciego z rzędu udziału w rozgrywkach euro-
pejskich – Pucharze CEV. W sezonie 2004/2005 Skra
Bełchatów zdobywa po raz pierwszy w historii Puchar
Polski i Mistrzostwo Polski. Po raz pierwszy, ale nie
ostatni. Do roku 2011 byliśmy niezwykcie.

W tym czasie powstał ogromny klub kibica, dosko-
nale znany w siatkarskim świecie, a nasza klubowa
maskotka – pszczoła, rozpoznawana jest nawet przez
najmłodszych! Oczywiście nie osiągnęlibyśmy tego
wszystkiego, gdyby nie inwestorzy i sponsorzy, którzy
przyczynili się do promocji i sukcesów Skry. Nasz naj-
większy inwestor, Polska Grupa Energetyczna (Elek-
trownia Bełchatów jest jednym z jej oddziałów), za-
pewnia klubowi wsparcie na sportowej arenie.

Ogromnym wsparciem dla klubu są też jego kibice.
Zwłaszcza ci najbardziej wytrwali i najwierniejsi fani
zespołu. Nie bez emocji komentują ostatni sezon. Asia,
studentka prawa na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika
w Toruniu, rodowita bełchatowianka:

– Co do naszej Skry i jej piątego miejsca w roz-
grywkach – cóż, nie każdy eksperyment jest tym wła-
ściwym. Starych drzew się nie przesadza i tak samo
jest ze zmianami pozycji. Przykład: Mariusz Wlazły,
który jest genialny na ataku – czemu to zmienili? I trze-
ba pamiętać, że nie zawsze tylko w młodzieży siła. Po-
rażkę odbieram jako przestrożę. No i nie oddaje się ta-
kich zawodników, jak Bartosz Kurek – to taki klubowy
strzał w kolano.

Najstarszy i najbardziej doświadczony kibic Skry
to pan Marian, o którym mówią, że nie schodzi z sa-
li. Cieszy się sympatią pozostałych kibiców i zaufa-
niem zarządu, który powierza mu różne drobne zaję-
cia podczas meczów. Obecny nie tylko na wszystkich
rozgrywkach seniorów, ale i młodszych grup zawod-
niczych. Zawsze gotowy pomóc i doradzić.

Wydawać by się więc mogło, że z pomocą tak sil-
nych finansowo sponsorów i inwestorów, wspartych
entuzjazmem wiernych kibiców, powinniśmy być nie-
zmiennie liderami. Przyzwyczailiśmy się do tego. No
więc dlaczego miniony sezon skończył się taką kata-
strofą?

Razem z Pawłem Zatorskim (zawodnik Skry, grają-
cy jako *libero*) próbowaliśmy stawić czoła temu pyta-
niu, ale ani Paweł, ani tym bardziej ja nie doszliśmy do
jednoznacznej odpowiedzi. On nie próbuje usprawie-

dliwić swojej drużyny: – Sami też zadajemy sobie to pytanie. Niby mało brakowało, żebyśmy wygrali z Resovią i awansowali do najlepszej czwórki, ale te dwie piłki, których nam zabrakło do upragnionego awansu, to obraz naszej gry przez dłuższy czas, a nie tylko w tym jednym spotkaniu. Wiele meczów przegrywaliśmy, mając już przeciwnika „na łopatkach” i nie potrafiliśmy wyciągnąć z tego wniosków...

Skra zatrudniła niedawno nowego trenera, zresztą byłego zawodnika Skry, Miguela Falasę. Hiszpan zastąpi na tym stanowisku Jacka Nawrockiego, który po latach spędzonych na ławce trenerskiej, odchodzi z klubu. Wiadomo również o odejściu Michała Winiarskiego i pozyskaniu dwóch zawodników, którzy w poprzednim sezonie reprezentowali Delectę Bydgoszcz: Andrzeja Wrony i Stephana Antigi – doskonale znanego i lubianego w bełchatowskim siatkarskim świątku. Czy te zmiany pomogą Skrze? Nam, bełchatowskim kibicom, pozostaje uzbroić się w cierpliwość...

Również kibicom siatkarzy z Kędzierzyna-Koźła cierpliwość bardzo się przyda. ZAKSA była przecież w minionym sezonie o krok od zdobycia mistrzostwa Polski, a taka szansa nie przychodzi z dnia na dzień. Skrę i ZAKSĘ łączy nie tylko odwieczna rywalizacja. W obydwu drużynach funkcję trenera pełnił ceniony szkoleniowiec Daniel Castellani, w ZAKSIE gra wieloletni zawodnik Skry, Marcin Możdżonek, darzony wielką sympatią kibiców obydwu drużyn. A klubowi kibica z Kędzierzyna-Koźła też nie można odmówić świetnej organizacji i klubowej wierności. Z opinii wielu amatorów siatkówki wynika, że obydwie kluby solidnie i wytrwale zapracowały na miano najbardziej pozytywnie zakręconych i oddanych swoim drużynom.

Nie tylko ja, ale i większość kibiców Skry darzy wielkim szacunkiem i sympatią zawodników ZAKSY, wielu z nich, kiedy Skra nie weszła do fazy finałowej, kibicowało drużynie z Kędzierzyna-Koźła i jej życzyło złota. Asia też za nią trzymała kciuki: – ZAKSA miała zespół skromniejszy, zbudowany z mniejszej liczby gwiazd, ale miała na czele mistrza Castellaniego.

Praca u podstaw została nagrodzona, rozwinęły się nowe talenty i nadzieje. No bo ile można oglądać te same gwiazdy?

Nowe gwiazdy można albo kupić (w ramach transferu), albo w klubie wyprodukować. ZAKSA to drugie robi w ramach Młodej Ligi Zaksy. Rozmawiam z jej kapitanem, Mateuszem Kamińskim.

– Jak, jako zawodnik i brązowy medalista młodej ligi, odbierasz tak miażdżącą porażkę seniorów Skry w minionym sezonie?

– Ktoś musi wygrać, ktoś przegrać. Plus Liga w tym sezonie była bardzo mocno obsadzona. Nie chcę oceniać starszych i bardziej doświadczonych kolegów z Bełchatowa. Wydaje mi się, że brakuje tam już trochę gazu. Po tylu latach dominacji musi się trafić jakieś załamanie. I wydaje mi się, że właśnie w tym sezonie ono nastąpiło.

– A finałowa porażka i tylko srebro twoich starszych kolegów z Kędzierzyna-Koźła?

– Byliśmy na ostatnim meczu. I widzieliśmy ich twarze po ostatniej piłce. Ale w sporcie ktoś musi przegrać. A Resovia zagrała piąty mecz świetnie.

– Czy ZAKSA to dobre miejsce dla młodych zawodników, chcących posmakować wielkiego siatkarskiego świata?

– Wydaje mi się, że są tu naprawdę dobre warunki dla młodzieży. Szkoleniowcy pierwszego zespołu w razie potrzeby posiłkują się zawodnikami z Młodej Ligi. Nie tylko sama ZAKSA, ale cały Kędzierzyn-Koźle to świetne miejsce dla młodych siatkarzy. Wszyscy tu żyją siatkówką.

Więc co dalej z siatkarskimi drużynami Bełchatowa i Kędzierzyna-Koźła? Wielki piłkarski trener Kazimierz Górski mawiał: *Dopóki piłka w grze, wszystko jest możliwe*. Wprawdzie jego piłkarze grali nogami, ale tych od siatkówki też to chyba dotyczy. Bo bez względu na to, czy się gra nogami, czy rękami, niezmiernie ważne jest, by cały czas grać także głową i sercem.

Paula Szabat

Noty o autorach:

Dr Marian Biliński – adiunkt w Zakładzie Pedagogiki Przedszkolnej i Wychowania Artystycznego Instytutu Studiów Edukacyjnych UO, dyrygent Opolskiego Chóru Kameralnego.

Kamila Byrtek – studentka politologii (II rok SUM) i filologii polskiej (I rok SUM). Przewodnicząca Studenckiego Naukowego Koła Literackiego, działającego przy Instytucie Polonistyki i Kulturoznawstwa UO.

Dr hab. Joanna Czaplinska, prof. UO – bohemistka, tłumaczka literatury czeskiej, kierownik Katedry Sławistyki Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO.

Zainteresowania naukowe: literatura czeska drugiej połowy XX wieku i najnowsza, literatura emigracyjna i zjawisko emigracji.

Jerzy Duda – emerytowany nauczyciel, b. kurator oświaty i wychowania w Opolu, autor wielu publikacji dotyczący historii oświaty w woj. opolskim.

Dr Joanna Filipczyk – doktor nauk humanistycznych w zakresie nauk o sztuce, kustosz, kierownik Działu Sztuki Muzeum Śląska Opolskiego.

Martyna Friedla – studentka I roku kulturoznawstwa (studia magisterskie) Uniwersytetu Opolskiego, członkini

Studenckiego Koła Naukowego Teatrológów.

Dr hab. Beata Gaj – adiunkt w Katedrze Cywilizacji Śródziemnomorskiej Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego. Badaczka historii starożytnej Grecji i Rzymu. Opublikowała książki: *Tradycje retoryczne na dawnym Śląsku (XVI-XVIII wiek)* (Katowice-Opole 2007) i *Ślązaczka. Pomiędzy rustica grossa i Pallas Silesiae – portret kobiety w literaturze łacińskiego Śląska* (Opole 2010), współautorka kilku podręczników.

Andrzej Haczkiwicz – prezes Opolskiego Towarzystwa Fotograficznego, autor wielu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Członek Związku Polskich Artystów Plastyków i Fotografików Polska Sztuka Użytkowa.

Andrzej Hamada – nestor opolskich architektów, urodzony w Gdańsku znawca historii Opola, w którym mieszka od sześćdziesięciu lat.

Dr Gabriela Jelitto-Piechulik – adiunkt w Zakładzie Historii Literatury i Kultury Niemiec XIX i XX wieku w Instytucie Filologii Germańskiej UO.

Dr Małgorzata Jokiel – pracownik naukowy Zakładu Języka Niemieckiego Instytutu Filologii Germańskiej UO.

Prof. dr hab. Włodzimierz Kaczorowski – pracownik naukowy Wydziału Prawa i Administracji UO. Jego badania naukowe dotyczą głównie dziejów powszechnych i Polski XV-XIX wieku, zwłaszcza parlamentaryzmu, wymiaru biologicznego w badaniach historyczno-prawnych oraz biografistyki.

Martyna Kasprzak – studentka I roku kulturoznawstwa (studia magisterskie) na Uniwersytecie Opolskim, członkini Koła Naukowego Teatrológów.

Dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO – pracownik naukowy Instytutu Filologii UO. Tematyka badań: filozofia średniowieczna i jej współczesne kontynuacje, filozofia Boga i filozofia religii, filozofia społeczna.

Dr Bartosz Małczyński – adiunkt w Instytucie Polonistyki i Kulturoznawstwa UO. Autor książek: *Rozwiązywanie tekstów. Poetyckie polimorfie Tymoteusza Karpowicza* (Kraków 2010), *Boczne odnogi, ciemne jamy... Studia i szkice literackie* (Opole 2011). Redaktor naukowy sześciu monografii zbiorowych. Współredaktor opolskiego pisma społeczno-kulturalnego „Strony”.

Kinga Markowska – studentka II roku filologii polskiej (studia II stopnia) Uniwersytetu Opolskiego, członkini Koła Naukowego Onomastów UO.

Dr Antoni Maziarz – adiunkt w Instytucie Historii UO, wicedyrektor Instytutu Historii ds. dydaktycznych. Zainteresowania naukowe: historia Polski w XIX wieku.

Prof. dr hab. Stanisław Nicieja – historyk (biografistyka najnowszych dziejów Polski, historia najnowsza), urzędujący rektor Uniwersytetu Opolskiego (wybrany na to stanowisko po raz trzeci), współautor filmów dokumentalnych, autor kilkunastu książek, m.in.: *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786-1986; Cmentarz Obrońców Lwowa; Z Kijowa na Piccadilly. Wokół biografii Tadeusza Zabłockiego – Gwasza; Łyczaków – dzielnica za Styksem; Tam gdzie lwowskie śpią Orleńta; Cmentarz Łyczakowski w fotografii; Twierdza kresowe Rzeczypospolitej. Historia, legendy, biografie; Kresowe Trójmiasto.*

Truskawiec-Drohobycz-Borysław; Lwowskie Orleńta. Czyn i legenda; Kresowa Atlantyda.

Prof. dr hab. Piotr Obrączka – emerytowany pracownik Uniwersytetu Opolskiego (specjalność: literatura polska i niemiecka), autor ponad 170 publikacji, w tym 14 książek. Jego zainteresowania naukowe dotyczą literatury polskiej okresu Młodej Polski, zwłaszcza dzieła Jana Augusta Kisielewskiego oraz stosunków literackich polsko-niemieckich, ze szczególnym uwzględnieniem polskiej recepcji literatury niemieckojęzycznej.

Leszek Ołdak – grafik, plakacista, rysownik, ilustrator i scenograf. Jego prace znajdują się m.in. w zbiorach Muzeum Karykatury w Warszawie, Muzeum Plakatu w Wilanowie, Biurze Wystaw Artystycznych w Zamościu, Archiwum Satyrykonu w Legnicy oraz w kolekcjach prywatnych w kraju i zagranicą.

Tadeusz Parcej – opolski fotografik. Swoje zdjęcia publikował w pismach artystycznych: „Format”, „Exit”, „Sztuka”, „Dialog”, „Teatr” oraz wydawnictwach książkowych. Autor wystaw indywidualnych i zbiorowych, m.in. *Kościoty drewniane Opolszczyzny* (2007), *Album rodzinny* (2009). Stały współpracownik „Indeksu”.

Ks. dr hab. Joachim Piecuch, prof. UO – pracownik naukowy Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia człowieka, ontologia, fenomenologia.

Prof. dr hab. Anna Pobóg-Lenartowicz – kierownik Katedry Historii Średniowiecznej. Zainteresowania naukowe: monastycyzm średniowieczny (ze szczególnym uwzględnieniem kanoników regularnych, cystersów i dominikanów), dzieje Księstwa Opolskiego (do 1532 r.), historiografia średniowieczna, nauki pomocnicze historii.

Bartosz Suwiński – poeta, krytyk literacki, doktorant filologii polskiej na Uniwersytecie Opolskim. Poezję, prozę, szkice krytyczne i artykuły naukowe publikował min. w „Kresach”, „Frazie”, „Toposie”, „Polonistyce”, „Odrze”, „Śląsku”. Opublikował tom wierszy „Sehir” (2010).

Beata Śliwińska – absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Opolskiego, pracuje w Bibliotece Wydziału Filologicznego. Współorganizatorka wernisażu *Pasja wędrowania w bibliotekarskim obiektywie* (2009). Publikuje w „Bibliotekarzu Opolskim”, „Poradniku Bibliotekarza” i portalu „EBIB”. Członek komitetu redakcyjnego „Bibliotekarza Opolskiego”.

Dr hab. Magdalena Ujma, prof. UO – pracownik naukowy Instytutu Historii UO. Pracę doktorską poświęciła historii organizacji i działalności sejmiku lubelskiego w latach 1572–1696, tematem jej habilitacji stało się latyfundium Jana Sobieskiego w l. 1652–1696. Obecnie nadal zajmuje się dobrami wielkiej własności ziemskiej, przede wszystkim rodzin Zborowskich i Jordanów w XVI-XVII w.

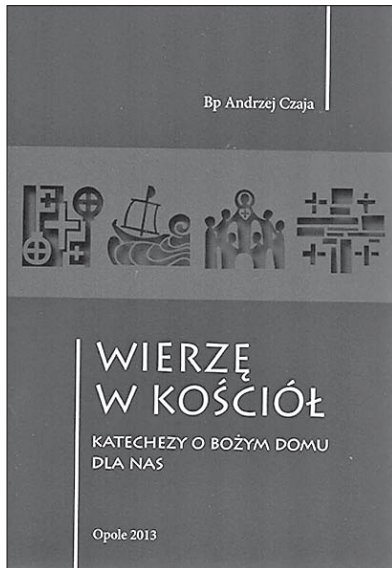
Dr Adam Wierciński – starszy wykładowca w Katedrze Literatury Polskiej (Zakład Literatury XX i XXI wieku) Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO.

Agnieszka Wojcieszek – studentka II roku filologii polskiej (studia II stopnia) Uniwersytetu Opolskiego.

Nowości Redakcji Wydawnictw Wydziału Teologicznego UO



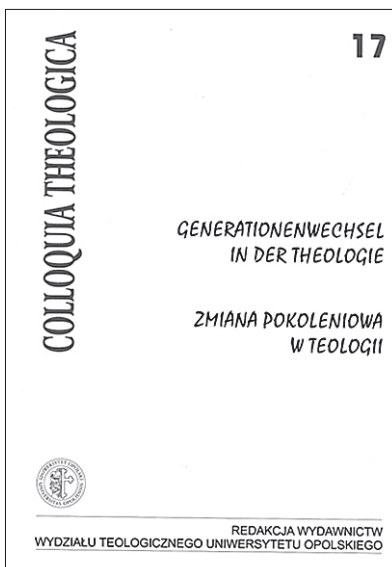
Czaja Andrzej, *Wierzę w Kościół. Katechezy o Bożym domu dla nas* (seria: Pomoce Duszpasterskie, nr 21), Opole 2013, 156 s., cena 3,50 zł



W publikacji zamieszczone zostały katechezy wygłaszane przez biskupa Andrzeja Czaję.



Glombik Konrad, Kranemann Benedikt (red.), *Zmiana pokoleniowa w teologii / Generationenwechsel in der Theologie*, (seria: *Colloquia Theologica*, nr 17), Opole 2012, 216 s., cena 10,00 zł



Publikacja zawiera materiały z (konferencji) naukowej współpracy Wydziałów Teologicznych Uniwersytetów Erfurtu i Opola oraz Teologicznego Instytutu Badawczego w Erfurcie.



Morciniak Piotr (red.), *Family Forum. Problemy współczesnej rodziny* (czasopismo: *Family Forum*, nr 2), Opole 2012, 211 s., cena 15,00 zł

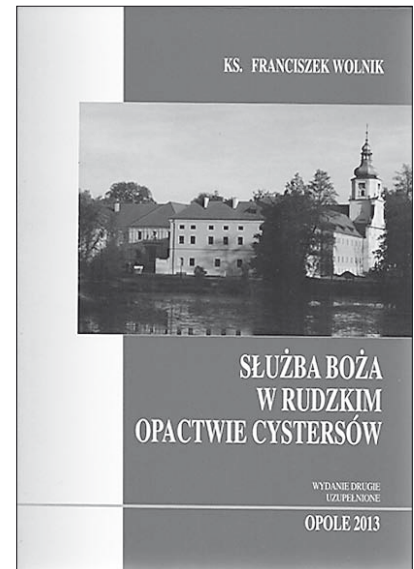


Prezentowana publikacja jest czasopismem Instytutu Nauk o Rodzinie Wydziału Teologicznego UO. Tematyka „Family Forum” dotyczy zagadnień szeroko pojętej problematyki rodziny.



Wolnik Franciszek, *Służba Boża w rudzkiej opactwie cystersów* (seria: *Z Dziejów Kultury Chrześcijańskiej na Śląsku*, nr 76), Opole 2013, 258 s.

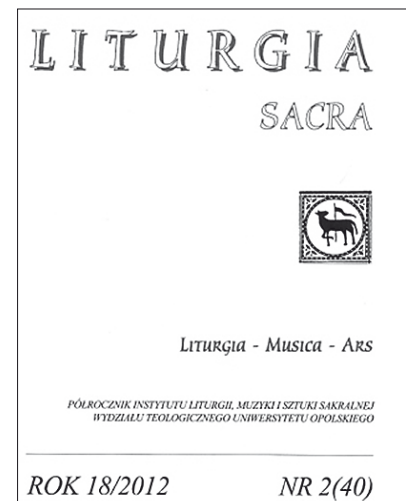
W pracy wykorzystano rękopisy liturgiczne zachowane w Bibliotece Uniwersyteckiej we Wrocławiu oraz księgi potrydenckie przechowywane w Archiwum Parafialnym w Rudach Wielkich. Cenne są również źródła ikonograficzne (malarstwo, rzeźba), będące świadectwem kultu świętych szczególnie



popularnych w rudzkiej opactwie. Istotnych informacji o życiu liturgicznym cysterskich konwentów dostarczają również statuty corocznej kapituły generalnej cystersów. Wydanie drugie uzupełnione.



Sobczko Helmut Jan (red.), *Liturgia Sacra* (czasopismo: nr 2-40), Opole 2012, 321 s., cena 17,50 zł

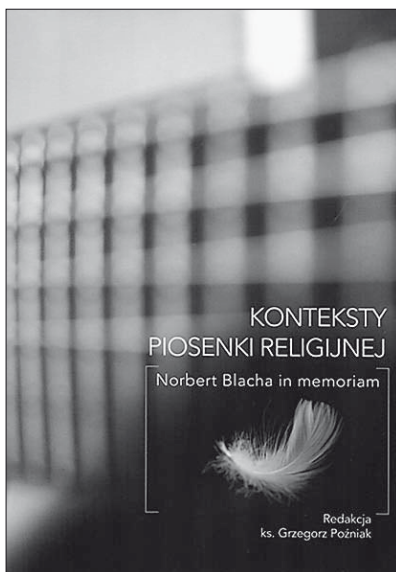


Półrocznik Instytutu Liturgii, Muzyki i Sztuki Sakralnej Wydziału Teologicznego UO.



Późniak Grzegorz (red.), *Kontekst piosenki religijnej*. Norbert

Nowości Redakcji Wydawnictw Wydziału Teologicznego UO

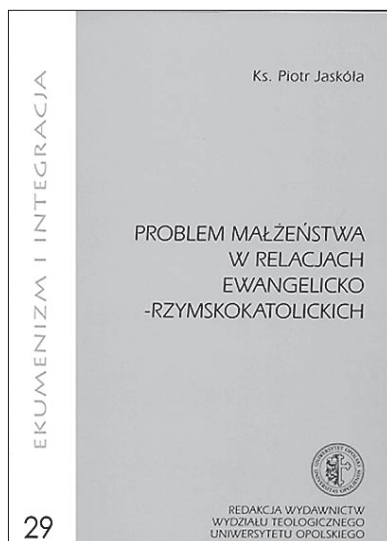


Blacha in memoriam (seria: Opol- ska Biblioteka Teologiczna, nr 129), Opole 2013, 181 s.

Publikacja została przygotowa- na w pierwszą rocznicę śmierci Norberta Blacha, wybitnego mu- zyka i twórcy piosenki religijnej.

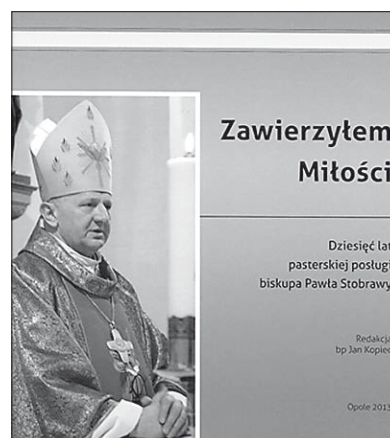
■ ■ ■ ■
Jaskóła Piotr, *Problem mał- żeństwa w relacjach ewangelic- ko-rzymskokatolickich* (seria: Eku- menizm i Integracja, nr 29), Opole 2013, 310 s., cena 26,00 zł

Historia i perspektywy nowych rozwiązań.



■ ■ ■ ■
Kopiec Jan (red.), *Zawierzyłem Miłości* (seria: Z Dziejów Kultury Chrześcijańskiej na Śląsku, nr 77), Opole 2013, 131 s.

Niniejsza książka wydana zo- stała z okazji dziesiątej rocznicy pasterskiej posługi biskupa Pawła Stobrawy.



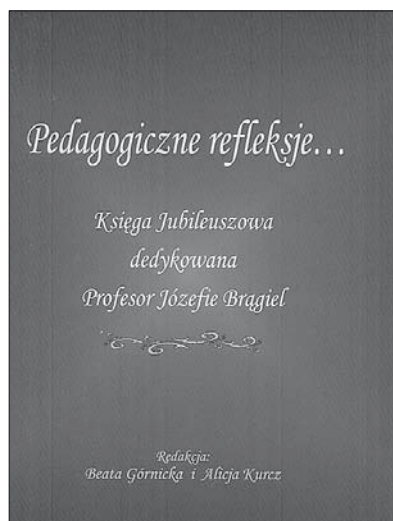
Przygotował: **Piotr Juszczyszyn**

Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego

■ ■ ■ ■
Górnicka B., Kurcz A. (red. nauk.), *Pedagogiczne refleksje... Księga jubileuszowa dedykowana Profesor Józefie Brągiel*, ISBN 978-83-7395-536-3, Opole: Wyd. UO, 2012, format B5, 626 s., oprawa miękka, cena 53,55 zł

Treść książki odzwierciedla wie- lowątkowy wymiar refleksji pedago- gicznych najwybitniejszych polskich pedagogów społecznych, historyków wychowania, dydaktyków, animato- rów kultury oraz współpracowników i uczniów profesor Józefy Brągiel, którzy swoje publikacje złożyli do dedykowanej jej, pamiątkowej *Księgi Jubileuszowej*.

Księga zawiera 46 opracowań uję- tych w trzech częściach. Pierwsza stanowi teoretyczno-metodologiczne *Refleksje o pedagogice społecznej*, nawiązujące do problematyki tożsa-



mości i profesjonalizacji pedagogiki społecznej, dyskursu socjopedago- gicznego o wychowaniu, potędze optymizmu w pedagogice, wyzna- czaniu celów i funkcji współczesnej edukacji, roli kultury w kreacji no- wych wartości, świadomości mię-

dzykulturowej młodzieży, poczucia tożsamości narodowej, historycznych aspektów edukacji regionalnej, prze- mian okresu transformacji oraz pro- blemów metodologicznych badań biograficznych. Druga część publi- kacji, zatytułowana *W kręgu peda- gogiki rodziny*, obejmuje rozważania dotyczące roli pedagogiki rodziny w procesie subdyscyplinaryzacji, poszukiwania aktualnych wymia- rów wartości małżeństwa i rodziny, sytuacji społecznej i emocjonalnej dziecka w rodzinach rozwodzących się, migrujących zarobkowo, zastęp- czych oraz wychowujących dziecko niepełnosprawne. W trzeciej części pt. *Aplikacyjne obszary w pedagogice* zawarte są teksty wybitnych peda- gogów i socjologów – autorów teo- retycznych rozważań o społecznych wymiarach działania na polu pracy socjalnej, etycznych wymiarach pra-

Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego

cy z rodzinami problemowymi, edukacji zdrowotnej w kształceniu dzieci i młodzieży oraz edukacji młodzieży o swoistych potrzebach wynikających z jej zawiedzionych nadziei i poczucia marginalizacji społecznej. W tej części publikacji znajdziemy również materiały odnoszące się do pomiaru dydaktycznego, strategii motywacyjnych stosowanych wobec uczniów przez nauczycieli, terapii pedagogicznej, wspierania dziecka i rodzin dysfunkcyjnych, a także poradnictwa zawodowego.

Praca adresowana jest do osób zainteresowanych naukowo i metodycznie aktualnymi problemami funkcjonowania różnych środowisk wychowawczych oraz pedagogicznymi aspektami procesów edukacyjnych i społecznych. Walory poznawcze książki upoważniają do polecenia jej nauczycielom i wychowawcom, a szczególnie studentom kierunków pedagogicznych oraz wszystkim tym osobom, którym bliska jest potrzeba refleksji nad złożonymi problemami społecznymi i pedagogicznymi.



Grzybowski W., *Consciousness, Beauty and Analogy of Being in the Poetry and Prose of Thomas MacGreevy*, Stud. i Mon. Nr 486, ISBN 978-83-7395-532-5, Opole: Wyd.



UO, 2013, format B5, 256 s., oprawa miękka, cena 25,20 zł

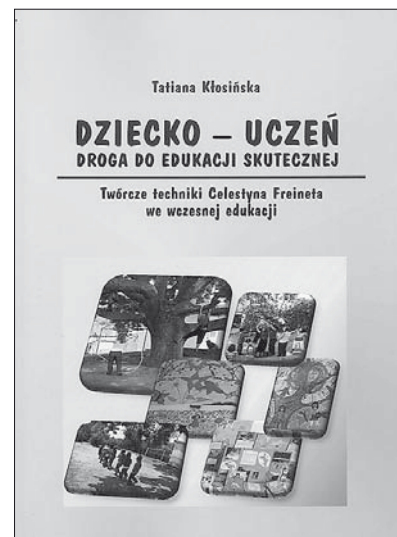
Monografia *Consciousness, Beauty and Analogy of Being in the Poetry and Prose of Thomas MacGreevy* poświęcona jest poezji i prozie Thomasa MacGreevy'ego, irlandzkiego modernisty z pierwszej połowy XX wieku. Jednocześnie interpretacja jego wierszy i fragmentów prozy jest płaszczyzną do rozwinięcia kilku podstawowych zagadnień z teorii analogii, teorii metafory i teorii poezji.

Książka jest adresowana do badaczy i studentów zajmujących się poezją irlandzką, teorią metafory i literatury.



Kłosińska T., *Dziecko – uczeń. Droga do edukacji skutecznej. Twórcze techniki Celestyna Freineta we współczesnej edukacji*, ISBN 978-83-7395-534-9, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, 186 s., oprawa miękka, cena 17,85 zł

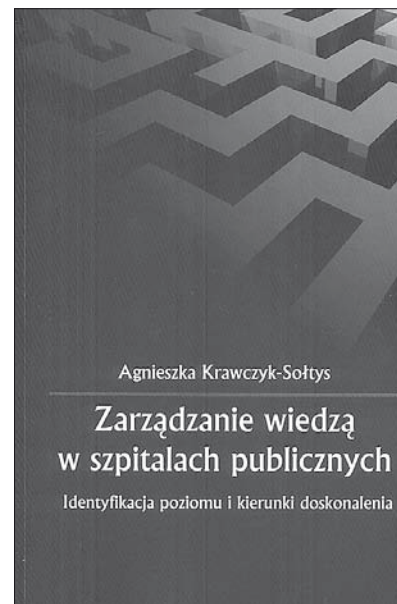
Ze strategii rozwoju edukacji w Polsce wynika konieczność kształcenia wyzwającego kreatywną postawę dziecka. Podręcznik ujmuje zagadnienia edukacji skutecznej realizowanej na podstawie założeń freinetowskiej koncepcji pedagogicznej, uwzględniając ekspresję twórczą w przestrzeni szkolnej oraz przedszkolnej, w której dziecko staje się bezpośrednim twórcą kultury. W pracy ukazano przykłady zajęć z dziećmi z wykorzystaniem technik aktywizujących służących kształceniu samodzielnego, krytycznego i twórczego myślenia dziecka, z położeniem akcentu na kształcenie literackie i językowe. Odpowiedzi na opracowane pytania, umieszczone w ostatnim rozdziale książki, Czytelnik uzyska poprzez wnikliwe studiowanie tekstu, co przyczyni się do kreatywnego przełożenia wiedzy na praktykę pedagogiczną i wychowawczą we współczesnej dydaktyce wczesnoszkolnej i przedszkolnej. Książka stanowi pomoc w poszu-



kiwaniu twórczych metod pracy z dzieckiem we współczesnej przestrzeni edukacyjnej. Skierowana jest do studentów pedagogiki, nauczycieli edukacji wczesnoszkolnej i przedszkolnej, pedagogów, doradców metodycznych oraz osób, które chętnie i odważnie podejmują nowatorskie wyzwania.



Krawczyk-Sołtys A., *Zarządzanie wiedzą w szpitalach publicznych. Identyfikacja poziomu i kierunki doskonalenia*, Stud. i Mon. Nr 485, ISBN 978-83-7395-531-8, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, 418 s., oprawa miękka, cena 40,95 zł



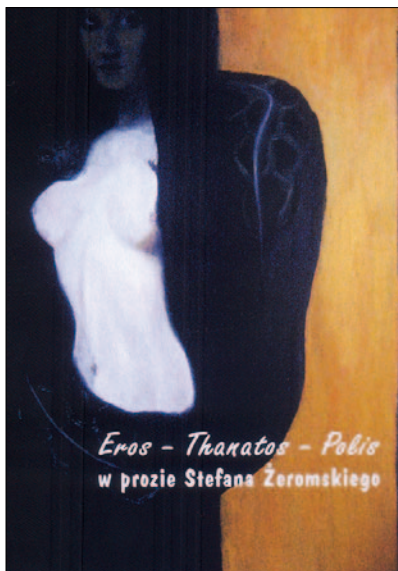
Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego

Celem monografii jest ustalenie poziomu zarządzania wiedzą w szpitalach publicznych przy uwzględnieniu specyfiki ich funkcjonowania oraz zależności między tym poziomem a wykorzystaniem zasobów oraz ich pozycją konkurencyjną. W pracy dokonano identyfikacji wiedzy i ogólnych zasad zarządzania nią w organizacji publicznej, jaką jest szpital. Ponadto zaprojektowano możliwości praktycznego wykorzystania proponowanych usprawnień w zarządzaniu szpitalami publicznymi, aby zwiększyć poziom wykorzystania ich zasobów oraz ich konkurencyjność.

Praca jest adresowana do kadry zarządzającej jednostkami ochrony zdrowia.



Pernal D. (red. nauk.), *Eros – Thanatos – Polis w prozie Stefana Żeromskiego*, ISBN: 978-83-7395-539-4, Opole: Wyd. UO, 2013, format A5, oprawa miękka, cena 10,50 zł



Zbiór tekstów młodych autorów stanowi próbę odczytania twórczości Stefana Żeromskiego w kontekście trzech wciąż inspirujących fenomenów kulturowych: *Erosa*, *Thanatosa* i *Polis*. Jak się okazuje, Żeromski w swym piśmarstwie przyglądał się życiu we wszystkich jego przejawach: biologicznych, zmysłowych,

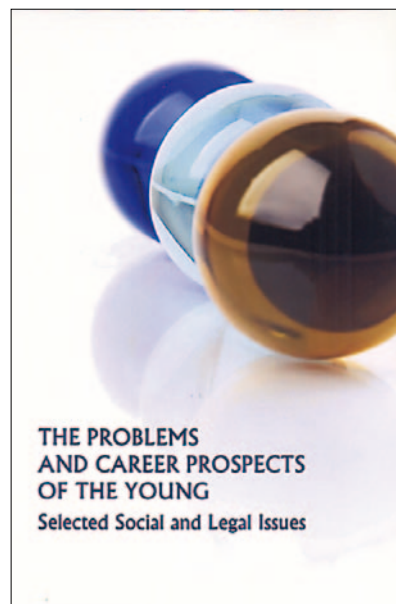
duchowych, metafizycznych, często zadziwiająco, budząc uśmiech z powodu patosu „ponośnego pióra” i wzruszenie z powodu wrażliwości. Stworzył typ bohatera inteligenta i społecznika, nie zapomniał jednak o kobiecości, zmysłach, grzesznej naturze człowieka i modernizacji świata. Wszystkie swoje postacie uwikłał w sieć budzącej się w człowieku świadomości ciała i płci, miłości, tożsamości, społecznego etosu i rodzącej się nowoczesności. Czy zatem proza Żeromskiego może być intrygująca dla czytelnika XXI wieku? „Żeromszczyzna” pozostaje w biernej świadomości odbiorców czy może wzbudza dyskusje, skłania do refleksji, jak w przypadku Witkacego? Niniejsza praca szuka odpowiedzi na powyższe pytania, zapraszając jednocześnie do dalszych rozważań.

Praca adresowana jest do uczniów, studentów polonistyki i kulturoznawstwa oraz wszystkich odbiorców ciekawych nowego spojrzenia na twórczość Stefana Żeromskiego.



Rostropowicz-Miśko M. (red.) *The Problems and Career Prospects of the Young. Selected Social and Legal Issues*, ISBN: 978-83-7395-530-1, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, 124 s., oprawa miękka, cena 11,55 zł

Tematyka publikacji dotyczy wybranych zagadnień społecznych i prawnych dotyczących rynku pracy, edukacji, postaw i oczekiwań osób młodych. Ukazane zostały zarówno wybrane problemy, które dotyczą tej grupy osób, ale także działania, jakie są podejmowane, aby ułatwić dostęp do edukacji oraz rynku pracy zarówno w Polsce, jak i na terenie Unii Europejskiej.



Publikacja ta adresowana jest w szczególności do osób młodych, studentów oraz wszystkich zainteresowanych poruszaną problematyką.

Ponadto ukazały się:

„Język a Edukacja“ 2: *Tekst edukacyjny*, (red. nauk.) J. Nocoń, A. Tabisz, ISSN2299-5528, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, oprawa miękka, cena 16,80 zł

„Opolskie Studia Administracyjno-Prawne“, XI/1/2013, (red. nauk.) W. Kaczorowski, ISSN 1731-8297, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, 132 s., oprawa miękka, cena 11,55 zł

„Stromata Anthropologica“ 8: *Brud – dylematy – sprawy*, M. Sztandara (red. nauk.), ISSN 1897-5666, Opole: Wyd. UO, 2012, format B5, 480 s., oprawa miękka, cena 40,95 zł

Przygotowała: Lidia Działowska

Pełna oferta Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego znajduje się na stronie internetowej wydawnictwa www.wydawnictwo.uni.opole.pl tam też działa księgarnia internetowa



W przeszłości byłaś studentką profesor Simonides... (Opolska Pytia, czyli prof. Dorota Simonides wróży z przeszłości i przyszłości prof. Janinie Hajduk-Nijakowskiej, dyrektor Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO). Fot. Janusz Słodczyk



Teatr mój widzę ogromny... (prof. Stanisław S. Nicieja, jako Papkin i Karol Cebula – członek opolskiego Lyons Club). Fot. Janusz Słodczyk



Podstolino, bliżej stolika! Zapomniałem tekst! (Papkin: rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, Postolina: europosłanka Danuta Jazłowiecka). Fot. Paweł Stauffer

Dwa teatry

27 kwietnia br. w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu opolscy notable wystąpili w charytatywnym spektaklu *Zemsty* A. Fredry, w reż. Andrzeja Czernika (więcej na str. 78). Oto kilka migawek ze sceny i z kuluarów.



Teatralny gest zgody w wykonaniu Rejenta Milczka (wojewoda Ryszard Wilczyński) i Cześnika Raptusiewicza (marszałek woj. opolskiego Józef Sebesta). Fot. Janusz Słodczyk



Jako ministrowi nie wypada mi się kłaniać zbyt nisko... (wiceminister spraw wewnętrznych Stanisław Rakoczy, jako Śmigalski, na zdjęciu Janusza Słodczyka)